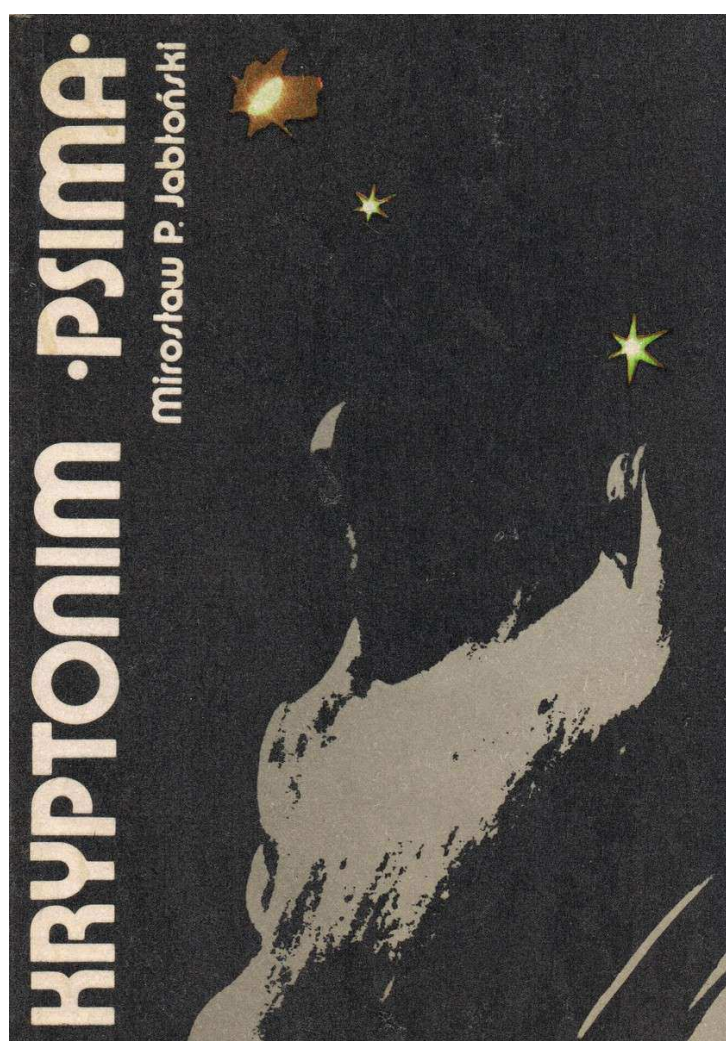


MIROŚŁAW P. JABŁOŃSKI

KRYPTONIM „PSIMA”



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1982

PRZEBUDZENIE

— Rank! — głos jak trzask bicia. Suchy i krótki. Spałem. Spałem i chciałem tak trwać wiecznie. Świadomość napływała we mnie powoli, jakby kołysana lekkimi falami przyboju psychopola. Bronilem się przed nią ze wszystkich sił, blokowałem kanały, ale wiedziałem, że nie wygram. Automat też to wiedział i nie śpieszył się. Był pewien zwycięstwa, stoczył setki pojedynków takich jak ten. A ja walczyłem, chociaż byłem bez szans. Gdziekolwiek udało mi się wyprzeć narzucaną mi świadomość i odzyskać zajęty teren, uwolnić neurony i przesunąć blokadę dalej na zewnątrz, on od razu uderzał z przeciwnej strony. Jego reakcje były szybsze i gdy rzucałem się w nowym kierunku na ratunek zagrożonej wolności, atakował znów z innej pozycji.

— Rank!

Nie słyszałem. Walczyłem o możliwość wiecznego trwania bez snów, o możliwość nieaktywności fizycznej. Ale to była walka z silniejszym ode mnie przeciwnikiem. Jakbym grał w szachy z arcymistrzem tej dyscypliny: każdy mój ruch obronny okupowany był ogromnymi stratami nie zajętego do tej pory pola mego mózgu.

Jeszcze miałem szansę. Ale szansę jedynie na dogrywkę. Należało nie dopuścić do opanowania przez automat głównego rdzenia kręgowego, otoczyć go blokadą i tak trwać. Czekać, aż automat zrezygnuje, wycofa moją świadomość, a wtedy ciele znów będzie mogło mną zarządzać. Automat próbował bodźców fizycznych.

— Rank! Przegrasz jak zwykle.

Dziwna rzecz to ciele. Psychologowie twierdzą, że gdy automat odbiera nam pamięć i świadomość, w mózgu nie powinno nic pozostać. Przypomina on wtedy wyciśniętą gąbkę. Ale w tej pustce, jak w pustce kosmosu, dokonuje się akt kreacji. Powstaje ciele, zajmująca miejsce opuszczone przez świadomość. Powstaje z niczego, jakby z samej materii mózgu, który nie mogąc się pogodzić z rolą owej gąbki, czekającej, kiedy zostanie znowu nasączona swoim „ja”, produkuje zastępczą świadomość. A ta, raz już zaistniawszy, nie chce ustąpić pola prawdziwej. Ciele jest maleńkie, nie może wypełnić pustki powstałej na skutek zapisania świadomości na kryształach, ale obiegając nieskończoną ilość razy przez neurony, stanowi namiastkę bytu. Daje wrażenie myśli, dźwięku, światła i rozkoszy, przemierzając wielokrotnie odpowiednie płyty mózgowie. Teraz nic nie czuję. Ciele jest ściśnięte wokół rdzenia, broni się zaciekłe, blokuje. A właściwie to ja walczę, bo teraz ciele to ja.

— Rank, uważaj, przegrywasz!

Już jestem pokonany. Silniejszy impuls sterowany przez automat przedarł się przez blokadę, a za nim runął potop informacji zawartej w mojej komórce pamięciowej automatu.

Ciele już nie istnieje, ale ja istnieję nadal.

— Rank!

To do mnie. Pilot James Rank na posterunku! Nie, przecież jeszcze śpię. Nie mogę być na posterunku. Leżę zapewne w przezroczystym cylindrze i czekam. Tak mi mówi pamięć, bo zmysły mam nadal zablokowane. Trwam. Czuję się jak zagubiona przesyłka na niezbyt ruchliwym dworcu. Podróżni przechodzą obok, nie zwracając uwagi na leżącą paczkę. Czekam z nadzieją, że ktoś mnie może zabierze ze sobą, że nie będę musiał spędzać nocy na półce w przechowalni bagażu, ale nikt mnie nie zauważa. Podróżni śpieszą się, pociągi odchodzą, a ja stoję obok wahadłowych drzwi prowadzących na peron, potrącany przez nie od czasu do czasu. Poczekalnia pustoszeje, powoli za oknami zapada mrok. Nad peronami zapalają się żółte

kule, a we mnie pojawia się strach. Strach, że pozostanę tu nieruchomy do końca życia, a raczej do końca trwania.

— Rank! Za dziesięć minut wstaniesz!

Ten strach to nieodłączny atrybut ożywania. Gdy on się pojawia, to wiem, że tam, na zewnątrz mnie, pozostało jeszcze dziesięć minut, zanim moje ciało wstanie i zacznie działać. Strach nie mija. Potęguje się w miarę, jak upływa czas, gdy ja wciąż jeszcze mam zablokowane zmysły. To najgorszy moment. Za chwilę ja będę światem zewnętrznym. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Łatwiej jest mi być po prostu sobą i pamiętać, że na zewnątrz pracują automaty przywracające mnie do życia. Mój przezroczysty cylinder zawędrował teraz, pchnięty łapą podajnika, do wnętrza metalowego Golema, który ogrzawszy mnie, wypluje jak pestkę, po skonsumowaniu cylindra, stanowiącego moją tarczę przed światem. Ale nie spadnę jak pestka na trotuar i nie będę się walał w dostojnym gronie zapalek, niedopalków papierosów, ogryzków i brudnego piasku. Delikatne ręce manipulatorów z matczyną troskliwością złożą mnie niczym niemowlę na sunącym gdzieś w ciemność transporterze. Sterylny tunel, którym porusza się moje ciało, podobny jest do przewodu pokarmowego ogromnego gada, trawiącego powoli. Obdziera teraz mnie z kolejnych powłok izolacyjnych i fizjologicznych. Transporter skończył się i po małej pochylni z zielonego tworzywa (nie wiem, czemu pamiętałem akurat, że z zielonego!) moje ciało spłynęło do okrągłego basenu, jakby żołądka tej maszyny. Pławiony przez dziesiątki mackowatych wyrostków rozpuszczałem się, uzyskując powoli ludzkie kształty.

I znów mackowate wyrostki windują mnie gdzieś w górę, podając sobie kolejno moje ciało z jednego poziomu na drugi, aż, dosięgnąwszy otworu następnego tunelu, układają mnie na nowym transporterze. Tu, jak w jelicie bestii, masowany i przesuwany powoli do przodu, niczym ruchami robaczkowymi, maleńkimi krokami zbliżam się do końca tej wędrówki. Wchłaniam przeróżne promieniowania przywracające zdolność ruchową moim członkom, wystawiam się na mokre i promieniste natryski, aż w końcu niby przez ryj, z głośnym młaniem, którego jeszcze nie słyszę, ale o którym wiem, że jest, spadam w dół na miękką błonę.

— Rank! Koniec programu.

Światło! Miętkość! Mam odblokowane zmysły. Widzę nad sobą, na razie jeszcze niezbyt ostro, czarny ryj ekshaustora, z którego przed chwilą wypadłem. Na jego końcu faluje czarna błona, kurczy się i wydyma, jakby poruszana wewnętrznym oddechem. Znak, że automat pracuje nadal i pozostali członkowie załogi, odbywszy tę samą co i ja drogę, zaczną spadać do sąsiednich kojców, oddzielonych od siebie przezroczystymi ścianami.

Leżałem nieruchomo, nagi, pod bezcieniowymi lampami i nie chciało mi się wstać. Wola mną jeszcze nie owładnęła, a raczej to ja sam broniłem jej wstępu odzegnując się od jakiegokolwiek działania. Po prostu byłem. Ruchy, które powinienem wykonać, były mi wstrętne przez samo ich istnienie. Ale na razie nikt ode mnie tego nie wymagał. Zamknąłem oczy. Błona, na której spoczywałem, falowała delikatnie, dając złudzenie kołyszącego się pokładu jachtu; lampy wysyłające obok światła widzialnego także i najdłuższe fale promieniowania podczerwonego napełniały mnie niemal płynnym ciepłem, niczym słońce, nie nagrzewając jednocześnie otaczającego powietrza, które pozostawało chłodne i wilgotne.

Poddałem się temu wrażeniu. Niemal słyszałem, jak mój „jacht” tnie fale, pozostawiając za sobą spienione, białe warkocze kilwateru i zmierza wprost do niewidocznego jeszcze atolu. Jedynie palmy, wyrastające jakby wprost z oceanu, wskazywały miejsce mojego małego portu. Zapach morskiej wody i rozgrzanych desek pokładu wzbudził we mnie uczucie głodu. Tym natarczywiej więc wypatrywałem swej przystani, gdy nagle mokry, mlaszczący dźwięk zburzył moje marzenia...

Zniknęło moje widzenie, pozostało jedynie fizyczne uczucie głodu.. Otworzyłem oczy. Z czarnego ryja, zwieszającego się w sąsiednim pomieszczeniu, wypadło czyjeś zaróżowione

ciało i legło bezwładnie na falującym podłożu. To Jol. Leżała nieruchomo tak jak i ja, wpa-
trzona bezmyślnie w lampy. Po chwili zamknęła oczy. Wszystko to było powtórzeniem moich
zachowań. Na pewno i myśli mieliśmy bardzo podobne. Stymulował to niejako sam fakt prze-
budzenia przebiegającego zawsze jednakowo. Ale nie zastanawiałem się nad tym dłużej,
ponieważ zauważyłem nad sobą jakiś ruch, pełzanie świetlnych refleksów, i oto z góry zjechał
przezroczysty klosz i, mieniając się w świetle różnymi kolorami, przylgnął do znieruchomiałej
nagle błony, otaczając mnie ze wszystkich stron. Poczulem lekkie drgnięcie i klosz wraz z
wyciętym krążkiem podłoża, który przylegał do niego szczelnie jak bibułka do wilgotnego
obrzeża kieliszka, uniół się na powrót do góry.

Zapadła ciemność. Nie widziałem nic wokół siebie i tylko lekkie drzenie windy utrzy-
mywało mnie w przekonaniu, że nadal się poruszam. Kiedy znowu mogłem widzieć, spostrze-
głem, że znajduję się w dobrze mi znanej części statku, zwanej w naszym żargonie „przedsio-
nkiem grobowca”. Tu zaczynała się i kończyła dla nas każda podróż.

Spoczywałem na posłaniu, jakich kilka jeszcze znajdowało się pod ścianami pomie-
szczenia, i zdawałem sobie sprawę z tego, że teraz już bezwzględnie będę musiał zacząć dzia-
łać. Poruszyłem głowę. Ruch mój był niezdarny, rozłożony na etapy, jakby go wykonywał
zacinający się mechanizm. Jednocześnie samo jego zaistnienie napełniło mnie dawno nie zna-
nym uczuciem oczekiwania na spełnienie się czegoś wielkiego. Zamarłem czekając na to
szczęście, ale ono, jakby spłoszone moim bezruchem, odpłynęło, pozostawiając po sobie nie-
dosyt i wrażenie czegoś utraconego.

Zgiąłem rękę w łokciu i podniosłem ją do góry. Dreszcz, jak prąd elektryczny, przebiegł
mnie całego, jednocześnie ręka zupełnie mi nieposłuszna wzniosła się na całą swą długość i
zawisała nade mną. Zapomniałem już widocznie, jak należy się posługiwać własnym ciałem i
odzwyczailem się od niego, bo ręka bez żadnego z mojej strony wysiłku nadal utrzymywała
się w poprzedniej pozycji i nie mogłem na powrót ułożyć jej na posłaniu. Dałem za wygraną.
Teraz nogi. Sprawowały się o wiele lepiej. Podniosłem je kilkakrotnie i opuściłem, dochodząc
do wniosku, że panuję nad nimi całkowicie. Nie mógłbym, co prawda, jeszcze na nich stanąć
ani chodzić, ale mogłem już usiąść. Ręka, znowu bez mojej interwencji, opadła gwałtownie,
jakby pękły podtrzymujące ją linki. Dopiero teraz poczułem ją naprawdę i wykonałem palca-
mi kilka ruchów.

Zastanowiłem się nad tym, że cały czas oddycham bez pomocy automatu. Widocznie
centralny układ nerwowy sprawował się lepiej od reszty i zawiadywał normalnie wszystkimi
organami wewnętrznymi. Przekornie chciałem wstrzymać oddech, aby sprawdzić, czy tak jest
istotnie, ale przypomniałem sobie rękę, której nie mogłem położyć ani rozprostować i przezo-
rnienie dałem spokój tym pomysłom. Poruszałem się coraz sprawniej, zginałem i rozprostowy-
wałem kończyny, ucząc się znowu nimi władać. Teraz jak najszybciej chciałem wstać. Moto-
rem mojego postępowania było wzmagające się uczucie głodu. I chociaż wiedziałem, że u
kresu moich wysiłków nie czeka mnie wcale uczta Lukullusa, a wręcz przeciwnie, skromne
danie, nie ustawałem w wysiłkach. Byłem tak zajęty sobą, że dopiero po dobrej chwili przy
kolejnym obrocie ciała dostrzegłem, iż nie jestem sam. Na posłaniu w rogu pomieszczenia
ktoś bardziej niż ja zaawansowany w tej przywracającej życie gimnastyce, a więc i wcześniej
przybyły, usiłował usiąść. Wyglądało to może i śmiesznie, ale nie dla kogoś, kto sam przed
chwilą nie mógł zmusić do posłuszeństwa własnej ręki.

W dalszym ciągu widziałem nieostro (choć wzrok poprawiał mi się z minuty na minu-
tę), więc z powodu oddalenia nie mogłem rozpoznać, kto to jest. Widziałem jedynie różową
sylwetkę, która leżąc w poprzek posłania usiłowała podnieść tułów, podpierając się wciąż je-
szcze niesprawnymi rękoma. Ale ramiona rozjeżdżały się po śliskiej materii, na której spo-
czywała, i tułów z cichym kłaśnięciem opadał do pierwotnej pozycji. Wreszcie przy którejś
próbie, poprzedzonej silniejszym od innych zamachem, tułów utrzymał pionową pozycję i tak
już pozostał, kiwając się nieznacznie na boki. Wyglądało to tak, jakby człowiek ten się mo-

dlił, oddając dziwne, bokiem wykonywane ukłony.

Dopiero teraz go poznałem. To był komandor Dorner, nasz dowódca.

Odwróciłem wzrok. Nie byliśmy już sami. Na sąsiednim pośłaniu, tuż obok mnie, leżała Jol i wykonywała niezdarne ruchy nóg. Jej przybycie, tak jak i moje dla Dornera, stanowiło sygnał, iż powinienem spróbować wstać. Przewróciwszy się na bok na samym brzegu pośłania, opuściłem nogi i podpierając się obiema rękami naraz z jednego boku windowałem się wzwyż. Nogi, stanowiące przeciwwagę w całej tej operacji, pomagały mi odciążając ramiona i ciągnąc za sobą nieposłuszny korpus. Głowa chwiała się przez cały czas na boki jak pijanemu satyrowi, ale nie zwracałem na to uwagi. Odepchnąłem się gwałtownie rozprostowując ramiona i oto siedziałem. Omal się co prawda nie przewróciłem, bo nie oceniwszy dokładnie siły potrzebnej do odepchnięcia, włożyłem w nie całą energię. Ale przywarłem mocno bosymi stopami do porowatej powierzchni podłoża i zatrzymałem swój wahadłowy ruch, upodabniający mnie do dziecięcej wańki-wstańki. Siedziałem. W tym czasie Dorner, którego widziałem już zupełnie ostro, wstał i posuwał się ostrożnie w stronę wyjścia z zajmowanego przez nas pomieszczenia.

Nie zwracaliśmy na siebie większej uwagi, byliśmy zbyt zobojętniali jeszcze na wszystko, na całą otaczającą nas rzeczywistość, aby interesowało nas wzajemne zachowanie się. Był mi zupełnie obojętny fakt, że oto nasz dowódca, komandor Dorner, nieporadny jak małe dziecko, zmierza krokiem lunatyka przed siebie z takim wysiłkiem i skupieniem woli, jakby kroczył po linie rozwieszanej między dwoma wieżowcami. Dla kogoś postronnego widok ten byłby niecodzienny, śmieszny nawet, ale dla mnie, znajdującego się w takiej samej sytuacji, mającego za chwilę podjąć te same działania, było to czymś tak naturalnym, jak procesy fizjologiczne zachodzące w moim organizmie.

Jol, tak samo zajęta sobą jak ja przed chwilą i nie zwracająca na nas uwagi, zaczęła siadać. To był drugi sygnał. Należało wstać. Dorner zniknął już w otworze komunikacyjnym, jednocześnie dołączył do nas, przybyły przed chwilą tą samą co i my drogą, Brent. Byliśmy więc niczym produkty na wielkiej taśmie fabryki wytwarzającej zdrowych, normalnych ludzi. Podałem tułów do przodu, uważając jednocześnie, by nie polecieć na twarz; pomagałem sobie, ile się tylko dało, rękami, potem oderwałem pośladki od pośłania i wolniutko prostowałem swoje ciało. Stałem. Lekko rozstawione stopy chroniły mnie przed upadkiem na boki, chwiałem się jednak niebezpiecznie do przodu i do tyłu. Amplituda tych wahań stawała się z każdą sekundą większa, biodra wypychało mi coraz bardziej do przodu. Jedynym ratunkiem przed upadkiem było zrobienie kroku. Jednocześnie, cały chwiejący się i drgający z wysiłku, wzdragałem się przed tym ze wszystkich sił. Rozum walczył z przecuciem, które mówiło mi, że jeżeli w tak beznadziejnej sytuacji oderwę nogę od podłoża, to runę bezapelacyjnie. Jednak musiałem się zdecydować. Gdy następny przechył przegiął mnie całego w przód, przesunąłem tam prawą nogę. Nadal stałem, i jeszcze jeden krok. Poruszałem się jak marionetka, jak nakręcana kukła sterowana określonym układem sprężyn i kółek, a nie swoim własnym mózgiem. Powoli, krok za krokiem, posuwałem się do otworu, w którym zniknął Dorner. Znalazłem się na korytarzu. Zanim jeszcze jednak przekroczyłem próg, kątem oka dostrzegłem Jol, która już usiłowała wstać.

Postać Dornera majaczyła przede mną w mrocznym korytarzu. Posuwaliśmy się jeden za drugim w odległości jakichś trzydziestu metrów, wykonując jednocześnie te same mechaniczne ruchy, jakbyśmy byli poruszani jednym motorem. Dziwnie musiał wyglądać ten marsz dwóch nagich postaci poruszających się z gracją dopiero co ożyłych homunkulusów. Szliśmy środkiem parabolicznie sklepionego korytarza nie zatrzymując się ani na moment w swym upiornym, jakby ze złego snu wyjętym marszu.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że zapewne już i Jol dołączyła do naszego panopticum, ale podobnie jak Dorner, nie obejrzałem się. Wyczuwałem tylko jej obecność, wiedziałem, że jej ciało, tak samo nieposłuszne jak i nasze, porusza się w tym samym bezgłośnym, mono-

tonnym rytmie.

Korytarz rozwidłał się. Widziałem jasno oświetlone jego dwa rozgałęzienia. Blask sączył się stamtąd coraz silniejszy, aż objąwszy nasze sylwetki, upodobił je w kolorze do miedzianych posągów.

Dorner i ja poszliśmy w lewo. Po chwili zniknął mi z oczu wstępując w mroczną niszę, która była przedsiionkiem do jego segmentu mieszkalnego. Poszedłem dalej. Jeszcze dwadzieścia kroków i ja w taki sam sposób zniknąłem z oczu swoim następcom, w których domyślałem się Jol i Brenta. Gdy wszedłem do niezbyt obszernego pomieszczenia, rozblęsnęło światło. Standardowe sprzęty, w jakie były wyposażone wszystkie nasze segmenty, wydały mi się, nie wiedzieć czemu, bardzo bliskie i jakieś domowe. Jednocześnie mózg mój porównywał zastaną rzeczywistość z zapamiętanym obrazem, jaki się w nim utrwalił przed zaśnięciem i przechowywany w kryształach automatu stanowił obiektywny obraz sytuacji sprzed kilku lat. Tak jak tekst zapisany na taśmie magnetofonu nie ulega zmianie na skutek jego przechowywania, tak i sama informacja zapisana na kryształach, pozbawiona ewolucyjnej działalności wyobraźni, przeinaczającej zapamiętane obrazy z przeszłości, pozostaje trwała i niezmienna.

Moja sylwetka odbijała się w mlecznej płycie oddzielającej ten pokój od reszty pomieszczenia. Poszedłem tam, wodząc dłońmi po ścianach i sprzętach, jakby po twarzy ukochanej kobiety, ucząc się w ten sposób ich kształtu, zapachu, dotyku. Mleczna płyta rozsunęła się przede mną z cichym szmerem. Za nią znajdowała się sypialnia i łazienka. We wnęce ściiennej, zastępującej szafę, wisiały kombinezony, jakie nosi się na statku. Wziąłem jeden, następnie z podajnika, który już przygotowany na moje pojawienie się mrugał zielonym oczkiem, wyjąłem komplet jednorazowej bielizny i zacząłem się ubierać. Zauważyłem przy tym, że moje ruchy stały się płynniejsze, bardziej skoordynowane. Nie składały się jak przedtem z kilku prostych działań, coraz lepiej też oceniałem odległość i siłę, z jaką należało wykonywać poszczególne czynności. Mimo wszystko ubranie się zajęło mi sporo czasu. Zwłaszcza jedno-częściowy kombinezon, w który należało się ni to wśliznąć, ni to wsunąć, przysporzył mi wiele kłopotu. Wreszcie się z tym uporałem. Spocony, ale zadowolony z siebie, usiadłem w głębokim fotelu.

Poczułem, że jestem głodny. To był trzeci sygnał. Zajęty działaniem zapomniałem o potrzebach swego organizmu, których ten domagał się z bezwzględnością ściskającą mój żołądek. Przysunąłem się razem z fotelem do niewielkiego blatu z kremowego tworzywa, który w rogu pokoju wyrastał ze ściany na kształt drzewnej huby. Z jego prawej strony znajdował się szereg różnokolorowych przycisków. Ale dzisiaj interesował mnie tylko jeden: czerwony, umieszczony najwyżej. Wcisnąłem go. Z podajnika w blacie wysunął się kubek z purpurową cieczą. Obok niego na plastikowym krążku leżały staniolowe kapsułki wielkości naparstków. Rozerwałem je wszystkie i kolejno wysypałem ich zawartość do naczynia. Zamieszałem. Krwawy płyn zaczął się burzyć i musować jak woda po wrzuceniu wapna. Pęcherzyki gazu co chwilę wydobywały się z falującej zawartości kubka. Nie patrząc na to dłużej wychyliłem jednym haustem jego zawartość. Jakby płynny ogień wlał mi się w gardło! Byłem na to przygotowany, ale łyzy stanęły mi w oczach. Zaciśnąłem mocno powieki i tak trwałem. Kaloryzowany eliksir mający przywrócić pełną sprawność moim członkom przypominał w smaku raczej piekielną mieszankę, którą diabli powinni poić grzeszników w piekle. Czułem jakby roztopiony ołów, przesuwany się w moim wnętrzu wciąż niżej i niżej, spalający coraz to nowe organy. Siedziałem bojąc się poruszyć, aby nie spotęgować i tak już trudnego do opanowania bólu.

Po pięciu minutach zacząłem oddychać, po kilku następnych odważyłem się otworzyć zalane łzami oczy i stwierdziłem, że działanie diabelskiego płynu, przynajmniej to, które czułem, ustało. Odetchnąłem głębiej. Nic. Poruszyłem się nieznacznie. Nadal nic mnie nie piekło ani nie paliło. Czułem się jakiś oczyszczony, jakby wypalony przez ten wewnętrzny ogień — lekki. Jeszcze chwila, a byłbym uleciał w przestworza, tak wydawałem się sobie podobny do

anielskiej istoty. Ujawniła się cała alegoria mego stanu, wiodąca mnie z piekła via czyściec do raju.

Jednocześnie poczułem się senny. To był czwarty sygnał.

Całe moje ożywienie zniknęło, jak po ustaniu działania narkotyku. Nie byłem już głodny, chciałem tylko spać. Wstałem z fotela i zataczając się lekko pod wpływem odurzających składników eliksiru dobrnąłem do posłania. Udało mi się jeszcze pozbyć krępującego mnie kombinezону i wśliznąłem się pod chłodny pled. Jego dotyk przyprawił o drżenie rozpalone ciało. Światło przygasło automatycznie, ale tego już nie widziałem. Ogarnął mnie bezwład tak doskonały jak wtedy, gdy przebywałem w komorze przetrwalnikowej. Zgasły wszystkie moje zmysły, zgasła świadomość, pozostała jedynie podświadomość, a z nią — sny.

SNY

To nie było żadne ze znanych mi miast. Szedłem przez jego puste ulice i na darmo wypatrywałem jakichś znajomych fragmentów dzielnic, ulic czy domów. Bezludne parki, skwery — wszystko to było mi zupełnie obce. Jednocześnie wiedziałem, że jest to na pewno miasto na Ziemi, tylko ja po prostu do tej pory w nim jeszcze nie byłem. Po ulicach jeździły przez nikogo nie kierowane samochody. Autobusy, tramwaje, wszystkie pomalowane na krzykliwe kolory, zatrzymywały się na pustych przystankach. Drzwi się otwierały i nikt nie wsiadał ani nie wysiadał. Dzwonek. Drzwi się zamykają i upiorny pojazd bez kierowcy i bez pasażerów rusza w dalszą podróż. Na pobliskim skrzyżowaniu migała jakby od niechcenia sygnalizacja świetlna. Zapala się czerwone światło. Pojazdy zatrzymują się posłusznie, by przepuścić nie istniejących przechodniów. Światło zielone — samochody bezgłośnie ruszają dalej. Całe to milczące, wyludnione miasto robiło na mnie upiorne wrażenie, chciałem się jak najszybciej stąd wydostać. Zawędrowałem na zaśmieconą wysepkę tramwajową i gdy nadjechał tramwaj, wsiadłem do niego popychany dziką chęcią samozagłady. Byłem zachwycony aż do obrzydliwości. Jakieś dziwne siły walczyły we mnie. Bałem się tego pojazdu, bałem się, że nie zechce mnie ze swego wnętrza nigdy wypuścić, a jednocześnie drżałem cały od przewrotnej chęci szkodenia samemu sobie. Był to stan dla mnie niepojęty i bardzo przykry. Skuliłem się cały w oczekiwaniu tego plugawego, psychicznego orgazmu, ku jakiemu popychały mnie te niezrozumiałe chcenia. Tramwaj ruszył. Ponieważ nie słychać było najlżejszego nawet dźwięku ani nie czuło się drgania pojazdu, jakby zawieszono go na magnetycznej poduszce, podróż ta wyglądała groteskowo. Jakby za oknami wozu przewijała się ogromna taśma z wymalowanymi na niej budynkami, drzewami, przystankami i pojazdami zmierzającymi w różnych kierunkach. Przypominało to dziewiętnastowieczne amerykańskie Najdłuższe Obrazy Świata czy też technikę wykonywania filmów w warunkach studyjnych, w których bohater nie ruszając się z miejsca mknie w swoim pojeździe ku podziwowi widzów, z szybkością mrozącą krew w żyłach.

W moim mózgu nagle coś się odblokowało. Usłyszałem szum elektrycznego motoru, zgrzytanie kół mojego wehikułu na zakrętach, czułem wstrząsy i drgania spowodowane zużyciem się torowiska. Tramwaj jechał coraz szybciej, coraz krócej stawał na przystankach, drzwi przestały się otwierać, wreszcie już tylko zwalniał w odpowiednich miejscach. Poczułem okropny, atawistyczny lęk.

Spojrzałem w okno. Szybkość, z jaką się poruszałem, zmieniła miasto w jedną szarą smugę, która uciekała do tyłu w szalonym tempie. Zdrętwiałem cały. Strach żelazną ręką ścisnął gardło, oczy zaczęły wychodzić mi z orbit. Nagle tramwaj zaczął zwalniać, szara smuga za oknem zamieniła się z powrotem w budynki, latarnie i drzewa. Odetchnąłem. Tramwaj kierowany niewidzialną dłońią zatrzymał się i drzwi otworzyły się zachęcająco. Wyskoczyłem z

nich jak z katapulty, nawet nie oglądając się za siebie. Stałem na tej samej wysepce co i przedtem. Zrobiłem więc koło albo w ogóle nie ruszałem się z miejsca. To drugie przypuszczenie było bardziej prawdopodobne. Rozglądałem się bezradnie wokół. Miasto nie zmieniło wyglądu. Szare, wielopiętrowe kamienice wznosiły się w pochmurne niebo. Za nimi w od dali, pewno w centrum, widać było wysokie wieżowce lśniące aluminium i szkłem. Chciałem tam dotrzeć, żeby obejrzeć z góry to bezludne miasto, ale najpierw postanowiłem zobaczyć kilka pobliskich domów. Zwłaszcza jeden, wyglądający, jakby dopiero w tej chwili opuścili go mieszkańcy, przykuł moją uwagę. W oknie na trzecim piętrze powiewała firanka, a rama okienna poruszana wiatrem, którego w ogóle nie czułem, trącała raz za razem stojącą na środku parapetu doniczkę z fikusem. Jak wszystko do tej pory, oprócz tramwaju, tak i to działo się bezgłośnie.

Przebiegłem przez ulicę. Samochody jechały nie zatrzymując się, jakbym ja nie próbował przejść, musiałem więc uważać, żeby mnie nie potrafiły. Uskoczyłem przed ostatnim, przebiegłem w skos trotuar i wpadłem do sieni budynku, gdzie uderzył mnie zapach stęchli zny, jaki panuje w długo nie sprzątanym klatkach schodowych. Staroświecka winda, poruszająca się w okratowanym szybie, nie działała. Przeskakując po kilka stopni pognąłem na górę. Na trzecim piętrze zatrzymałem się niezdecydowany, usiłując przypomnieć sobie usytuowanie owego okna z firanką i fikusem i skojarzyć to położenie z rozkładem trojga drzwi znajdujących się na podeście. Zdecydowałem, że będzie to prawdopodobnie środkowe mieszkanie, i nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły bezgłośnie ukazując mroczny i wąski korytarzyk, na końcu którego znajdowały się następne drzwi. Otwarłem i tamte. Tak, to był ten pokój. Firanka nadal powiewała, nie poruszana najlżejszym nawet podmuchem, rama okienna w dalszym ciągu kołysała się na zawiasach, tylko doniczki z fikusem już nie było. Podeszedłem do okna, wychyliłem się i spojrzałem w dół. Leżała na chodniku. Rdzawe skorupy na efektownie rozbrzyźniętej czarnej ziemi. Dalej spoczywał zielony wiecheć, w którym domyślałem się owego fikusa, któremu, sam przed sobą nie przyznając się do tego, pospieszyłem na ratunek. Zamknąłem okno i odwróciłem się. Zlustrowałem pokój. Banalne, trochę staroświeckie sprzęty, kanapa, etażerka, na niej kilka książek. Tytuły nic mi nie mówiły. Porcelanowy duży wazon, kilim na ścianie. Typowe drobnomieszczańskie mieszkanie sprzed kilku wieków. Rozejrzałem się jeszcze raz i wyszedłem. Do śródmieścia dotarłem po półgodzinie uporczywego marszu. Kierowałem się jedynie widokiem górujących nad miastem wieżowców, więc droga zajęła mi nadspodziewanie wiele czasu. Kluczyłem, wielokrotnie zawracałem, zapędziwszy się w ślepe uliczki tonące w zieleni. Z usług komunikacji tego upiornego miasta wolałem już, nauczony doświadczeniem, nie korzystać, chociaż nadal mijało mnie wiele pojazdów, gotowych mnie zabrać. Brak jakiegokolwiek dźwięku stawał się wręcz nie do zniesienia. Poruszające się bezgłośnie pojazdy zaczynały mnie denerwować swoją bezszelestną obecnością. Zdawać by się mogło, że i ja, i miasto znajdujemy się w doskonałej próżni, i choćbym je z ziemią zrównał, mając oczywiście odpowiednie środki po temu, nie wydobyłbym z niego ani jednego dźwięku.

Zacząłem biec.

Zakurzone, obojętne fasady domów mijały mnie, a ja nie ustawałem w swym pędzie, chociaż serce z wysiłku podchodziło mi do gardła. Wreszcie, po przebiegnięciu kilku ulic, dopadłem marmurowego podjazdu pierwszego z grupy drapaczy chmur, błyszczącego lustrzanymi szybami na kształt miedzianej wieży. Bank. Wkroczyłem do hallu. Obrotowe drzwi wypłuły mnie na wprost wind. Nie oglądałem się na urządzone z przepychem wnętrze ani na wznoszące się nade mną, na wysokości kilku pięter, sklepienie. Co innego zaprzętało moją uwagę. Oto z pięciu wind jedna stała otworem, jakby czekając na mnie, podczas gdy cztery pozostałe jeździły, podobnie jak pojazdy, kierowane przez niewidzialnego windziarza i zatrzymując się co kilka pięter zabierały nie istniejących pracowników biurowych. Drzwi windy zamknęły się przede mną, jakby zniecierpliwione przedłużającym się oczekiwaniem na moją

decyzję. Winda wjechała bez zatrzymywania się na osiemdziesiąte piąte piętro, najwyższe, i wróciła. Drzwi rozsunęły się na powrót. Cała ta demonstracja wyglądała tak, jakby służyła przekonaniu mnie, iż nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo w jej wnętrzu. Wsiadłem. Poczulem lekkie przyspieszenie, jakie towarzyszy startowi wind szybkobieżnych, i już po chwili byłem na górze. Wsiadłem. Poszedłem na prawo. Nie wiedziałem, w którą stronę mam się udać, aby dojść na taras znajdujący się na dachu budowli, ale przypuszczałem, że korytarz, w którym teraz byłem, obiega cały ten poziom dookoła. Prędzej czy później musiałem więc dotrzeć do schodów. Jakoż za pierwszym zakrętem zobaczyłem wahadłowe drzwi, po których przekroczeniu znalazłem się w metalowej klatce schodowej, zapewne awaryjnej. Jeszcze około dwóch pięter dzieliło mnie od tarasu. Stalowe drzwi prowadzące tam zastałem otwarte i oto byłem na szczycie wieżowca.

Podszedłem do balustrady. Z tej wysokości miasto wyglądało zupełnie normalnie. Poruszające się pojazdy sprawiały wrażenie zwykłego, codziennego ruchu. Brak ludzi, stąd i tak niemożliwych do dostrzeżenia, nie raził postronnego obserwatora, jakim byłem. Nawet nieobecność dźwięku można było sobie wytłumaczyć znaczną odległością od jezdni. Małe samochodziki niczym mrówki sunęły powoli ulicami, migając od czasu do czasu światłami i zatrzymując się na skrzyżowaniach. Poszedłem do przeciwległej balustrady. Stąd roztaczał się widok na bogate centrum. W pewnej chwili dostrzegłem, sądząc po jaskrawym lakierze karoserii, taksówkę, która, podjechawszy pod hotel, zatrzymała się i, otworzywszy drzwiczki, wypuściła nie istniejącego pasażera. Odwróciłem się. Po lewej stronie wznosił się nade mną na wysokość jakichś czterdziestu pięter lśniący bielą budynek linii lotniczych. To on był właściwie celem mojej wędrówki, ale odległy w linii powietrznej o zaledwie kilkaset metrów od miejsca, w którym się znajdowałem, był praktycznie poza moim zasięgiem. Musiałbym zużyć dodatkowo pół godziny, żeby do niego dotrzeć.

Podążyłem do wind. Gdy znalazłem się na dole, dostrzegłem stojący na podjeździe samochód. Wyglądało na to, że był jednym z nielicznych pojazdów, które nie brały udziału w tej bezsensownej gonitwie po ulicach upiornego miasta. Nagle pomyślałem, że warto by zwiedzić dzielnicę peryferyjne. Kierowany tymi wciąż niezrozumiałymi dla mnie samego, impulsami wsiadłem, zajmując miejsce kierowcy. Samochód ani drgnął. Wrzuciłem bieg i wykręcając kierownicę nacisnąłem gaz. Pojazd ruszył i posłuszny na razie moim żądaniom pognął przed siebie. Nie byłem w stanie nawet się zdziwić. Jechałem ulicami w towarzystwie pustych, przez nikogo nie kierowanych aut, zatrzymywałem się jak one przed przejściami dla pieszych i hamowałem gwałtownie widząc zmieniające się światła na skrzyżowaniach. Samochód reagował z opóźnieniem, jakby posłuszny raczej mojej woli niż fizycznym działaniom. Ulice stawały się stopniowo coraz węższe i brudniejsze, domy, przeplatane od czasu do czasu niskimi barakami (hurtowniami czy magazynami?) były coraz niższe i bardziej zaniedbane. Zbliżałem się do rzeki, która, jak to zaobserwowałem z wieżowca, wielkim zakolem odcinała z miasta mniej więcej jedną czwartą jego powierzchni, oddzielając, niczym wrzód, dzielnicę slumsów od zdrowego i zadbanego śródmieścia. Miejsce domów mieszkalnych zajęły nadrzeczne magazyny, składy złomu, drzewa i rozmaitych artykułów przemysłowych. Druciane siatki z zardzewiałymi metalowymi tabliczkami, które ogłaszały wszystkim, kto dzierży prawo własności do tych terenów, otaczały centra „biznesu” na wzór zasieków. Zatrzymałem się. Wsiadając, kopnąłem leżącą w rynsztoku puszkę. Potoczyła się w dół opadającej stromo w stronę rzeki ulicy bez jednego dźwięku. Strzeliłem z całej siły drzwiczkami wozu. Cisza. Dałem spokój tym eksperymentom.

W miejscu, gdzie wsiadłem, monotonię drucianych płotów ożywiały dwa czteropiętrowe budynki z powypalanymi jak po pożarze oknami. Czerwone płyty cegły odsłoniętej po odpadnięciu tynku, który, popękany od żaru, leżał na trotuarze, podobne były do krwawych ran. Na bocznych ścianach obu domów znać było ślady po rozbiórce trzeciego, mniejszego budynku, który stał między nimi. W nim to zapewne wybuchł pożar, bo został wyburzony, a

gruz wywieziono stąd ciężarówkami, po których zostały głębokie ślady kół na trawniku i zrujnowane płytki chodnika. Uważając, by nie wpaść do pozostałych po nim piwnic, wszedłem na pogorzelsko i stanąwszy twarzą do rzeki, wyciągnąłem w bok ramiona, jakby usiłując dotknąć odległych, poparzonych ścian. Natężyłem się cały i oto poczułem, że rosnę; ręce, teraz z każdą sekundą dłuższe, sięgnęły murów i stopiły się z nimi. Czułem, jak moje oczy dzielą się na prostokątne okna z firankami i pelargoniami w podokiennych skrzynkach i widziałem tymi oknami-oczyma rzekę i płynące po niej barki. Fruwające firanki przesłaniały mi co chwilę widoczność, ale byłem już zajęty czym innym. Moje żyły, nerwy, przewód pokarmowy — wszystko to zmieniło się w sieć wodociagową, elektryczną i w kanalizację. Byłem zdumiony własną przemianą, a jednocześnie przerażony i zafascynowany. Dostrzegłem samochód, którym przyjechałem. Niby porzucona przez dziecko zabawka stał tuż przy krawężniku. Zapragnąłem wsiaść do niego i jechać, gdzie mnie oczy poniosą. Szarpnąłem się raz i drugi, mocując się z własną siłą, ze skuwającymi mnie murami, którymi byłem, i nagle czując, jak pękają, a ja rozsypuję się w gruzy — obudziłem się.

Leżałem bez ruchu, z zamkniętymi oczyma i oddychałem ciężko. Sen, który pamiętałem doskonale, tak widmowy i upiorny, a zarazem tak realistyczny, zmęczył mnie niemal fizycznie. Poza tym cały czas pozostawałem pod wrażeniem, że wszystko, co w nim przeżyłem, wydarzyło się naprawdę. To było tak absurdalne, że czym prędzej otworzyłem oczy i usiadłem. Odchrząknąłem, by usłyszeć jakikolwiek dźwięk. Podeszedłem do aparatury wizofonicznej i wcisnąłem pierwszy z brzegu klawisz. Popłynęła muzyka. Gershwin. Po niesamowitej ciszy, jakiej doznałem we śnie, dźwięki instrumentów przynosiły mi ogromną ulgę. Muzyka obmywała mnie, oczyszczała wewnętrznie z niepokoju, jaki we mnie pozostał, tak jak woda omywa kamienie leżące w górskim potoku, aż staną się gładkie i czyste. Usiadłem w fotelu i rozkoszując się dźwiękiem otaczającym mnie zewsząd, zacząłem analizować swoje widziały. Sen mój, co łatwo dostrzegłem, składał się jak gdyby z dwóch części: pierwszej, zupełnie nielogicznej, wręcz upiornej, widmowej i typowo „sennej”, gdy krążyłem zagubiony ulicami bezludnego i milczącego molocha, zrodzonego w najdalszych zakamarkach mojej podświadomości, i drugiej, nacechowanej moim celowym już działaniem, powiedziałbym: fabularyzowanej przez nieznanego reżysera, naznaczonej piętnem determinizmu, pozbawionej tak typowego w podobnych snach strachu, lecz odbywającej się w tych samych niesamowitych realiach. Brak tych dwóch czynników, to znaczy ludzi i dźwięku, czynił z tego ziemskiego przecież miasta twór dziwniejszy i bardziej przerażający od najbardziej nawet obcego krajobrazu kosmosu. Realia mojego snu przypominały starannie nakręcony film trójwymiarowy, „materialny” wręcz, w którym nie podłożono jeszcze dźwięku i zapomniano o najważniejszym: o aktorach, których ja zastąpiłem. Wrażenie, że uczestniczę w jakiejś gigantycznej projekcji wzmogło się, gdy obserwowałem powiewające na fikcyjnym wietrze firanki, poruszające się ramy okien czy gałęzie drzew. Zastanawiałem się także, jakież to miasto przemierzałem we śnie. Byłem przekonany, że nie istnieje ono na Ziemi naprawdę. Próżno czekałem na jakieś olśnienie, które by wyjaśniło senną zagadkę.

Cóż w tym w końcu dziwnego, że przyśniło mi się jakieś bliżej nie znane mi miasto? Sen mara, Bóg wiara, powiadali starożytni i chyba mieli rację. Ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że nie był to normalny sen. Długi czas przebywania w anabiozie mózgu co prawda wytłumaczył te chwilowe aberracje mózgowie, ale takie tłumaczenie nie wystarczało mi. Znaczyłoby to, że z moją głową, głową pilota, jest coś nie w porządku. W tej chwili muzyka urwała się nagle i w komunikatorze usłyszałem głos Dornera.

— Rank, jest pan u siebie? Za pół godziny zwołuję naradę w Okrągłej Sali.

— Jestem, komandorze. Będę punktualnie.

RETROSPEKCJA

Komunikat Dornera, wdarłszy się gwałtownie w tok moich myśli, zakłócił je, splątał i odsunął gdzieś w głąb mózgu, jak zawiadowca, który kieruje pociąg na boczny tor. Mogłem mieć jedynie nadzieję, że nie był to całkiem ślepy tor. Jednocześnie tym wyraźniej przykuła moją uwagę sprawa naszego lotu; teraz dopiero przypomniałem sobie, gdzie i po co się znajduję. Niezwykły sen zajmował mnie do tej pory tak dalece, iż straciłem poczucie rzeczywistości. Czułem się jak po drugim już tego dnia przebudzeniu. Dźwięki muzyki, spłoszone głosem Dornera, powracały powoli, nabierając z każdą chwilą pełniejszego brzmienia, aż rozlały się w kabinie na kształt zaborczej fali oceanicznego przyptywu. Podobnie napływała do mnie pamięć minionych wydarzeń związanych z Psimą. Przy odkryciu tej planety nie byłem obecny, nastąpiło ono bowiem sześćdziesiąt lat przed moim urodzeniem, ale i tak zdążyłem na czas przyjść na świat, by znaleźć się w składzie wyprawy.

Psimę, która jeszcze wtedy się tak nie nazywała, odkryła bezzałogowa sonda kosmiczna z rodziny nie powracających obiektów badawczych. Doniosła ona z rejonu gwiazdozbioru Strzelca o odkryciu planety ze śladami życia. Prymitywny bioskop, który znajdował się na pokładzie sondy, nie był w stanie określić charakteru życia; nie wiadomo było, czy jest ono oparte na węglu, krzemie czy też innych pierwiastkach, nie wiedziano także, na jakim etapie rozwoju znajduje się, a już najmniej — o psychiczności tego życia. Sonda musiała wcześniej ulec uszkodzeniu, najprawdopodobniej w kolizji z mikrometeoritami, przed którymi, ze względów ekonomicznych, nie miała zabezpieczeń; meldunki od niej napływające były mocno zniekształcone i nieregularne — przy odczytywaniu ich trzeba było coraz częściej uciekać się do pomocy komputerów; w miarę, jak sonda oddalała się od Ziemi, jakość odbioru stawała się coraz gorsza.

Na Ziemi zastanawiano się, czy meldunek pochodzący z uszkodzonego aparatu jest wiarygodny. W końcu uznano, że tak. Planecie nadano wtedy numer katalogowy.

Pojazdów podobnych do owej sondy było tysiące i napływały od nich miliony bitów informacji, którymi też trzeba się było zająć, opracować i nakarmić nimi komputery. Bezzałogowe aparaty wystrzeliwane całymi seriami w ramach programu „Galaktyka” zmierzały w głąb kosmosu i meldowały tak długo o poczynionych przez siebie obserwacjach i odkrytych światach, jak długo pozwalał na to zasięg ich nadajników, aż wypełniwszy misję, przepadały w otchłaniach wszechświata, by krążyć w nim do nieskończoności, chyba że kres temu położy jakaś kosmiczna katastrofa. Były przez to podobne do butelek wrzucanych dawniej przez rozbitków do morza, w nadziei, że odnajdzie je ktoś przypadkiem i przyjdzie nieszczęsnemu z pomocą.

Szczęśliwy traf rzadko kierował te błagalne posłania we właściwe ręce, najczęściej list taki stawał się igraszką fal i docierał do adresata już to po śmierci rozbitka, już to po jego wyratowaniu. Tak i Ziemia słała w kosmos listy ze swym adresem, wierząc, że nawet po milionach lat, dotarłszy w nieskończenie odległy świat, spełnią swą misję...

Jak rolnik, sypnąwszy garść ziarna podczas siewu, nie rozpaczał nad jego pozorną stratą w czarnej ziemi, tak ludzkość sypała w niebo pełnymi garściami bezzałogowe sondy, mając nadzieję, że zaowocują one czystą wiedzą.

Sprawa Psimy, skatalogowanej pod symbolem XR9467LoP78-S3, odżyła po dwudziestu latach. Wtedy to, zgromadziwszy w jednym miejscu skarby wiedzy, uczeni zaczęli je przeliczać, kładąc osobno złoto, perły, rubiny, szmaragdy i diamenty. Rychło się okazało, że tych ostatnich jest niewiele, że nakładem olbrzymich kosztów, tysiące pojazdów kosmicznych i dwudziestu lat czasu został nam w ręce jeden jedyny diament, a i on zresztą wątpliwej wartości. Diamentem tym była Psima, o niej jednej mieliśmy, co prawda niezbyt pewne, dane, iż jest siedliskiem bliżej nie sprecyzowanej formy życia. Rzucono się więc na te domysły

skwapliwie; mówcy zdzierali gardła przed mikrofonami mówiąc o kosmicznych braciach w rozumie, dziennikarze wypisywali brednie — w ogólnym krzyku i szale ogarniającym szerokie rzesze spragnionej sensacji ludzkości przygotowano w cichych i izolowanych laboratoriach program badań. Skonstruowano także nowy typ sondy, znów bezzałogowej, ale za to wyposażonej w najnowocześniejsze urządzenia badawcze i analizujące, które pozwalały odpowiedzieć na pytania, jakie zostały postawione w czasie pierwszych badań Psimy. Ponieważ sonda ta była prototypem i nie zamierzano jak na razie budować podobnych do niej szperaczy, została wyposażona we wszelkie możliwe zabezpieczenia, po miotacze antimaterii włącznie. Te ostatnie miały służyć do anihilowania zagrażających sondzie kolizją meteoratów. Tak przygotowany pojazd został wystrzelony z Księżyca z należną pompą i wprowadzony na kurs ku gromadzie Strzelca.

Zdawano sobie sprawę z tego, że bez względu na wynik, jaki przekażą automaty sondy, trzeba będzie podjąć wyprawę z udziałem ludzi. Żeby nie tracić czasu rozpoczęto na Plutonie budowę naszego krążownika, „Strzelca”. Ale nie zajmowano się tylko Psimą. Inne odkryte planety, które mogły dostarczyć (co oceniono na podstawie zebranych danych) surowców, terenów do kolonizacji i zasiedlenia, terenów badawczych i innych korzyści, otoczono równie troskliwą opieką. Wielkie Zakłady Kosmiczne na Marsie pracowały dzień i noc na potrzeby nowej wyprawy homo sapiens. A w instytutach badawczych i laboratoriach niecierpliwie czekano na pierwsze doniesienia z rejonu Strzelca.

No i zaczęło się. Wyposażona przez zapobiegliwych konstruktorów, niejako na wyrost, w psychoskopy i psychometry sonda nadała pierwszy meldunek, z którego wynikało, iż natrafiła na ślady psychopola, przy czym, rzecz dziwna, bioskopy milczały, jak gdyby biopola w ogóle nie było i odkryte psychopole było atrybutem martwej materii. Wniosek taki uznano za bezsensowny. Stwierdziwszy, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest nieprzewidziana awaria biowykrywaczy, uczeni przeszli nad tą sprawą do porządku dziennego. Pojazd, który znajdował się już w Gromadzie Strzelca, kierował się teraz jedynie namierzeniami psychometrów i dzięki temu poruszał się w kierunku tajemniczego psychopola. Natężenie jego nieustannie rosło, ale nie udało się ustalić, czy tylko ze względu na zmniejszającą się wzajemną odległość między planetą i sondą, czy na skutek bezwzględniego wzrostu wartości natężenia pola w czasie, czy też obu tych przyczyn łącznie, bo chociaż znano prędkość sondy i wartości wektorów pola, to nie znano jego wartości spoczynkowej — pojazd przed całkowitym wyhamowaniem na planecie uległ katastrofie i zniszczeniu. Na marginesie wszelkich rozważań, jakie pojawiły się w środkach masowego przekazu Federacji Ziemskiej, znalazły się i takie, w których rozważano możliwość istnienia psychiki w martwej materii, do czego bodźcem zapładniającym stało się owo niewytłumaczalne milczenie bioskopów. Sama teoria „psychicznej nekromaterii”, jak ją nazwano, choć tak nieprawdopodobna, zyskała sobie od razu wielu zwolenników i w pismach naukowych zaroilo się od sporów pomiędzy fizykami, biologami, filozofami i innymi specjalistami lub nawet amatorami, którzy mieli na ten temat coś do powiedzenia. Piętrowe wzory wyższej analizy, topografii i STW sąsiadowały w tekstach periodyków z takimi nazwiskami, jak Bacon, Lock, Kartezjusz i Leibnitz. W tej powodzi kłótni utonęła maleńka wzmianka jednego z dzienników, który dzięki niedyskrecji pracownika MIT-u napisał, że katastrofa sondy była skutkiem nadmiernego przeciążenia obwodów logicznych komputera pojazdu. To był ostatni meldunek, jaki dotarł na Ziemię.

Tak więc podjęty eksperyment zamiast do końca rozstrzygnąć sporne kwestie wokół istnienia czy też nieistnienia życia na Psimie, przysporzył jeszcze więcej kłopotów i zamieszania. W tych warunkach podjęcie bezpośredniej ekspedycji z udziałem ludzi stało się nieodzwonne. Jednak na skutek różnych nieporozumień i sporów wielokrotnie zmieniano plany ekspedycji i odkładano terminy startu, motywując to potrzebą zwiększenia nakładów na kolonizację, a nie eksplorację, w myśl zasady, że bliższa koszula ciału... „Strzelca” budowano więc powoli, niejednokrotnie przerywając prace z powodu sprzeciwów światowej opinii

publicznej, która głosiła, że statek ten jest za drogi i wręcz niepotrzebny. Z drugiej strony uczeni i kosmonauci nalegali na zwiększenie nakładów finansowych i tak statek ten trwał niczym skała na drodze dwóch ścierających się nurtów. Wreszcie po dziesięciu latach był gotów. Jednak nie od razu wyruszył w przestrzeń. Pomijając próbne loty na trasie Słońce — Proxima, które trwały ponad rok, wiele czasu zajęła przebudowa wnętrza statku i wymiana urządzeń badawczych zamontowanych w początkach jego konstrukcji; teraz, po kilkunastu latach, stanowiły zabytek muzealny.

Zaczęto formować ekipę ludzi, którzy mieli lecieć na spotkanie nieznanego. I tu się dopiero okazało, że wszelkie naukowe, polityczne czy też ekonomiczne spory, które od początku towarzyszyły temu przedsięwzięciu i pomysłowi zbadania Psimy, były niczym wobec tych gejzerów słów, kłótni, zawiści i przetargów, jakie rozpętały się od chwili ogłoszenia, że komisja rekrutacyjna rozpoczęła swoją pracę. Dwóch ludzi tylko było pewnych, że polecą: James Rank i Elliot Garth, oblatywacze „Strzelca”. Zanim komandor Dorner postawił po raz pierwszy swoją nogę na pokładzie statku, zaraz po objęciu przez niego dowództwa, mieliśmy już, ja i Garth, wylatane na „Strzelcu” kilka miliparseków. Rzadko się zdarza, aby na pokładzie nowej jednostki piloci witali dowódcę — zwykle jest na odwrót. Na pośpiesznie zwołanej konferencji telewizyjnej Dorner przedstawił całą załogę, a my Dornera. Wtedy to po raz pierwszy użyto oficjalnie nazwy „Psima” na określenie planety, która była celem naszej wyprawy.

Spojrzałem na zegarek, bo wspomnienie konferencji przywiodło mi na pamięć naradę zapowiedzianą przez Dornera. Dochodziła umówiona godzina. Rozejrzałem się niechętnie wokoło, jakbym nie miał ochoty włączać się do tego siłą mi narzucanego stanu wzmożonej aktywności, i wstałem. Muzyka ciągle trwała. Uderzyłem palcem w klawisz. Cisza.

NARADA

Z segmentu wyszedłem trochę wcześniej. Chciałem się przejść po dawno przeze mnie nie odwiedzanych pomieszczeniach statku. Szedłem przez puste korytarze, w których usłownie rozbłyskiwało światło, gdy tylko moje stopy przekroczyły linię cienia, jaki je do tej pory spowijał, jeździłem windami sunącymi bezgłośnie na swych magnetycznych prowadnicach, ruchome chodniki w centralnej części statku ruszały, gdy tylko stanąłem na nich całym ciężarem ciała, i biegły przed siebie w smudze światła, które sącząc się ze ścian nieustannie mi towarzyszyło i przesuwano wraz ze mną ku jakiemuś odległemu celowi, którego nie znałem, a który najwidoczniej był znany ruchomemu chodnikowi wiozącemu mnie ku niemu. Pomyślałem o głupocie, nie, raczej obojętności służących nam urządzeń, które tak samo gorliwie wypełniały swe zadania, gdy zależało od tego nasze życie, i wtedy, gdy podobnie jak teraz, nic nie zależało i stanowiły jedynie narzędzia zaspokojenia mojej nudy i niepokoju. Zbliżała się pora narady zwołanej przez Dornera.

Gdy mijałem kolejne wejście do wind, zeskoczyłem z chodnika, który momentalnie znieruchomiał za mną w ciemnym nagle korytarzu, i zjechałem na poziom trzeci, gdzie znajdowały się wszystkie większe pomieszczenia statku. Gdy wszedłem do sali, prawie wszyscy znajdowali się na miejscach; siedzieli pod ścianami dookoła stołu, który miał kształt ogromnego pierścienia. Przeszedłem za plecami obecnych, by zająć swoje miejsce. Wszyscy rozmawiali ze sobą zniżając, ze względu na obecność Dornera, głos niemal do szeptu, mimo to powstawał jednak głośny szmer, wciąż trwający w nieruchomym powietrzu sali. Dornera wyraźnie to denerwowało; rozmawiając z Blashem, nawigatorem, odwracał kilkakrotnie głowę od niego i spoglądał z niezadowolaniem na rozmawiających. Wyglądał w tej chwili jak stary belfer, który nie ma odwagi strofować swoich wychowanków, mających za kilka dni

odebrać świadectwa dojrzałości. I rzeczywiście: nie powiedział ani słowa. Usiadłem na swoim miejscu i przywitałem się z siedzącymi najbliżej: Blashem i drugim pilotem, Garthem. Dornerowi skinąłem głową. Aż strach, jakie to wszystko było naturalne, tak banalne, jakbyśmy się zaledwie od wczoraj nie widzieli i w dodatku rozstali w dobrej, przyjacielskiej atmosferze. Przypomniałem sobie nagle, jak to jeszcze przed kilkoma godzinami tarzaliśmy się razem z Dornerem w „przedsionku grobowca”, nie mogąc o własnych siłach stanąć na nogi, i teraz wydało mi się to śmieszne, tak jakbym był tylko obserwatorem, a nie uczestnikiem tych wydarzeń. Poszukałem wzrokiem Jol. Siedziała prawie naprzeciwko, między grubym Petersem a Leną, jej przyjaciółką. Petersen zdawał się bawić je rozmową, ale ja wiedziałem, że to potworny nudziarz. Dość było spojrzeć na twarze obu kobiet; Jol znudzona słuchaniem fizyka rozglądała się wokół. Nagle nasze oczy spotkały się. Uśmiechem dałem jej do zrozumienia, że ją widzę. Nie wstałem ani nie odezwałem się, bo Dorner mógłby nawet eksplodować; gdy zwoływał naradę, wymagał kompletnej ciszy, uwagi i skupienia. To, że tolerował panujący w sali szum, dowodziło, iż był dzisiaj wyjątkowo wyrozumiały dla ludzkich słabostek.

Ale nam niepotrzebne były słowa — mnie i Jol; rozmawialiśmy samymi oczami i rozumieliśmy się doskonale. Oderwałem wzrok od jej twarzy i spojrzałem na salę — przypominałem sobie od nowa tych ludzi, których na Ziemi na pewno niewielu pamiętało. I chociaż, jak już wspomniałem, na sali panował gwar, to jednocześnie wyczuwało się, że wszyscy oczekują na rozpoczęcie narady. Ale Dorner jakoś się z tym ościagał, ludzie zaczęli się czuć swobodnie, rozmawiano coraz głośniejsze, tu i ówdzie wybuchały krótkie, jeszcze na razie tłumione śmiechy, niektórzy wstawali ze swych miejsc i przechodzili obok pogrążonego w rozmowie i nie zauważającego tego całego bałaganu komandora do weselszego towarzystwa po przeciwnej stronie stołu. Gdy tak siedziałem zastanawiając się, czy podejść do Jol, czy też powinienem raczej posłuchać, o czym to rozmawiają Blash i Dorner, zauważyłem kątem oka, że ktoś siada na opuszczonym przez Gartha miejscu. Nie podnosiłem głowy w przekonaniu, że uwolni mnie to od towarzystwa, którego nie pragnąłem. Po chwili wydało mi się jednak, że mój sąsiad coś do mnie mówi. Wtedy spojrzałem. Przede mną siedział malutki doktor Lavue, zwany przez załogę „Strzelca” Eskulapem. Westchnąłem w duchu, bo chociaż miałem się wybrać później do sekcji medycznej, to teraz jego obecność nie była mi na rękę. Lavue był strasznie gadułą, lubił długo i rozwlekle opowiadać o co ciekawszych, według niego, przypadkach chorobowych, z jakimi zetknął się podczas długich lat kosmicznych wypraw. Był najstarszym członkiem naszej załogi, właściwie mógłby być na dobrą sprawę ojcem Dornera, a latał ciągle, bo kosmos był jego nie drugim, lecz pierwszym domem. Domu, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, nigdy nie miał, dlatego załogi statków, na których latał, traktował jak swoją rodzinę, zwracając się do wszystkich po Imieniu. Do dowódców mówił: „synku”. I chyba dlatego Dorner nie znosił ogólnie lubianego „staruszka”. Pamiętam, jak wściekał się przed startem, gdy dowiedział się, że jego GM będzie właśnie Lavue. Gdy doktor zameldował się na pokładzie, Dorner powitał go poprawnie, lecz z twarzą czerwoną od gniewu. Później reagował już mniej gwałtownie, bo Lavue zapytał wtedy z niewinną miną: „Cierpisz na astmę, synku?”

— Przepraszam, nie słyszałem, co pan mówił, doktorze.

— Mówiłem: dzień dobry. Mógłbyś mi odpowiedzieć gdyby nie to, że myślisz nie wiadomo o czym.

— Podśluchiwałem właśnie, co mówi Dorner — uśmiechnąłem się do jego złotych okularów.

Skinął głową.

— Tak myślałem, ale jesteś przecież trzecim „wielkim” na tym statku, Jim. Na pewno wszystkiego się dowiesz.

— To znaczy, czego? Pan coś wie?

— To, co wiedzą wszyscy; będziemy niedługo lądować. Jest to w końcu największe

wydarzenie od chwili startu. Jim, wpadnij później do mnie, do sekcji medycznej, chciałbym cię zbadać.

— To Dorner panu polecił? Ja mam lecieć?

— Prawdopodobnie. Ty lub Garth. Ale o tym, który z was poleci, zadecyduję ja.

— Pan, doktorze?

— Tak. Ty masz większe szanse, bo jesteś w końcu pierwszym pilotem. Ale zaszyły pewne sprawy...

— Jakie sprawy?

— Cicho! — powiedział doktor podnosząc się z miejsca. — Dorner będzie mówił.

I zanim zdążyłem go zatrzymać, przesunął się jak duch w swoim anachronicznym białym kitlu za plecami siedzących. Patrzyłem jeszcze za nim jakiś czas, więc skinął mi głową i usiadł. Garth wracając na miejsce potrafił mnie łokciem i skierował w ten sposób moją uwagę we właściwym kierunku, to znaczy na Dornera. Jedną z niewielu zalet naszego komandora było to, iż nie umiając przemawiać zdawał sobie jednocześnie z tego sprawę — w związku z tym mówił krótko i zwięźle.

Pierwsze jego słowa umknęły mojej uwagi, gdy zacząłem słuchać, mówił właśnie o celu naszej wyprawy.

— ...ma wielkie znaczenie. Z danych zebranych przez automaty w czasie naszego lotu wynika, że Psima zachowywała się cały czas normalnie. Natężenie psychopola rosło w miarę, jak „Strzelec” zbliżał się do planety. Tak było jeszcze do dzisiaj. Przed kilkoma godzinami komputer zanotował nagły skok natężenia, który trwał kilkanaście minut. Potem wszystko wróciło do normy. Nie wiemy, czym to zjawisko było spowodowane, domyślam się tylko, że istnieje jakiś związek między nim a naszą obecnością w okolicy układu Psimy. Podjąłem już decyzję lądowania na powierzchni planety. Postępować będziemy według zwykłej procedury tak długo, jak długo będzie to możliwe. A więc najpierw wejście na orbitę w celu zebrania maksymalnej liczby danych możliwych do zebrania na odległość. Ile to potrwa, nie wiadomo. Będziemy wszystko robić tak długo, jak będzie to konieczne. Czasu mamy dość. Potem na powierzchnię wyślemy automaty. Wreszcie rekonesans z udziałem człowieka, a w końcu lądowanie „Strzelca”. Jest to plan ramowy, który w trakcie realizacji będzie ulegał koniecznym modyfikacjom. Teraz, jeszcze w przestrzeni, musimy zebrać jak najwięcej wiadomości o samym układzie Psimy i jej słońcu. W razie potrzeby badania te będziemy także prowadzić z powierzchni planety z własnych obserwatoriów, które, mam nadzieję, zbudujemy. W tej chwili już wiemy, że układ Psimy zawiera oprócz niej samej jeszcze dwie planety, jedną wewnętrzną i jedną zewnętrzną. Obie znajdują się jednak nie tylko poza granicami ekosfery, ale także poza granicami psychosfery. Powinniśmy je zbadać, ale zajmiemy się tym w odpowiednim momencie. To by było wszystko, co chciałem wam przekazać. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie mamy jeszcze do końca opracowanych materiałów, które zostały zebrane. Macie na to czas aż do wejścia w granice układu. To potrwa kilka dni. Później będzie pora na dyskusje, zadawanie pytań i wszelkie rozważania. Sekcję medyczną proszę o przebadanie wszystkich członków załogi, a szczególnie pilotów. To wszystko.

Dorner wstał i wyszedł z Blashem szybciej, niż ktokolwiek zdążyłby mu zadać jakiegoś pytanie. Cóż, to był właśnie styl jego pracy i prowadzenia narad, które raczej powinny się nazywać odprawami. Ludzie wstawali powoli od stołu, zbijali się w grupki, zastanawiali się, czy iść na basen, na boisko, czy zabrać się do pracy lub badań, czy w końcu nic nie robić. Stałem sam na progu nie wiedząc, gdzie się udać, gdy nagle ktoś mnie trącił w ramię.

— Jim, chciałeś ze mną porozmawiać, prawda?

— Prawda, doktorze.

— Wobec tego chodźmy do mnie, to jest dzisiaj jedyne spokojne miejsce.

DOKTOR LAVUE

Im bardziej oddalaliśmy się od centralnej części statku, tym cichsze i bardziej puste stawały się korytarze. Pomieszczenia i ciągi komunikacyjne oświetlone stale tylko w centralnej części statku przeszły w długie ciemne tunele, w których stały w bezruchu automaty i silniki, napędzające ruchome taśmy chodników. Brązowe taśmy ruszały, zda się niechętnie, pod wpływem jakiegoś wewnętrznego nakazu, przełamującego mechaniczną wolę tych urządzeń, i pokonując opór zastygłych smarów mknęły w ciemną czeluść. Posuwaliśmy się z doktorem wciąż dalej, lub raczej głębiej, otoczeni przemieszczającą się wraz z nami aureolą pastelowego brzasku. Nagle z przeciwnej strony pojawił się taki sam kłęb światła otulający kilka postaci i zdążał nam naprzeciw. Dwie kolorowe aureole były coraz bliżej siebie, nagle zetknęły się na krótką chwilę i zamieniły kolorami. Tamci, na sąsiednim chodniku, wybuchnęli śmiechem i zniknęli za naszymi plecami, zabierając ze sobą ostatnie, cichnące dźwięki ich rozmowy. Nasze twarze z różowych przybrały sinozielone zabarwienie. Wyglądaliśmy jak para topielców, czy też może wisielców, w porę nie odciętych od sznura. Bruzdy na twarzy doktora napełniły się atramentowymi cieniami jak wąwozy o zmierzchu i teraz dopiero jasno zdałem sobie sprawę z tego, że Lavue jest naprawdę stary. Musiał wyczuć, co pomyślałem, bo spróbował się do mnie uśmiechnąć. Czarne krechy na i ego twarzy ułożyły się w inny wzór, jak szkiełka w kalejdoskopie, nadając jego rysom jeszcze bardziej starczy i diaboliczny wygląd. Odwróciłem wzrok i wpatrzyłem się w ciemność, w nadziei, że może jeszcze raz nastąpi zmiana oświetlenia. Chodnik drgał leciutko pod naszymi stopami w takt działania wprawiającego go w ruch mechanizmu, a my trwaliśmy w milczeniu. Stopniowo ta cisza i nasza wzajemna obcość zaczęły mi coraz bardziej ciążyć; oplątywały nas na kształt pajęczyny, z której my, drobne owady, nie mogliśmy się wyrwać. Z utęsknieniem wyczekiwałem końca tej drogi, która zaczynała w sobie mieć coś z upiornego, nie kończącego się snu. Wreszcie błysnął przed nami świetlny napis oznajmiający, że tu znajduje się sekcja medyków, i z ulgą zeskokczyłem na podest stacyjki. Błysnęły lampy i od razu ulotniła się gdzieś ta niesamowita atmosfera, jaka mi towarzyszyła, jak gdyby wyparowała pod wpływem jaskrawego światła. Odwróciłem się za siebie; tunel chodnika spowijała ciemność, a maleńki doktor stał przede mną w swoim kitlu sięgając mi głową do barków. Zadzierał śmiesznie głowę, chcąc spojrzeć z bliska w moją twarz. Odwróciłem głowę. Zdawało mi się, że doktor westchnął cicho za moimi plecami, jakby czegoś po mnie oczekiwał, a nie doczekawszy się pokrył swoje rozczarowanie westchnieniem. Szliśmy dalej w milczeniu, cisza stawała się wprost nie do zniesienia. Z rozpaczliwym wysiłkiem chłopaka, który na pierwszej randce wysiła się, by ukryć swoje zażenowanie i nieśmiałość i coś wreszcie, na Boga, powiedzieć, starałem się wydusić jakąś myśl ze skamieniałego mózgu, która nadawałaby się do rozpoczęcia rozmowy. Doktor wybawił mnie wreszcie z kłopotu.

— Jesteśmy — powiedział krótko, stając przed jasnożółtą płytą drzwi. Minął mnie i zapraszając do wnętrza uczynił szeroki gest. — Proszę. Oto moje gniazdko

Wszedłem. Cała obcość minęła. Teraz zastanawiałem się, jak to możliwe, że jeszcze przed chwilą nie potrafiłem odezwać się do tego człowieka.

— Napijesz się? — zapytał mrużąc filuternie oko. — Prawdziwy alkohol; na całym statku go nie uświadczysz. Jeśli chodzi o środki oszałamiające, jestem zwolennikiem starych, niezawodnych metod. Do nich właśnie zaliczam koniak. Możesz się napić, lekarz ci to mówi. Poza tym dzisiaj i tak nie będę cię badał.

Skinałem głowę.

— Niech pan naleje, doktorze. Dzisiaj wszyscy będą pijani. Nie w ten, to w inny sposób.

Siadłem w obrotowym fotelu. Po raz pierwszy byłem w mieszkaniu Lavue. Rozgląda-

łem się ciekawie w poszukiwaniu jakiegoś szczegółu, który powiedziałby mi coś więcej o jego właścicielu, niż to było ogólnie wiadomo. Nie znalazłem nic takiego, chyba tylko przesadne umiłowanie żółtego koloru, który występując w różnych odcieniach, od piaskowej szarości do lekkiego oranżu, królował niepodzielnie w tym pomieszczeniu. Faktem jest, że w tym kolorystyce doktor wyglądał o wiele korzystniej i młodziej. Ale nie posądzałem go, że z tego właśnie powodu wybrał sobie takie barwy. Dziwił mnie brak jakichkolwiek bibelotów, pamiątek czy maskotek, których obecność wydawała mi się jak najbardziej oczywista w mieszkaniu takiego człowieka jak Lavue. Jedynie w rogu pokoju na nisko umieszczonym blacie spoczywało pod szkłem kilka dziwnych przedmiotów, w których po bliższym przyjrzeniu się rozpoznałem dawne narzędzia lekarskie. Domyśliłem się, że było to coś w rodzaju małego, domowego muzeum. Doktor pochwycił mój wzrok i powiedział:

— Takimi narzędziami, Jim, posługiwał się mój dziadek, ojciec i jeszcze nawet ja, ale tylko w czasie nauki i początków praktyki. Teraz już nie wymagają od przyszłych lekarzy nawet znajomości ich nazw, nie mówiąc już o umiejętności posługiwania się nimi. A szkoda, bo dopiero przeprowadzenie operacji, w której własną ręką prowadzi się nóż po ciele pacjenta, daje człowiekowi wyobrażenie o tym, kim naprawdę był dawniej i kim powinien być lekarz. Teraz mało kto wie, że zadawał on często pacjentowi więcej bólu niż schorzenie, które podejmował się leczyć. To właśnie jest skalpel — powiedział podchodząc do pulpitu i wyjmując spod szyby metalowy nóż.

— Ostrożnie, można się skaleczyć. Moje okazy muzealne są nadal gotowe do użycia. To jest stetoskop — powiedział podając mi do ręki plastikową słuchawkę z gumowym przewodem — przy pomocy tego prostego urządzenia stwierdzano dawniej, w jakim stanie są płuca i serce człowieka. Bez żadnej aparatury, nawet prymitywny elektrokardioskop to śpiew odległej przyszłości dla medyka posługującego się stetoskopem.

Patrzyłem na to panopticum wydobytych z zapomnienia przedmiotów coraz bardziej zdumiony.

— Pan umie się tym posługiwać, doktorze? — zapytałem, obracając nieporadnie w dłoni skalpel;

— Oczywiście. To moje zawodowe hobby, jeśli można w ogóle tak powiedzieć.

Odebrał mi nóż i wykonał nim szybko w powietrzu, tuż przy moim kombinezonie, kilka skomplikowanych ruchów.

— Tak otworzyłbym ci klatkę, żeby dostać się do serca, a tak do wyrostka robaczkowego. Ale prawda, teraz ludzie nie mają już ślepej kiszki — jego ręka przesuwiała się tuż nad powierzchnią mojego ubrania z nieporównaną precyzją.

— Chce pan powiedzieć, doktorze, że dawniej ręcznie operowano nawet serce?

— Nawet mózg, Jim, nawet mózg. Czy wyobrażałeś sobie, że choroby czekały z dzieciątkowaniem ludzkości aż do czasu, kiedy wynaleziono automaty medyczne? Już starożytni umieli przeprowadzić trepanację czaszki przy pomocy prymitywnych narzędzi z brązu.

— Zupełnie sobie tego nie wyobrażam, ale wierzę panu. Lecz niech mi pan powie, czy pan przeprowadzał kiedyś operację w ten sposób?

Doktor spuścił głowę i jakby posmutniał; całe jego ożywienie ulotniło się nagle.

— Tak — powiedział po dłuższej chwili milczenia — kiedy byłem jeszcze młody. Dyskutowano wtedy zawzięcie — zaczął wyjaśniać, uprzedzając moje pytania — nad tym, czy należy administracyjnie zakazać operacji wykonywanych ręcznie przez chirurgów, czy też nie. Nie wiesz o tym, Jim, ale był czas, kiedy lekarze i automaty medyczne egzystowały na równych prawach i kto chciał, operowany był przez maszynę, a kto wybierał człowieka, szedł do prywatnej kliniki. Tak było przez długi czas, zwłaszcza że z początku automaty były zawodne. Dużą rolę odgrywało też przyzwyczajenie ludzi, zwłaszcza starszych, do lekarzy. Wiesz, człowiek, często nawet zdrowy, przychodził tylko po to, żeby sobie ponarzekać, porozmawiać, opowiedzieć o swoich bolączkach. Tak było i mogło być dalej. Ale firmom produ-

kującym automaty medyczne zależało na maksymalnych zyskach, i dlatego zaczęły zalewać rynek swoimi „syntetycznymi lekarzami”. Postawiono więc w kongresie wniosek o zakaz wykonywania praktyki chirurgicznej przez lekarzy. Rozgorzały olbrzymie spory, no, wyobrażasz sobie, wolność, demokracja, prawa człowieka — to najczęstsze argumenty, którymi wtedy szafowano. Ja byłem jednym z gorących obrońców naszego lekarskiego prawa do operowania. Mieliśmy wielu popierających nas kongresmanów. I wtedy właśnie wydarzył mi się ten fatalny wypadek — doktor na chwilę zamilkł, ale zaraz jakby w jakimś rozgorączkowaniu zaczął mówić dalej. — Mieszkałem wówczas we Frisco. Pewnego dnia przywieziono do kliniki młodą dziewczynę. Powiem ci prawdę, Jim: to była moja żona, która miała tego dnia wypadek podczas lądowania helikopterem. Nic o tym nie wiedziałem, aż do chwili, gdy ujrzałem ją na stole operacyjnym. Zdajesz sobie sprawę? Byłem jednak dobrym chirurgiem, nie poddałem się wzruszeniom (możesz sobie wyobrazić, ile mnie to kosztowało) i zabrałem się do operacji jak zwykle, chociaż była to raczej sekcja. Asystentkom drżały ręce, gdy mi podawały narzędzia, drugi operator stał jak sparaliżowany, raczej mi przeszkadzał, niż pomagał, a ja pracowałem. Ocierali mi czoło, gdy pot zalewał oczy, ale nawet tego nie czułem. Nie potrafię ci powiedzieć, o czym wtedy myślałem i czy w ogóle myślałem. Byłem jakby w transie. To trwało w nieskończoność, podobno siedem godzin, siedem godzin napiętej maksymalnie uwagi i wykonywania ruchów mdlejącymi palcami, od których dziesięć razy w każdej minucie, zależało życie mojej żony. Chociaż wydaje się to niemożliwe, jednak przeżyłem to. — Lavue zamilkł.

— Ona umarła, doktorze, prawda?

Skinął głową.

— Tak, nie było w ludzkiej ani niczyjej w ogóle mocy, żeby ją uratować.

— Wiedział pan o tym podczas operacji? Wiedział pan, że ona i tak umrze, bez względu na pana wysiłki?

— Wiedziałem.

— I mimo wszystko pan operował?

— A jak mogłem postąpić inaczej? Tylko teraz automat ocenia, jakie szanse ma pacjent na wyjście z choroby, i gdy stwierdzi, że jest to niemożliwe, pozwala człowiekowi umrzeć. Uwierzyliśmy już, że maszyna wie lepiej od nas, że wie na pewno, pogodziliśmy się z tym. Ale człowiek tym się różni od automatu, że nie oblicza szans i działa tak, jak umie najlepiej. Wierzy też, że tym razem wszystko się uda... — urwał gwałtownie i trwał chwilę w milczeniu, obracając skalpel w dłoni.

— To tym ją pan operował — zapytałem wskazując wzrokiem połyskujący w jego ręku nóż.

— Tak, tym — odpowiedział apatycznie.

Wstał i odłożył narzędzia na miejsce.

— I w ten sposób, Jim, prasa i niechętni nam kongresmani mieli w ręku świetny argument: chirurg, który nie potrafił uratować własnej żony. Gdy połączono to z faktem, że byłem jednym z bojowników o prawo człowieka do operowania, to możesz sobie wyobrazić, jak fatalnie odbiło się to na naszej kampanii. Rzucili się na mnie jak hieny. Przegraliśmy. Nie pomogły nasze protesty i tłumaczenia. Ludzi, nawet tych rozsądnych, ogarnęła histeria, że mogą zostać „zamordowani na stole operacyjnym w całym majestacie oprawa”, jak napisała jedna z wrogich nam gazet... Ale skończmy z tymi ponurymi historiami. Tak jak inni chirurdzy pogodziłem się z przegraną i kupiłem sobie automeda. Jeśli chcesz jeszcze coś obejrzeć, Jim, to proszę, mam tu wspaniałą kolekcję strzykawek, łyżek, nożyczek chirurgicznych.

— Nie, dziękuję, jak na jeden raz, wystarczy.

Nie powiedziałem mu, że obawiałem się, iż z każdym z tych połyskujących złowrogo narzędzi związana jest również tragiczna historia. Zastanawiałem się, co w tym momencie mam zrobić, gdy doktor wybawił mnie z kłopotu, oświadczając, że musi wyjść na chwilę.

Otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia i zamknął je za sobą tak szybko, iż zdążyłem tylko dostrzec białe ściany podręcznej salki opatrunkowej lub gabinetu zabiegowego.

Zostałem sam. Obracałem się wokoło wraz z fotelem, lustrując dokładnie cały pokój. Pod ekranem imitującym okno dostrzegłem wykonaną z ciemnożółtego materiału półkę, na której w kilku rzędach tkwiły ustawione jedna obok drugiej jakieś kolorowe cegielki. Wstałem, żeby zobaczyć, co to jest. Moje niejasne podejrzenia potwierdziły się: to były książki. Siadłem na posłaniu, domyślając się, że ciemny materiał, z którego jest wykonana półka, to drewno, a ten przedmiot jest niczym innym jak podręczną biblioteką doktora. Pewno lubił czytać książki do poduszki. Świadczyło o tym umieszczenie tego sprzętu w pobliżu tapczanu. Napłynęło do mnie niejasne wspomnienie dziwnego snu z tajemniczym miastem. Tam, we śnie, też spotykałem przedmioty wykonane z drewna... Wodziłem delikatnie opuszkami palców po zniszczonej okładce książki, nie śmiejąc do niej zajrzeć. Wreszcie się zdecydowałem. Otworzyłem ją na chybił trafił i gdy kartki znieruchomiały, podniosłem ją do twarzy i powąchałem. A potem, pozostając w aureoli jakiegoś piwnicznego zapachu, zacząłem czytać: „... i z tego pałacu, zdjęty strachem. Burza jeszcze szalała w całej pełni, gdy wkroczyłem w starą aleję. Znienacka dziwne światło padło na drogę i odwróciłem głowę, aby zobaczyć, skąd mogła wytrysnąć jasność tak osobliwa, ponieważ za sobą miałem tylko obszerny pałac, wraz ze wszystkimi jego cieniami. Blask pochodził od pełni księżycowej, która zachodziła, krwawo purpurowiejąc, i przeświecała teraz jaskrawo poprzez zaledwie ongi widoczną szczelinę biegnącą, jak nadmieniałem, zygzakiem wzdłuż budynku od dachu aż do podstawy. Gdym się przyglądał, szczelina owa rozszerzyła się szybko. Raz jeszcze nadbiegł wicher, raz jeszcze zakłębił się wir szalony — i cały krąg księżycy załśnił mi nagle w oczy. Doznałem zawrotu głowy, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadają się na dwoje. Zahuczało coś przeciągle, zagrzmiało głucho, jak odgłos tysiąca wodospadów — i głęboki spleśniały staw, u stóp mych tkwiący, posępny w milczeniu zawarł swe fale nad szczątkami Domu Usherów”.

Przestałem czytać i spojrzałem na nazwisko autora: Poe. Kartki przesypywały mi się między palcami z suchym szelestem. Chciałem jeszcze coś przeczytać, ale bałem się, że przed powrotem doktora nie zdążę sprawdzić, jakie jeszcze książki są w jego bibliotece. Dobór ich wydawał mi się zupełnie przypadkowy, trudno było patrząc na nie sprecyzować zainteresowania czytelnika, stanowiły raczej swą różnorodnością tematyki dowód na to, że zupełnie przypadkowo zostały uratowane z jakiejś katastrofy. Były wśród nich książki fachowe inżynierskie, medyczne, nawet astronomiczne, a także wybrana bez żadnego ładu i składu beletrystyka: Hugo, Wells, Shaw, Wergiliusz, Goethe, Dante, ale i Karol May, Mann, Stendhal, Szekspir i Andersen. Starłem się wyobrazić sobie doktora Lavue, jak leży wieczorem na posłaniu i czyta jedną ze swych książek. Godziny biegają, a on przewraca kartki, których treść zna już na pewno na pamięć, i napawa się ich niezwykłym zapachem.

Wróciłem na fotel. Zrobiłem to w samą porę, bo za drzwiami posłyszałem kroki doktora i zaraz on sam ukazał się na progu. Był już bez białego fartucha, popielaty kombinezon opinał jego wystający brzuch i chude łydki. Przeszedł obok mnie i usiadł na sąsiednim fotelu.

— No, ale opowiadaj, Jim, dlaczego chciałeś się ze mną widzieć?

ROZMOWA

Lavue siedział naprzeciwko z rękoma założonymi na brzuchu i patrzył na mnie. W tej właśnie chwili poczułem, że go lubię. Mimo to nie wiedziałem, jak właściwie mam zacząć. Lavue był chirurgiem, cokolwiek to w naszych warunkach znaczyło, a ja miałem problem raczej dla psychologa czy psionika.

— Miałem sen — zacząłem powoli i nieśmiało. — Bardzo dziwny sen; o nim chciałem

z panem porozmawiać.

Doktor ogromnie się zdziwił.

— Wierzysz w sny, Jim? We Freuda? Wiesz przecież, że te bzdury już dawno odrzuciliśmy?

— Źle się wyraziłem. Nie chodzi mi o normalny sen, to był raczej majak, koszmar, no, zupełna maligna.

Lavue był coraz bardziej zdziwiony.

— Skąd ci to w ogóle przychodzi do głowy?

— Niech pan posłucha, doktorze, a potem powie, co pan o tym sądzi.

I tu opowiedziałem mu ze wszystkimi szczegółami mój niezwykle sen, w którym zwiędzałem upiorne miasto. Opowiadałem o pustych ulicach i domach bez śladu mieszkańców, o cudem poruszających się samochodach, o rozbitej doniczce z fikusem i o spalonym domu w dzielnicy nadrzecznych slumsów, w który na końcu ja sam się zmieniłem. Gdy umilkłem, Lavue siedział nadal nieruchomo, jakby zasłuchany w gasnące dźwięki mego głosu, a bruzdy na jego czole wyraźnie się pogłębiły. Zastanawiał się i zdawało mi się nawet, że przestał zauważać moją obecność. Chciałem przerwać jego milczenie, ale nie zdobyłem się na to. Wreszcie doktor spojrzał na mnie spoza okularów i powiedział:

— Zastanawia mnie twoje słownictwo, Jim.

Zdziwiłem się. Cóż, u licha, ciekawego może być w mojej mowie? Ważniejsza wydawała mi się treść tej relacji, a nie jej forma.

— Mylisz się, Jim. Zastanów się tylko, a będziesz musiał przyznać mi rację. Powiedz tak uczciwie, z ręką na sercu, ile razy w ciągu swego życia użyłeś słowa „doniczka” czy „tramwaj”. No, może w szkole na lekcji historii. Raz, dwa razy. Ale później nie były ci one w ogóle potrzebne, bo nie spotykałeś na co dzień przedmiotów, które te słowa określają. Nie zastanowiło cię to, że śniło ci się miasto dwudziestowieczne i że ty potrafiłeś nazwać sam wszystkie spotkane w nim rzeczy i zjawiska za pomocą słów i określeń, których nigdy nie znałeś? Czy widziałeś kiedykolwiek fikus albo zardzewiałą puszkę po konserwach? Nie, na pewno nie. Więc skąd twoje jasnowidzenie, skąd to miasto z dwudziestego wieku?

— Myślałem, że pan mi to właśnie wyjaśni.

Doktor westchnął.

— Wyjaśnić może być tysiące. Ja podam ci takie, w które ja wierzę, bo chcę w nie wierzyć. Ale najpierw narysuj mi sylwetkę jakiegokolwiek z tych samochodów, które ci się śniły.

Domyślałem się, że Lavue chce mnie wystawić na próbę, ale nie zważałem się ani chwili. Pamięć wzrokową mam dobrą. Kilka ruchów magnetycznym piórem i oto na blacie stolika powstała dziwaczna sylwetka pojazdu.

Doktor przyjrzał się rysunkowi uważnie.

— Jesteś pewny, że właśnie tak wyglądał?

— Najzupełniej.

— Hm, to, co narysowałeś, wskazuje na lata siedemdziesiąte lub osiemdziesiąte dwudziestego wieku. Nie jestem znawcą, ale możesz mi wierzyć. Jak wiesz, wszelkie starocie to moje hobby.

Skinąłem głową. Nic nie rozumiałem i żałowałem już, że w ogóle rozpoczynałem tę rozmowę, z której prawdopodobnie nic nie wyniknie.

— Wyniknie, wyniknie — zamruczał Lavue, a widząc moje zdumione spojrzenie roześmiał się. — Masz twarz jak dziecko, Jim, odbija się na niej każda twoja wewnętrzna reakcja.

Zagryzłem wargi. Lavue spoważniał momentalnie.

— Wracajmy do sprawy — powiedział. — Moim zdaniem można całkowicie odrzucić teorię, że twój sen został wywołany przez narkotyzujące substancje zawarte w „czarcim wi-

nie”, „diabelskim eliksirze” czy jak wy tam w ogóle ten regeneratore nazywacie. Dowodem na to, co mówię, jest fakt, że nigdy do tej pory nie miałeś podobnych sensacji. Ani ty, ani nikt inny. Punktem wyjścia dla mnie jest natomiast fakt naszej obecności w pobliżu Psimy, na której spodziewamy się znaleźć istoty rozumne.

Lavue zamilkł na moment. Starł ręką narysowaną przeze mnie sylwetkę samochodu i mówił dalej:

— Skape dane, jakie do tej pory udało nam się zebrać o tej planecie, wskazują, iż jest ona siedliskiem intelektu znacznie lepiej umiejącego się posługiwać wytwarzanymi przez siebie psychopolami niż my, ludzie. Rozum ten od dawna musi sobie zdawać sprawę z tego, że zamierzamy go odwiedzić, i choć, jak przypuszczam, nie posiada środków w postaci rakiet, czy też celowo zrezygnował z posługiwania się tym środkiem w badaniu kosmosu, potrafił nam jednak wyjść naprzeciw.

Byłem coraz bardziej zaszokowany, nie miałem pojęcia na podstawie jakich badań Lavue wypowiada powyższe twierdzenia. Dla mnie to były domysły i mrzonki, dla niego pewniki. Ale doktor, upojony słowami, nie zwracał już na mnie najmniejszej uwagi. Płynął na fali marzeń, które poniosły go już bardzo daleko od bezpiecznego brzegu; dryfował na rafy. Powiedział jednak coś, co zmusiło mnie do zastanowienia i trochę innego niż do tej pory spojrzenia na jego wywody.

— Słyszałeś, Jim, jak Dorner mówił, że kilka godzin temu zanotowano wyższy niż zwykle gradient psychopola planety?

— Tak, słyszałem, ale jaki to ma związek ze mną?

— Świetne pytanie, Jim! Zasadniczy, tak, zasadniczy. Bo wyobraź sobie, że ów skokowy wzrost natężenia pola zanotowano podczas twojego snu. Zresztą naszego także, ale innym się nic nie śniło.

— Nie może pan tego twierdzić kategorycznie!

— Mogę. Im chodziło o dotarcie do człowieka, który ma największe szanse na to, że pierwszy postawi nogę na Psimie. Jesteś przecież pierwszym pilotem naszej wyprawy.

— Nie chce pan chyba powiedzieć...

— Chcę, właśnie że chcę.

— Ależ to nie jest możliwe!

— Z naszego punktu widzenia masz rację. Jednakże tylko dlatego, że my tego robić nie potrafimy. Ale oni?

— Dobrze, załóżmy, że się z panem zgadzam. Ale jaki jest cel tego badania? Mniejsza o środki... ale po co to zrobili? Żeby nam pokazać swoje możliwości, dla których nie stanowi przeszkody pancierz naszego astrolotu?!

— Nie, Jim, przypuszczam, że to był zwiad, rozpoznanie przeciwnika. Więcej, sądzę, że im się to nie najlepiej udało, skoro wszystko zapamiętałeś. A poza tym, to oni się do czegoś przygotowują.

— Jest pan tego pewny? Mówi pan tak, jakby pan to widział na własne oczy — pytałem gorączkowo.

— Wierzę, że są przynajmniej tak samo mądrzy jak my. My, gdybyśmy tylko mogli, postąpilibyśmy podobnie. Środki byłyby inne, sens ten sam.

— Trzeba powiedzieć o tym dowódcy! — krzyknąłem.

— Dornerowi? Nigdy w świecie! — Lavue sprzeciwił się kategorycznie.

— Dlaczego?

— Bo wtedy nie polecisz ty, tylko Garth.

— Niech pan nie będzie śmieszny, nie to jest ważne, tylko losy wyprawy, nas wszystkich. Dorner jest komandorem, on musi zdecydować.

— Właśnie dlatego trzeba, żebyś ty poleciał, inaczej nie dojdzie do kontaktu.

— Na podstawie moich sennych majaków sądzi pan, że ja jestem tym pomazańcem

bożym, od którego zależą losy całej wyprawy, a może i ludzkości? Przecież to śmieszne!

Lavue zamknął oczy i powiedział całkiem cicho:

— Ja chcę w to wierzyć!

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Teoria doktora była tak obłądna, jak mój sen, i może dlatego do niego pasowała. Ponieważ nie opierała się na żadnych przesłankach, nie była możliwa, przynajmniej na tym etapie, do obalenia. Nie było możliwości także jej potwierdzić, ale Lavue wierzył w nią i to przeważało szalę.

— Ale skąd, doktorze, ten dwudziesty wiek, po co to miasto, czemu bez ludzi i dźwięku?

— Nie mam pojęcia. O tym dowiesz się, gdy wylądujesz na Psimie. Tak przynajmniej przypuszczam. Jednego tylko jeszcze jestem pewien: że nasze komputery są dla nich równie łatwo dostępne, jak dla nas. Z nich zaczerpnęli potrzebne informacje. Co natomiast ma znaczyć ta dekoracja, w której się poruszałeś (bo to na pewno była dekoracja!), wiedzą tylko oni. Nic nie dzieje się ot, tak sobie. Więc i XX wiek ma jakieś miejsce w ich planie. Ale o tym sam się przekonasz.

JOL

Od Lavue'a wyszedłem z mieszanymi uczuciami. Po pierwsze dziwiła mnie jego pewność i upór, z jakim obstawał przy tych paradoksalnych sądach. Jego teoria została w całości zbudowana na domysłach, a te, jak wiadomo, nie mają wartości naukowej. Ale Lavue w nią wierzył. I to wierzył głęboko. Ja nie, potrzebowałem czegoś więcej niż mgliste przypuszczenia i wnioski wysnute z enigmatycznych i mało prawdopodobnych przesłanek. Domyślałem się, że Lavue jest marzycielem i romantykiem na dodatek; połączenie tych cech dało owoc w postaci fantastycznej bajki, która, gdyby była prawdziwa, czyniłaby bezcelowym nasz lot, bo wszystko byłoby wiadome jeszcze przed lądowaniem. Rozumiałem, co prawda, że mój opór również nie opierał się na żadnych dowodach, ale przede wszystkim czułem, że rozumowanie doktora szło po linii najgorętszych życzeń, a nie opierało się na żadnych racjonalnych podstawach. Poza tym sam punkt wyjścia do naszych rozważań był niejasny, a więc cały problem niejako już w swej genezie nosił znamię jeśli nie fałszu, to przynajmniej obłądy. Bo czym w końcu był? Sennym majakiem, który uzupełniony kilkoma domysłami chciał udawać aksjomat. Na to w żadnym wypadku nie można się było zgodzić.

Mogło się oczywiście zdarzyć, chociaż było to naprawdę mało prawdopodobne, że wywody Lavue'a okażą się w jakiś cudowny sposób prawdziwe, jeśli nie w całej rozciągłości, to przynajmniej w ogólnym zarysie. Niczego to by jednak nie zmieniło. Byłby to zwykły, choć niesamowity przypadek, ponieważ doktor doszedł do swego zaskakującego wniosku nie drogą dedukcji; nie posuwał się od ogniwa do ogniwa w łańcuchu prawd absolutnych, widząc, jak jedna pasuje do drugiej, lecz od razu przekroczył Rubikon swego rozumowania, wysnuwając tezę bezpośrednio z założeń i nie popierając jej żadnym dowodem. W końcu jednak o ile jedna połowa mego „ja” mówiła zdecydowanie „nie”, o tyle druga jego część będąca pod niewyraźnym, ale silnym wrażeniem przeżytego snu skłaniała się ku teorii doktora, przyciągana raczej jej niesamowitością i romantycznością niż rzeczywistymi wartościami odkrywczymi. To drugie „ja” chętniej wierzyło, że jest wybrańcem losu, od którego wiele może zależeć.

Ruchomy chodnik niósł mnie niestrudzenie przed siebie. Zbliżałem się do centralnej części statku, bo korytarze były coraz częściej oświetlone. Wreszcie i ja wpłynąłem jednostajnym ruchem w sferę światła białego, pozbywając się jednocześnie indywidualnej, kolorowej mgiełki.

Doktor miał rację. Po tak długim czasie przebywania w komorach przetrwalnikowych

ludzi ogarnęła euforia, a nawet, powiedziałbym, szaleństwo. Odurzeni wszelkimi możliwymi do stosowania środkami snuli się po pokładach, wyczyniając od czasu do czasu najdziksze brewerie. Automaty stojące w niszach błyskały światłami żółtego alarmu, zaprogramowane na wszelki wypadek na stan podwyższonej gotowości. W tej jednej sytuacji mogły nie słuchać i nie wykonywać rozkazów pochodzących od ludzi, jeśli stwierdziły, że znajdują się oni w stanie oszołomienia narkotycznego.

Kilku techników urządziło sobie zabawę w śnieżki; z przyniesionego z chłodni śniegu lepili wielkie białe kule obrzucając się nimi wzajemnie lub celując do innych ludzi. Jeden z nich odłączył się od grupy i stanawszy naprzeciw automatu z zapasem kilku śnieżek w dłoniach, zaczął je ciskać w robota, usiłując trafić w połyskujące żółto oko. Nie udawało mu się to, bo chwiał się mocno na nogach, ale za którymś razem, ku uciesze kolegów, którzy przyglądali się zabawie, biała kula trafiła w sygnalizator. Wybuch śmiechu i oklaski były nagrodą dla Strzelca. — Automat podniósł manipulator i beznamiętnie strącił topniejący śnieg.

Poszedłem dalej. Mijałem kolejno nasz park, gdzie w stanie całkowitego zbratania z przyrodą uganiano się za zwierzętami i ptakami, które, chociaż także przebyły podróż w stanie hibernacji, zachowywały się spokojniej, basen, gdzie wesołe towarzystwo zażywało kąpeli, salę kinową całkowicie pustą, wypełnioną po brzegi salę taneczną, jadalnię, której pilnował, jak pies ogrodnika, automat, aż wreszcie zmęczony tym wszystkim wskoczyłem do windy wiodącej do sterowni. Automat stojący przed windą przepuścił mnie, widać nie reagował na alkohol; postanowiłem i ja się zabawić i wcisnąłem klawisz alarmowy. Przyspieszenie wgniotło mnie w podłogę i zanim zdołałem zareagować, winda wypluła mnie w kabinie sterowniczej. Wystrzeliłem jak z procy i potykając się przebiegłem kilka kroków. Na jednym z foteli siedział ktoś, kogo nie rozpoznałem; spoza wysokiego oparcia. Na odgłos mojego wtargnięcia odwrócił się gwałtownie wraz z fotelem. To był Blash, nawigator. Spojrzał na mnie badawczo, rzucając niespokojny wzrok na stojące po jego obu bokach czarne automaty.

— Jestem w porządku — zapewniłem go pośpiesznie. — Zresztą widzisz, że automaty mnie nie uspiły. Chciałem się tylko przewieźć awaryjnym ciągiem, ale widocznie zapomniałem, jak to działa, no i trochę mnie sponiewierało.

— Siadaj — powiedział Blash. — Jeszcze tylko godzina dyżuru, a potem przyjdzie Dorner. Masz szczęście, że nie wyznaczył ciebie.

— Nic mi z tego, nie umiem tego wykorzystać.

— Nie? A Jol? Nie byłeś u niej? Szukała cię wszędzie.

— A wiesz, że to nie jest zła myśl! Idę — zawołałem z entuzjazmem.

— Powodzenia! — krzyknął za mną, ale ja już nie odpowiedziałem.

Wsiadłem do windy i po chwili byłem trzysta metrów niżej czy też, jak kto woli, dalej. Spieszyłem się, jakbym chciał nadgonić zmarnowany, w pojęciu Blasha, czas. Gdy mijałem w drodze powrotnej basen, doszły mnie z niego nieludzkie krzyki. Zajrzałem tam. Z początku nie mogłem się zorientować, o co chodzi kłębiącym się wśród tropikalnej roślinności ludziom. Dopiero po chwili, widząc nad brzegiem basenu czerwony pojemnik ze śniegiem, zrozumiałem, że grupa zabawiających się w śnieżki techników, znudzwszy sobie obrzucanie śniegiem nie reagujących na to automatów, wzięła na cel kąpiących się w basenie ludzi. Ktoś włączył chłodzenie, co spowodowało gwałtowne protesty pławionych w zimnej wodzie miłośników kąpeli. Przypomniałem sobie, że na karę lodu Dante skazywał w swym piekle zdrajców, i wycofałem się szybko, żeby przez pomyłkę nie znaleźć się w ich towarzystwie.

Zacząłem biec. Jeszcze jeden chodnik, jedna winda i byłem na miejscu, w sekcji mieszkalnej fizyków.

Przez całą drogę, nie wiem dlaczego, byłem pewny, że zastanę Jol w jej segmencie. Dopiero gdy zdyszany zatrzymałem się przed drzwiami, zdałem sobie sprawę z tego, że zapewne bawi się gdzieś jak inni, fetując kolejny powrót do życia. Nigdy do tej pory nie analizowałem treści mojego stosunku do Jol, nie zastanawiałem się nad tym, co nas łączy, a co dzieli, ale

gdy pomyślałem, że jej nie ma u siebie, odczułem przykrość i zawód. Pod wpływem tych dwóch uczuć wcisnąłem gwałtownie klawisz zamka magnetycznego. Drzwi nie drgnęły, a po chwili usłyszałem spoza nich cichy szelest; ktoś się tam poruszał.

— To ty, Jim? — usłyszałem zaspany głos w komunikatorze. — Wejdz.

Jeszcze raz wcisnąłem taster zamka i wszedłem do środka. Jol leżała na pościeli, przykryta połyskującym wszystkimi kolorami tęczy pledem. Zapewne spała do tej pory. Zaskoczyło mnie to tak dalece, że nie odezwałem się nawet. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę z tego, co nas właściwie łączy; to że niezbyt łatwo ulegaliśmy emocjom. Jeśli było to zrozumiałe u mnie jako pilota, bo miałem najwyższy na tym statku współczynnik opanowania, o tyle dziwiło mnie u Jol. Była co prawda bardzo małomówna, spokojna czy też, jak to mówił Lavue — zjawiskowa, to jednak cokolwiek owa zjawiskowość znaczyła, nie podejrzewałem jej o to, że najzwyczajniej w świecie pójdzie spać w chwili, gdy cały statek oddaje się szaleństwu.

Jol tymczasem wstała i podeszła do mnie. Objąłem ją i przyciągnąłem gwałtownie do siebie. Wtuliłem twarz w jej włosy. Jol miała włosy, jakich już nikt nie nosił; długie, puszyste blond pasma wiły się wokół jej głowy i opalonych ramion. Ich zapach budził we mnie zawsze nieokreśloną tęsknotę za czymś utraconym, czego już nie pamiętam lub nie znałem nigdy i na próżno usiłowałem owo coś dojrzeć spoza skrywającej je mgły. Wdychałem ten zapach, czekając na chwilę, w której wreszcie zrozumieję, co mi przypomina, drżałem w oczekiwaniu spełnienia, które jak zwykle nie nadeszło. Odczułem ogromny zawód, gdy pojąłem, że i tym razem nie udało mi się poznać tej prawdy prawd.

Odgarnąłem włosy z jej twarzy i zacząłem całować usta z zachłannością mającą zagłuszyć czy raczej zmyć ten nieprzyjemny osad, jaki we mnie pozostał. Nagle Jol roześmiała się lekko i odepchnęła mnie.

— Co się stało?

— Pachniesz jakoś śmiesznie, Jim.

— Śmiesznie? — nie wiedziałem, że zapach może być śmieszny.

A Jol tak powiedziała, mimo że ta dziewczyna była przecież niezłym fizykiem.

— Tak, śmiesznie. Twoja twarz, usta pachną tym czymś, nie wiem, co to jest...

— Ach, to alkohol — zrozumiałem nagle — byłem u doktora i on mnie poczęstował koniakiem; to taki środek odurzający, którego używano zanim poznano halucynogeny.

— Wiem, ale nie wiedziałam, że to ma taki zapach.

— Taki śmieszny?

— Tak.

— To u Lavue'a byłeś przez ten czas? — zapytała formując na sobie ściągnięty z pościeli pled we wcale zgrabne kimono.

— Tak, potem byłem w nawigacyjnej, ale Blash powiedział mi...

— ...że cię szukałam.

— Tak.

— Blash jest świnią — powiedziała, a piegi na jej nosku pociemniały gwałtownie. — Słyszał, że Petersen ciągnął mnie do siebie i specjalnie cię tu wysłał, żebyś mnie nie zastał.

— Mogłaś iść — powiedziałem jakby zapominając, że jeszcze nie tak dawno bałem się właśnie tego.

— Nie — pokręciła energicznie głową — ciebie lubię, a Petersena nie, dlatego czekałam, aż przyjdiesz.

— A więc jestem i mam zamiar zostać.

— To dobrze.

Leżeliśmy potem obok siebie w ciemności rozświetlonej błyskami aparatury wizyjnej i milczeliśmy. Tak było najlepiej, bo tak było tylko z Jol. Nasze ciała rozpoznały się i odnalazły na nowo, przyznały się do siebie gwałtownie i zaborczo. Jakikolwiek słowa były przy

tym nieważne, bo i tak nie potrafiłem oddać słowami tego, co czułem. Jol pewnie by mogła, ale także nic nie mówiła. Jej piersi, oświetlane różnobarwnymi refleksami pochodzącymi z ekranu, unosiły się w lekkim, rytmicznym oddechu; koniuszek lewej drżał nieznacznie w takt uderzeń serca. Myślałem, że śpi.

— Oddychasz dwa razy wolniej niż ja — powiedziała nagle.

SIC ITUR AD ASTRA

Wszeghogarniającą czerń kosmosu nakropkowaną z rzadka złotymi punkcikami gwiazd rozdarł nagle jasny, oślepiający błysk. Przez chwilę na ekranach sterowni nie było nic widać, lśniły srebrem, dopiero w kilka sekund później dostrzegliśmy kolejne metalowe cygaro, które wyrwawszy się z naszego statku, spadało teraz popychane jonowym ciągiem ku płaszczyźnie ekliptyki. Byliśmy już w obrębie układu i zaczęliśmy badania otaczającej nas przestrzeni. Spóźnione drżenie przebiegło przez ściany naszego kolosa, była to reakcja na odpalenie kolejnej sondy, na moment znów oślepiłmy, by po chwili dojrzeć wiecznotrwałe gwiazdy zawieszane w oceanie czerni. Już godzinę siedzieliśmy razem z Blashem i Garthem w sterowni i zgodnie z dostarczonym przez uczonych programem wystrzeliliśmy sondy w różnych kierunkach. Każdemu startowi towarzyszyło błysnięcie kolejnej lampki na pulpicie komputera, znaczyło to, że komputer utrzymywał kontakt z sondą, która miała mu dostarczać naukowe dane zebrane podczas lotu. Świątełek takich pulsowało już osiemnaście, do liczby pięćdziesięciu brakowało jeszcze sporo.

Odzywaliśmy się tylko sporadycznie, w chwili, gdy wymagała tego procedura, to znaczy przed startem kolejnego pocisku.

— Stanowisko startowe?

— Gotowe!

— Program?

— Gotów!

— Tor?

— Wolny!

— START!

I znowu drżenie ścian, błysk, oślepiłe ekrany i kolejne światełko mrugające na płycie komputera. Po chwili wszystko powtarzało się od nowa. Chwilowe przerwy, jakie mieliśmy w czasie tej monotonnej pracy, powodowane były przeciążeniem głównego kalkulatora statku, uczeni bowiem rzucili się dosłownie na swoją pracę i męczyli maszynę najdziwniejszymi obliczeniami, eksploatując ją nadmiernie. Wtedy trzeba było włączyć dodatkowe sekcje logiczne. Czerwień znikwała z tarczy czołowej maszyny i obliczenia biegły dalej. Jednak nie mogło to trwać w nieskończoność, komputer musiał mieć żelazny zapas sekcji możliwych do uruchomienia w jakiejś awaryjnej sytuacji. Przecież należało również przewidzieć jakąś katastrofę na „Strzelcu”. Na razie nic nam jednak nie groziło, przestrzeń była pusta, ekrany urządzeń lokacyjnych wskazywały jedyne poruszające się w niej punkty, którymi były nasze sondy. Podobne do starożytnych bomb czy rakiet bojowych, zaopatrzone w najdziwniejsze programy miały przesyć przestrzeń układu i wyekstrahować z niej maksimum informacji na temat promieniowania kosmicznego, natężenia pól grawitacyjnych, magnetycznych, elektrycznych, biologicznych, psychicznych, gęstości materii międzygwiazdnej, budowy, wielkości i masy planet oraz właściwości naszego nowego słońca, któremu nie nadaliśmy jeszcze nazwy. Teraz wiedzieliśmy tylko, że jest to czerwony karzeł siódmej wielkości gwiazdowej, słońce dość zimne i szybko stygnące, w związku z czym ekosfera tej gwiazdy kurczyła się w zastraszający, jak na warunki kosmiczne, sposób. Jak wynikało z obliczeń, za kilkanaście tysięcy lat

Psima znajdzie się już poza granicą sfery życia, tak jak w tej chwili znajduje się tam Trzecia. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że układ ten, a zwłaszcza jego słońce, czasy świetności ma już dawno za sobą, a możliwa do spotkania cywilizacja mogła być bardzo stara. Niosło to ze sobą dodatkowy stopień zagrożenia dla nas i dla nich. Zetknięcie się dwóch różnych kultur, młodej i starej, w warunkach dla tej drugiej ekstremalnych, mogło przynieść nieoczekiwane skutki. Mieszkańcy Psimy, jeśli na podstawie naszych skromnych danych można było założyć ich istnienie, musieli sobie zdawać sprawę z tego, że ich cywilizacja chyli się ku upadkowi.

Dałem spokój tym jałowym rozważaniom, którymi zaraziłem się na pewno od doktora, i wróciłem do obserwacji przyrządów. Jeszcze tylko cztery sondy zostały nam do wystrzelenia, zadaniem ich było wtargnąć jak najgłębiej w fotosferę gwiazdy i stamtąd przekazywać dane, aż do chwili zagłady aparatów. Leciały ostatnie, bo ich dane miały być uzupełnieniem i ukończeniem wszystkich innych badań.

— Koniec — powiedział Garth, z ulgą wciskając po raz ostatni klawisz zapłonu na swojej konsolce. Odepchnął się od pulpitu i wraz z fotelem odjechał na środek salki. Wstał i przeciągnął się, aż mu w kościach zatrzeszczało.

— Dawno się tak nie napracowałem — dodał z rozbijającym uśmiechem.

— Zwłaszcza że od kilku lat twoją jedyną pracą było nic nie robić!

— Właśnie. Dlatego się zmęczyłem. Idę na basen. Idziesz, Jim?

— Nie.

Garth wskoczył do windy i zniknął z oczu.

Wstałem i ja.

— Zostajesz, Blash?

— Tak, zaczekam na Dornera.

Kiwnąłem mu głową i wyszedłem. Blash, gdyby mógł, zamieszkałby chyba w tej sterowni. Rzadko się z niej ruszał, a i to tylko w czasie posiłków i snu. Miałem ochotę powłóczyć się po statku, zobaczyć, co robią inni, zejść na sam dół, gdzie mimo wszystkich zabezpieczeń czuje się zza stalowych grodzi wibracje od pracujących za nimi maszyn i urządzeń, których jedynym zadaniem było utrzymać nas przy życiu. Zawsze wyobrażałem sobie, że za tą stalową ścianą tkwią mityczni olbrzymi — cyklopi, którzy pod wodzą kulawego Wulkana w ciemności, ale pośród ognia, ubrudzeni smarami i sadzą pracują dla przebywających na Olimpie bogów, kując śmiertelne pioruny.

Zatrzymałem windę na pierwszym poziomie pod sekcjami mieszkalnymi; tu zaczynały się pracownie i laboratoria uczonych, tu docierały przetworzone przez komputer sygnały pochodzące od wystrzelonych przez nas przed chwilą sond. Sygnały te już nadchodziły, bo bębny aparatów zapisujących i zapamiętujących były w ruchu. Podręczne maszyny analogowe pracowały pełną parą łącząc się często z głównym kalkulatorem, na ekranach przyrządów pomiarowych błyskały Wyniki, świergotały przełączniki, mruczały wzmacniacze, rejestratory i oscylografy kreśliły wymyślne krzywe, z których można było odczytać, jak zmienia się gęstość otaczającej nas przestrzeni, jakie są, czy jakie były, gradienty temperatur na poszczególnych planetach i na słońcu, dewiacje pól magnetycznych i elektrycznych, ich wektory rotacji, zmiany w czasie i w przestrzeni wszelkich możliwych wartości opisujących próżnię. W kącie, na małej przystawce holograficznej, ktoś nie dowierając astrofizykom gastronomom modelował przestrzenny obraz układu i zachodzących w nim zmian. Tu było królestwo fizyków, dla nich sondy najwcześniej zaczęły dostarczać materiały i oni pierwsi zabrali się do pracy. Za jednymi z przeszklonych drzwi dostrzegłem Jol; gruby Petersen tłustym, podobnym do serdelka paluchem wodził po kolorowym diagramie, a Jol słuchała go uważnie. Zwolniłem drzwi z zamka i cofnąłem się trochę, aby mnie nie zobaczyli; chciałem usłyszeć, o czym mówią.

— ...wskazywałoby to — kontynuował jakąś wcześniej rozpoczętą myśl — że gęstość jej skorupy zmienia się skokowo, i to jest dziwne. Jako model mogłaby nam posłużyć zwykła

piłka złożona z kilku warstw, oddzielonych sprężonym powietrzem; gęstość średnia takiego ciała byłaby niezbyt wielka, ale do przyjęcia, natomiast jej gradient po promieniu zmieniałby się właśnie tak, jak w przypadku tej planety.

Nie wiem czemu, ale pomyślałem, że mówią o Psimie. Jol zapytała o coś Petersena, czego nie dosłyszałem.

— Nie, nie tak dokładnie. To jeszcze o niczym takim nie świadczy, może to być naturalny rozkład warstw minerałów na skutek procesów, których na razie nie znamy.

Przymknąłem drzwi; tym razem nie udało mi się tego uczynić bezszelestnie i na cichy trzask obrócili się oboje. Zauważyłem tylko lekki uśmiech Jol i zdziwioną twarz Petersena. Zły na siebie poszedłem dalej. W sąsiednich pracowniach wyglądało wszystko podobnie; grube kable wiły się po podłogach, maszyny liczące mełły w swych okienkach kolorowe cyferki, ludzie podawali sobie dane i wyniki podniesionym głosem, przekrzykując się wzajemnie i zagłuszając szum elektrycznych maszyn, błyskały stroboskopy i lasery holowizji, światłowody tłoczyły dane do banku pamięci, skarbca statku, wykorzystane taśmy magnetyczne i filmowe skrzypiały pod nogami chodzących po nich ludzi. Wielkie zwoje taśm perforowanych poutykane po kątach wyglądały jak śniegowe bałwany, które nie zdążyły się jeszcze roztopić po zimie, a perforowane karty maszyn liczących zaścielały podłogę na kształt mozaikowej posadzki. Na niższym poziomie znajdowała się Sekcja Chemiczna. Tutaj też mieli już sporo wyników do opracowania; te same sondy dostarczały im dane o pierwiastkach i związkach wykrytych przez szperacze w ilościach zupełnie śladowych w otaczającej nas przestrzeni. Właściwie nie różniły się one od danych z innych regionów kosmosu, na przykład z Układu Słonecznego! Przeważał wodór, ale zastanawiająco dużo było także amoniaku. Jego występowanie w przestrzeni stanowiło na razie zagadkę. Przypuszczano, że znalazł się w niej na skutek bliżej nie określonej reakcji, może wybuchowej, która zaszła gdzieś w obrębie układu. Mogła to być nawet katastrofa kosmiczna, jednak większość uczonych uważała, że jest to pozostałość po jakiejś komecie, której, ze względu na jej dużą w tej chwili odległość, nie udało się zlokalizować. Dane o budowie planet i słońca jeszcze nie nadeszły. Snuto jedynie jałowe domysły na ten temat, czekając na jakieś konkretne wyniki. Na razie grupa chemików do spółki z biologami przygotowywała odpowiednie doświadczenia i pożywki mające się przydać później, gdy automaty dostarczą próbki planet. Po chwili fizycy, z Petersenem na czele, oddali im we władanie spektroskopy i większość uczonych spragnionych jakichś rewelacji podążyła do sali analiz, żeby wreszcie zbadać czerwonego karła, który zapewne długo jeszcze będzie naszym słońcem. Dwie następne sekcje opuściłem, bo cybernetycy i fotonicy nie mieli jeszcze na pewno nic do roboty, również biolodzy współpracujący chwilowo z Sekcją Chemiczną nie mieli nic nowego, czego by nie znano od sześćdziesięciu lat, to jest od chwili odkrycia Psimy. Ludzie siedzieli przy pulpitych i zamęczali siebie i automaty pytaniami o życie i ewentualną ewolucję na Psimie. Co chwilę na ekranach ukazywał się napis: „Brak danych”, ale nie zrażeni tym uczeni zaczęli ten sam problem atakować z innej strony, jakby w nadziei, że maszyny wreszcie zmiękną i powiedzą coś sensownego. Jedyne lekarze w Sekcji Medycznej mieli konkretną pracę, badali bowiem po kolei wszystkich członków załogi; naukowcy, zajęci przy komputerach, przychodzili tutaj niechętnie, byli opryskliwi i od razu po badaniach pędzili do dalszej pracy. Spojrzałem na swój naręczny minikomputer, termin badania, jaki miałem w nim zakodowany, wyznaczony był dopiero na następny dzień. Zagładając do poszczególnych pomieszczeń przechodziłem dalej, obserwując wszędzie ten sam widok; ludzie zatopieni po uszy w pracy, wpatrzeni w aparaturę diagnostyczną, oplątani przewodami i oblepieni czujnikami wyglądali jak jakieś monstrualne potwory. Rozmieszczone obok ekrany i rejestratory pokazywały skupionym medykom, co się dzieje we wnętrzu organizmów ich pacjentów. Człowiek stawał się tu jedynie dodatkiem do tej plątaniny elektronicznego złomu, dodatkiem stworzonym w tym celu, żeby ta maszyneria miała po co działać.

Planetolodzy, archeolodzy, historycy, nukleonicy i wielu innych specjalistów nie miało

jeszcze nic do roboty, ich sekcje świeciły pustkami. Jedynie matematycy byli rozchwytywani jako chłopcy do wszystkiego, a przede wszystkim do obsługi maszyn liczących.

Minąłem dalsze sekcje naukowe, tak bezrobotne, że nawet nie oświetlone na przyjęcie ewentualnych gości. Były to Sekcje Semantyków, Historyków, Kultury, Językoznawców i połączona Sekcja Bioników i Psioników. Winda wypłuła mnie poniżej, gdzie w Sekcjach Energetycznych ponurzy inżynierowie i technicy pilnowali zegarów poboru i produkcji mocy.

Tutaj coś się działo, trzaskały przekaźniki, wypadały panele ze spalonymi bezpiecznikami, buczały głucho sygnały awarii, w powietrzu czuć było ozon z iskrzących przewodów, ludzie klęli, usiłując zapanować nad tym chaosem.

Był to normalny obrazek w początkowych dniach pracy, później zapal naukowców stopniowo słabł, przestawali gonić przespany czas i nie usiłowali zwiększonymi mocami rozwiązać problemów, do których rozwiązania brakowało na razie danych. Ale przez pierwsze dni ci, tutaj na dole, naprawę mieli co robić. Później wystarczało im ledwo kilku do obsługi całego systemu, a i oni zabijali czas oglądaniem programów na podręcznych hi-vi.

Wielu z dyżurujących tu ludzi znałem dość blisko, a z jednym z nich, Brossem, latałem nawet przez jakiś czas w Patrołu Układowym. Sporo ludzi z Patrołu trafiło na „Strzelca” podczas kompletowania jego załogi, chodziło o to, żeby wybrać najlepszych, jakimi dysponowała wtedy Agencja, ale żeby nie zakłóciło to normalnej komunikacji handlowej i pasażerskiej. Dlatego wybór padł na Patrol, ludzi doświadczonych i o dużej odporności psychicznej.

Skierowałem się do wind, chciałem bowiem ominąć wszystkie Sekcje Magazynowe, których było również dwanaście, i dotrzeć na sam dół, gdzie królowały ciemność i hałas. Już wysiadając z windy poczułem w stopach delikatne mrowienie, spowodowane wibracjami pokładu, po którym szedłem. Cichy szum, czy raczej pomruk, wzrastał się w miarę, jak zbliżałem się do ciemniejszej przede mną stalowej grodzi. Wreszcie stanąłem o krok od niej i wyciągnąwszy przed siebie obie ręce, oparłem dłonie na drgającym metalu. Trwałem tak, wygięty w łuk, jakbym czerpał przenoszoną zza niego energię, chłonać niezwykle szумы urządzeń transformujących, oczyszczających, produkujących, regenerujących; klekot przekaźników i wysokie zawrodoenie elektrycznych silników, pomp, zaworów, dławików, zgrzytanie przewodnic, cichy bieg tłoków i syk sprężanych gazów — a wszystko to przemieszane ze sobą, tworzące jakąś niezwykle kakofonię dźwięków, przywodzących na myśl gigantycznego smoka, który spoczywając w swej pieczarze, odgrodzony stalową ścianą od wścibskich ludzi, odpoczywa po udanych łowach, trawiać upolowaną zwierzynę, budząc nawet we śnie respekt i strach swą uspioną siłą i wielkością. Wodziłem rękami po metalowej grodzi, jakbym chciał obłaskawić śpiącego potwora. Odczułem ból w mięśniach, ich napięcie potęgowało skutek pochłanianych przeze mnie wibracji. Czując w ramionach dziwny bezwład zacząłem je machinalnie masować. Jeszcze raz spojrzałem na czarną ścianę i ruszyłem z powrotem. Winda wiozła mnie kolejno przez wszystkie zamieszkane pokłady „Strzelca”; stojąc w jej przytulnym wnętrzu i czując się odseparowany od otaczającego mnie świata przyglądałem się ludziom, którzy migali mi przed oczami w krótkich momentach, kiedy mijałem drzwi szybu. Łapałem samym mózgiem, niemal bez użycia wzroku, urwane gesty, jakie pozwalała mi uchwycić szybka jazda, i łączyłem je z ujrzanymi już o piętro czy dwa wyżej; powstawały z tego jakieś przedziwne zbitki obrazów, raz śmieszne, innym razem nijakie, gdy zarejestrowane i połączone w jedną całość przeze mnie obrazy nic szczególnego nie wyrażały.

Znudziła mi się ta jazda; zamknąłem oczy i po chwili, po której, jak mi się zdawało, zatraciłem poczucie przebytej drogi, uderzyłem w przypadkowy przycisk.

Nadal nie otwierając oczu czekałem, aż winda stanie. Drzwi się otworzyły i usłyszałem ostry głos:

— Niech pan się nie wygłupia, Rank!

Spojrzałem. Przede mną stał Dorner.

— Dobrze się pan czuje?

— Jak najlepiej, zamyśliłem się tylko.
— Słyszałem, że zrobił pan inspekcję statku. Prywatnie. No i jakie są pana wnioski?
Blash! — pomyślałem. Musiał widzieć w komunikatorach, że się włóczę po statku i doniósł Dornerowi.

— Wszystko w porządku.
— Tak myślałem — skinął głową i minął mnie wsiadając do kabiny. — Jedzie pan dalej?

— Nie — opamiętałem się w porę. — Idę na obiad.
Szklana płyta oddzieliła nas od siebie zasuważąc się z cichym sykiem i winda poniosła Dornera w dół; jeszcze przez chwilę jego głowa znajdowała się na wysokości moich barków, bioder, kolan, aż wreszcie kurcząc się coraz szybciej objął wzrokiem moje stopy i zniknął w głębi szybu. Jedynie słaby poblask światła odbity od ścian sączył się jeszcze przez pewien czas, słabnąc w miarę, jak winda unosząca dowódcę opadała coraz głębiej i głębiej. Stałem przez chwilę nieruchomo, smakując to symboliczne poníženie, którego za sprawą bezmyślnej maszyny doznał nasz komandor, a potem ruszyłem do stołówki.

W parku panowała już noc. Ciemne drzewa stały dumnie wznosząc swe wierzchołki aż pod sam szczyt kopuły, na której umieszczona tam aparatura fantomatyczna fabrykowała obraz nocnego nieba widzianego z Ziemi. Nawet księżyc w pełni i w „lisiej czapie” był oszustwem wskazującym na to, że jutro prawdopodobnie nie będzie pogody.

— O czym myślisz? — zapytała Jol.
— O tym, że jutro będzie deszcz.
Spojrzała na księżyc, i jak mi się zdawało, uśmiechnęła się.
— Tak, masz rację. Planetolodzy się nudzą, więc postanowili wziąć się za formowanie naszego klimatu.

Zamilkliśmy. Po chwili Jol poruszyła się na ławce.
— Zimno. Nie można wyłączyć tego wiatru?
— Nie — powiedziałem — zbliża się jesień, to są ostatnie dni lata w naszym parku. Będą już coraz chłodniejsze.

— Tak, ale wrzesień też bywa piękny, zwłaszcza na wyspach...
Nic nie powiedziałem. Jol pochodziła z południa, dla niej moje rodzinne Milwaukee leżało za kołem podbiegunowym.

— Czemu nas dzisiaj podsłuchiwałeś? — zapytała nagle. — To nieładnie.
— Nie wiem sam, co mi strzeliło do głowy. Zresztą narobiłem dzisiaj jeszcze więcej głupstw.

— Opowiedz.
Opowiedziałem.
— Wariat jesteś i tyle — skwitowała jednym zdaniem moje wynurzenia.
Nagle znowu zmieniła temat.

— Lecisz?
— Jeszcze nie wiem, ale prawdopodobnie tak.
— Kiedy?
— Jak już będzie pewne, że będę mógł bezpiecznie wrócić.
— Dorner czeka na nasze wyniki?
— Słyszałaś przecież.
— Tak... U nas rosły palmy — zmieniła nagle temat.
— Wyobrażam sobie. Za to w Milwaukee po ulicach chodziły zimą niedźwiedzie. Ale nie zawsze, tylko wtedy, kiedy były duże mrozy.

— W zimie niedźwiedzie śpią.
— Skąd wiesz, widziałaś?

Roześmiała się.

— Chodź, pójdziemy obejrzeć jakiś film. Tutaj jest coraz zimniej.

Żwir alejki skrzypiał pod naszymi nogami jak zmarznięty śnieg.

— Idzie zima.

— Właśnie.

— Wiesz, dopiero dzisiaj poczułam, że znowu żyję!

Badania biegły szybko. Sondy dostarczały przez cały czas zebrane informacje, które w postaci fal elektromagnetycznych mknęły w stronę „Strzelca” z różnych zakątków układu. Powoli z powodzi materiałów wyłaniał się jego obraz. Słońce, nazwane już teraz Hershell II, zaliczyli nasi astrofizycy, z jego temperaturą powierzchni rzędu tysiąca kelwinów, do typu widmowego M2. W jego orszaku znajdowały się cztery, a nie jak wcześniej przypuszczano, trzy planety. Pierwsza, kręcąca się blisko stygnącego słońca, miała warunki zbliżone do Merkurego, podobną budowę, ale znacznie większą masę. Druga to była Psima. Z danych dostarczonych na statek wynikało, że warunki panujące na tej planecie czynią ją podobną do Marsa; tak jak i on Psima znajdowała się na granicy ekosfery swego słońca. Podobieństwo do Marsa zwiększał jeszcze fakt, iż była planetą pustynną, której atmosfera nie nadawała się do oddychania dla ludzi z powodu dużej zawartości tlenku węgla i węglowodorów aromatycznych. Jedynym zagadkowym faktem, jakiego dostarczyły badania, była dziwnie mała gęstość tej planety. Próbkę geologiczną przetransportowaną przez roboty wskazywały występowanie jakiejś organicznej substancji układającej się warstwowo pod powierzchnią Psimy. Ciało to miało ciężar tak znikomy, że mogło stanowić przykład poszukiwanego przez różnych alchemików materiału lżejszego od powietrza. Nasi naukowcy rzucili się wręcz na tę substancję smażąc ją w swych tyglach, atakując polami, ciśnieniem, kwasami, prądem, promieniotwórczością, badając jej własności fizyczne, chemiczne i biologiczne, i na razie doszli do wspólnego wniosku, iż jest to wysoko zorganizowany polimer o bardzo skomplikowanej budowie. Nie było też wiadomo, czy jest wytworem naturalnym, czy sztucznym, i wokół tego problemu wybuchła istna burza domysłów, zwłaszcza że niektórzy usiłowali łączyć jego występowanie na Psimie z jej pseudopsychiczną aktywnością. Planeta, która była trzecią, i tak też została nazwana, była skuta lodem i badania prowadzone przez automaty wlokły się w żółtim tempie. Natomiast o Czwartej mieliśmy najpełniejsze dane, ponieważ była po prostu przechłodzonym obłokiem pyłowym; jej skatalogowane gęstości, wymiary, czasy obrotu i obiegu znajdowały się już w pamięciach naszych komputerów, a ponadto posiadaliśmy próbki tej planety zamknięte w specjalnych pojemnikach, zapewniających kosmicznemu gazowi warunki termiczne takie same, jak w przestrzeni. Czynnikiem, który wpływał na to, że Czwarta nie rozpułnęła się do tej pory w kosmosie, było znaczne naładowanie pyłu elektrycznością, zapewniające przyciąganie się drobin gazu z siłą przewyższającą siły odśrodkowe i wynikające z prędkości ucieczki. Potencjał elektryczny pyłu był tak duży, że wpływał na pracę systemów elektronicznych naszych sond.

Tyle miał nam do powiedzenia Dorner, gdy mniej więcej w dwa tygodnie po naszym spotkaniu zwołał następną naradę. Na zakończenie powiedział:

— Podjąłem decyzję lądowania na Psimie, jako na obiekcie docelowym naszego lotu, a zarazem najciekawszym.

To spotkało się z nieklamany zachwytem uczonych, ale komandor mówił dalej:

— Lot zwiadowczy powierzam Jamesowi Rankowi. Jako drugi pilot: Garth. Lądowanie Ranka wyznaczam na jutro. Skończyłem.

Wszyscy się podnieśli. Badanie Psimy wkraczało w decydującą fazę. Mój szczęśliwy powrót miał zapoczątkować oberwanie naukowej chmury na niebie Psimy. Podszedł do mnie Lavue.

— A więc lecisz. „Sic itur ad astra”.

Ujrzał mój zdziwiony wzrok i wyjaśnił:
— To po łacinie. „Twoja droga prowadzi do gwiazd”. Tak mówili starożytni.
— Przecież nie znali rakiet.
— Skąd wiesz? Ale masz rację, to jest przenośnia. Chodziło im o drogę ich dusz do olimpijskiej krainy.
— Mam nadzieję, że ja odbędę tę drogę dosłownie!
— Życzę ci tego.

MIASTO

W służbie byłem o ósmej dwadzieścia czasu pokładowego. Spowity w srebrzysty skafander, z hełmem pod pachą i rękawicami wiszącymi przy pasie, wykonującymi dzikie skoki przy każdym moim ruchu. Mój grawistat zwiadowczy był już gotowy; sprawdzone obwody, generatory pola, układy, zapasy powietrza, wody, pożywienia, miotacze i broń osobista — wszystko było w najlepszym porządku. Kilku techników grzebało się jeszcze przy statku, sprawdzając wsporniki i odsuwając zbędne przyrządy, którymi go badali. Wreszcie ostatni z nich pokazał mi kciuk na szczęście i zniknął we włazie. Zostałem sam. Czekałem na Dornera. Gdy wreszcie przyszedł, była ósma trzydzieści.

— James Rank!
— Na stanowisku! — odpowiedziałem służbiście.
— Spocznij. Wszystko w porządku?
— U mnie tak.
— To dobrze. — Podał mi dłoń i zawahał się, jakby coś jeszcze chciał dodać czy też o coś zapytać, ale nagle zrezygnował. Wzruszył nieznacznie ramionami i wyszedł.

Winda wyniosła mnie przed otwarty właz statku, jeszcze chwila i byłem we wnętrzu kabiny sterowniczej. Fotel objął mnie łagodnie swoim oparciem i w tym samym momencie zapaliły się wskaźniki na pulpicie. Wraz z nimi zajaśniał ekran bezpośredniej łączności. Ujrzałem na niej twarz Hilla.

— Cześć, Jim!
— Cześć, Ron! — odpowiedziałem. Byłem zadowolony, że to on ma dzisiaj kontrolę nad startem.

— Minus sześćdziesiąt przed startem.
Z cichym trzaskiem chwyciła magnetyczna kryza hełmu.
— Minus pięćdziesiąt.
Podłączyłem przewody spinające mnie ze statkiem i założyłem rękawice.
— Minus czterdzieści.
Oparłem dłonie na rękojeściach miotaczy i sprawdziłem działanie celowników.
— Minus trzydzieści.
Dźwignie startowe, pedały hamownic i automatyczny pilot. OK.
— Minus dwadzieścia.
Popatrzyłem na ekrany, wskaźniki i zegary. Wszystkie stały na pozycjach roboczych.
— Minus dziesięć.
Otworzyła się kłapa śluzy i grawistat wypchnięty został na zewnątrz statku macierzystego. Dryfowałem obok jego wielkiej burty jak pasażer kajaka przy transatlantyku.
— Minus pięć.
Włączyłem zapłon, wskaźniki drgnęły, zaszumiały generatory za moimi plecami.
— Zero i zero. Start!
Pchnąłem dźwignię startową. Transatlantyk odskoczył gdzieś w bok, a ja wisiałem już

w przestrzeni.

— Powodzenia, Jim. Lecisz.

— Do zobaczenia, Ron, wrócę niedługo.

Niebo wywinęło kozła, gdy zataczałem wielką pętlę wokół „Strzelca”. Włączyłem reflektory, ich światło ślizgało się po obłym kształcie czającego się w mrokach kosmosu olbrzyma, lustra anten trafione promieniem światła połyskiwały jak małe słońca. W jednym miejscu migotał klejnocik niebieskiego blasku. To automaty-spawarki naprawiały pancierz. Jeszcze raz powiodłem wzrokiem po olbrzymim cielsku gwiazdolotu, jakby się z nim żegnając, i pomknąłem w dół, w stronę Psimy.

Dawno już nie siedziałem za sterami grawistatu. brała mnie chętka, żeby trochę poszaleć w przestrzeni, ale myśl, że wszyscy, cała prawie załoga obserwuje lot i uważa na każdy mój ruch, ostudziła moje zapały. Prowadziłem pewnie, połową ciągu; Psima, którą miałem przed sobą na trzech ekranach, nie zmieniała jeszcze dostrzegalnie swoich pozornych rozmiarów. Wiedziałem, że jakiś czas tak potrwa, a potem zacznę spadać coraz szybciej. Monotonnie cykał radarowy dalmierz, mieląc w swoich okienkach seledynowe cyferki, światełka na pulpicie mrugały uspokajająco, tylko Psima się zmieniała. Wciąż jeszcze nie rosła, za to z buro-czerwonego zmieniła swój kolor na niebieski. Zmiana nie zaszła gwałtownie, jej ceglaste z większej odległości piaski przechodziły powoli przez wszystkie barwy światła rozszczepionego w pryzmacie, dochodząc w efekcie do brudnego, morskiego koloru. Zameldowałem o tym Dornerowi, niepewny, czy oni obserwują to samo.

— Nic takiego nie widzimy — usłyszałem po chwili. — To znaczy, nie widzimy na swoich ekranach, obraz przekazany przez ciebie jest taki, jak mówisz.

— Skąd się to bierze?

Na chwilę zapadła cisza, w głośniku słyszałem szmery i szepty.

— Petersen mówi, że może to być wynikiem różnicy kątów, pod jakimi nasze i twoje kamery patrzą na oświetloną planetę; musiałyby ona mieć pewną anizotropię powierzchni, jeśli chodzi o odbijanie promieni słonecznych.

— Roger.

— Możesz lecieć dalej?

— Tak.

Planeta zaczęła rosnać; jak wielka nabrzmiała purchawka puchła we wszystkich ekranach. Podczas rozmowy przegapiłem moment, kiedy odległość staje się już wysokością i teraz nie leciałem, lecz spadałem. Na monitorach miałem coraz mniejszy wycinek powierzchni planety, jej brzegi dawno już uciekły poza zasięg aparatury wizyjnej; z kuli zawieszanej cudem w przestworzach kosmosu stawała się coraz bardziej płaską mapą, nad którą wiatr przeganiał niewielkie obłoki. Pary wodnej na Psimie było bardzo niewiele, więc chmury na jej niebie były rzadkością. Coraz wyraźniejszy stawał się dla mnie i dla skupionych przy ekranach „Strzelca” ludzi fakt, że jest to planeta nie zamieszkana, przynajmniej w naszym tego słowa znaczeniu. Kolor Psimy znów uległ zmianie, teraz piaski jej wydawały się żółte i połyskliwe jak złoto. Na horyzoncie błyszczało coś intensywnie. Domyślając się, że są to obserwowane przez nas jedyne na jej powierzchni góry, skierowałem grawistat w ich stronę. Zataczałem szerokie łuki na wysokości pięciu mil łapiąc i gubiąc na przemian jasne błysnięcia. Góry ukazały się nagle, niewysokie, ale wyglądały jak z polerowanego metalu, tak były gładkie i lśniące. Jakiś minerał, jakby mika, nadawał im wygląd baśniowych, szklanych gór. Przepląnąłem nad nimi. Okrążałem metodycznie planetę, robiąc pomiary, zdjęcia, filmy, nawet encefalogram tej dziwnej planety, mierząc natężenie psychopola w poszczególnych punktach, dzieląc się z załogą statku swoimi spostrzeżeniami i obserwacjami. Automatyczne czujniki i analizatory pobierały próbki atmosfery i wykonywały te same analizy co bezzałogowe sondy, dla porównania dublując ich pracę. Psima była bardzo monotonna planetą, bez rzek i mórz, z jednymi tylko górami, cała składała się z pustyń. Po pewnym czasie, wykonując kolejny oblot

planety, nauczyłem się nawet rozróżniać pewne kolorystyczne niuanse pomiędzy kolejnymi oceanami piasku. Na wzór księżycowych tworzyłem różne nazwy: Morze Purpury, Morze Traw, Morze Zmierzchu, Morze Rzęci, Morze Siedmiu Wzgórz i wraz z odpowiednimi zdjęciami posyłałem je do przystawki zapisującej. Podobały mi się stworzone dziwolągi i uważałem, że są warte utrwalenia. Jako pierwszemu człowiekowi na tej planecie, przysługiwało mi niepisane prawo odkrywcy nadania dowolnych nazw. Właśnie przelatywałem nad następną łąką piachu, sięgającą aż po horyzont. Z wysokości ośmiu mil ujawniały się na monotonnej szarzyźnie piasku jakieś podługowate cienie, wyglądające jak stado wielorybów wędrujących po oceanie. Morze Potworów — pomyślało coś we mnie i roześmiałem się. Odkrywałem w sobie talent pisarski.

— Wszystko w porządku? — zagadnęło radio głosem Hilla.

— OK. Jest mi po prostu wesoło. Over.

Głośnik sapnął i umilkł.

Czas wyznaczony na rozpoznanie powoli upływał, miałem jeszcze tylko zbadać bieguny, a później w wybranym przez siebie miejscu wylądować. W tej chwili krążyłem jednak nad terenem, dla którego nie mogłem znaleźć odpowiedniej nazwy. Właśnie to zatrzymywało mnie na miejscu, nie pozwalając wykonać dalszej części zadania. Moja bogata do tej pory wyobraźnia jakby się nagle zacięła — spotkała ze zjawiskiem, którego nie potrafiła objąć. Piaski leżące kilka mil przede mną miały przedziwne właściwości; raz jawiły się jako jezioro roztopionego złota, innym razem jako pustynia czarnego aksamitu lub preria seledynowo-fioletowych porostów. Gdy zszedłem na półtorej mili, zjawisko to zniknęło i piaski były tu takie jak wszędzie. Kiedy jednak podniosłem maszynę na wysokość sześciu tysięcy jardów, wszystko powtórzyło się od nowa,

— Morze Cudów — powiedziałem na głos.

— Roger. Ale pospiesz się, wypadasz z rozkładu.

Wzruszyłem ramionami, jakie to mogło mieć znaczenie?

Wyprowadziłem grawistat ze skrzyżowania i położyłem go na kurs na biegun. Oglądałem się co chwilę za siebie, chcąc zaobserwować, jak też będzie się zmieniał obraz mego nowo nazwanego „morza”, ale nie stało się nic niezwykłego; po prostu zniknęło mi po jakimś czasie z oczu, zasłonięte krzywizną planety. Bieguny Psima miała podobnie jak Ziemia lekko spłaszczone — jej promień biegunowy był o kilkanaście mil krótszy niż równikowy. Moje odwiedziny tutaj ograniczyły się znowu do nazwania odkrytych ziem. Ocean Południowy i Północny dopełniły katalogu nazw kartograficznych. Wyobrażałem sobie właśnie, jak też nazwy te będą się prezentować na naszych mapach, kiedy odezwał się znowu głośnik.

— Mówi Dorner. Gdzie zamierzasz lądować? Over.

— Na Morzu Cudów — odpowiedziałem bez wahania.

Nie wiem, jaka siła mnie tam ciągnęła, może po prostu byłem rozczarowany tą planetą, że jest taka zwykła, „ziemska”, taka monotonna. Zasugerowany obłądną wizją doktora Lavue'a spodziewałem się Bóg wie czego, jakichś tajemniczych zjawisk, walki, złud i fatamorgan, psychicznych omamów, zaburzeń, istnych gejzerów informacji. I jedynym miejscem, które dawało mi namiastkę tych nie spełnionych zaskoczeń, tej kosmicznej tajemniczości, było właśnie według mnie Morze Cudów. Nazwa nadana była, rzecz jasna, dużo na wyrost, ponieważ zjawisko na nim zaobserwowane nie wykaczało swą niezwykłością poza fosforescencję mórza czy zorzę polarną, ale nazwą tą chciałem zagłuszyć głód niezwykłości i sam sobie wmówić, że ta bajkowość, te cuda, naprawdę istnieją.

— Uwważaj! — powiedział Dorner. — Obserwujemy w tym miejscu znaczne natężenie psychopola, Większe niż w innych okolicach. Zresztą sprawdź sam.

Sprawdziłem. Dorner miał rację, różnica była znaczna, ponad sto jednostek w skali Ravena. To jeszcze bardziej skłaniało mnie do lądowania w wybranym przez mnie miejscu. Zakomunikowałem powtórnie Dornerowi o swoim postanowieniu.

— W porządku, mamy cię na wszystkich ekranach, Rank. Włącz osłonę siłową i System Speed. Over.

— Roger. Pole włączone. Włączam SS. Uwaga! Łączność przez komputer.

Przerzuciłem czerwoną dźwignię znajdującą się na pomocniczej przystawce; od tego momentu wszystkie reakcje w moim organizmie zachodziły sześćdziesiąt razy szybciej niż do tej pory. Jak zwykle przy przechodzeniu na System Speed zamgliło mi na chwilę obraz przed oczyma, ale już po chwili widziałem normalnie. Zdawało mi się jednak, że grawistat zaczął się nagle poruszać okropnie wolno, było to zwykłe złudzenie, po prostu to ja sam starzałem się o wiele szybciej niż wszyscy ludzie na pokładzie „Strzelca”. Grawistat wraz ze wszystkimi swymi urządzeniami dostosował się do mnie i tylko komputer musiał działać na dwa fronty, stanowiąc pomost pomiędzy mną i wyposażeniem grawistatu a pozostałymi ludźmi.

Zwiększyłem szybkość, stopniowo przyzwyczajałem się do nowej sytuacji, pierwsze wrażenie powolności otaczającego mnie świata zacierało się już w mojej pamięci. Zajmowało mnie zresztą co innego. Zbliżając się do Morza Cudów zorientowałem się, iż znowu wygląda ono inaczej niż poprzednio, tym razem nie chodziło jednak tylko o zmianę zabarwienia. Coś tam tkwiło, jakby nowe góry, które wyrosły w oszałamiającym jak na procesy geologiczne czasie, bo w ciągu niespełna kilku godzin. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że nie jest to możliwe, niemniej coś tam jednak było. Zameldowałem o tym „Strzelcowi”.

— Uważaj, Rank, to jedyne, co ci mogę poradzić. My nic takiego nie widzimy.

— Może to jest związane z przyspieszeniem mojej psychofizjologii? Mogę przecież widzieć teraz coś, co istnieje zbyt szybko, jak na wasze możliwości postrzegania.

— Wykluczone! Komputer musiałby to zobaczyć i jakoś przetworzyć na obrazy dostrzegalne także i dla nas.

W czasie tej rozmowy przebyłem kilkadziesiąt mil i wreszcie rozpoznałem, co mam przed sobą.

— Miasto — powiedziałem w najwyższym zdumieniu. — To jest miasto!

— Rank! — krzyknął Dorner. — Słyszysz mnie? Zabraniam lądować! Over!

— Stopuję na sto dziesięć od miasta.

— Tam nie może być żadnego miasta! Zbadaj to z powietrza.

Wyciągnąłem ze schowka olbrzymią lornetę przystosowaną do obserwacji w skafandrze i skierowałem ją na tajemniczy twór, który był tak szczególną fatamorganą, że dostrzegałem go ja, moje automaty, a nie obserwowały tego zjawiska przyrządy umieszczone na „Strzelcu”. Fakt, że moje kamery „widziały” miasto, świadczył o jego obiektywnym istnieniu. Dlaczego jednak w takim razie komputer nie przesyłał tego obrazu dalej?

W szklach pojawiło się normalne, ziemskie miasto; spowite w zieleń przedmieścia i dzielnice willowe poprzedzały drapacze chmur.

— Rank! Słyszysz mnie? — odezwał się głośnik. — Chce z tobą mówić Lavue. Jesteś gotów? Over.

— Tak — odrzekłem machinalnie, bo zajęty byłem obserwacją miasta, które zdawało się coś mi przypominać. Jego widok poruszył jakąś strunę w mojej pamięci, a ta zamiast rozbrzmieć pełnym tonem, bzyczała cichutko na granicy słyszalności, nie dając się zidentyfikować. Męczyło mnie to i już byłem prawie bliski zrozumienia tej tajemnicy, gdy głos doktora zburzył moje rozmyślenia.

— Jim, widzisz je?

— Tak, zupełnie wyraźnie.

— To jest to miasto, o którym mi opowiadałeś?

Coś się otwarło wtedy we mnie, jakaś brama, przez którą napłynęła cała pamięć mojego snu.

Skierowałem wzrok na centrum, gdzie kamienne iglice kłuły niebo. Doznałem wstrząsu, widząc wyraźnie wieżowiec, z dachu którego obserwowałem moje wyśnione miasto.

— Wyłącz SS!

Przerzuciłem dźwignię w odwrotnym kierunku, nie zdając sobie sprawy z tego, że słucham przecież doktora, a nie Dornera. Po krótkiej chwili zamglenia wzroku widziałem je nadal.

— Jest!

— Wiesz, co masz zrobić?

— Tak, lecę.

Teraz dopiero usłyszałem Dornera.

— Stój! Zabraniam dalszego lotu!

— Nie słuchaj, Jim, mamy szansę — krzyknął piskliwie Lavue.

— Spokój! — wrzasnął wściekle Dorner. — Zabierzcie stąd tego szaleńca i zamknijcie go! Rank! Natychmiast wracaj na „Strzelca”! To rozkaz!

— Przykro mi, komandorze, ale ja muszę polecieć. Lavue wyjaśni panu, dlaczego.

— Ani się waż! — wrzasnął Dorner, ale więcej już go nie słuchałem.

Wyłączyłem łączność i ruszyłem w stronę miasta.

— Komandorze, straciliśmy kontakt z grawistatem. Komputer nie odpowiada. Nie docierają do nas żadne informacje.

— Kontakt optyczny macie?

— Także nie. Satelita melduje, że statek Ranka zniknął z ekranów i radarów w odległości pięciu mil od rzekomego miasta.

— Anihilacja?

— Nie, po prostu był i nie ma go. Zjawisko podobne jak przy zupełnym wygaszeniu fal. Rank dosłownie rozpułnął się w powietrzu!

Dorner wyciągnął rękę przed siebie i po krótkim wahaniu wcisnął klawisz Czerwonego Alarmu. Na statku zawyły syreny. Blash popatrzył zdziwiony na komandora.

— Statek nie jest przygotowany do lądowania.

— Wiem — mruknął Dorner.

— Mimo to chcesz lądować?

— Nie, polecą Garth i Hill.

— Mogą zrobić to samo, co Rank!

Dorner wzruszył ramionami.

— To co, mam nic nie robić?

Blash zamilkł. Lavue, który nie dał się wyrzucić z nawigacyjnej, poruszył się na fotelu.

— Oni na pewno wrócą — powiedział cicho — tylko jeden Rank mógł zobaczyć to miasto.

Dorner poczerwieniał gwałtownie, bo zdążył już zapomnieć o obecności doktora.

— Niech się pan wynosi do wszystkich diabłów i nie pokazuj mi na oczy, bo mnie krew zaleje!

— Powinniśmy go wysłuchać — z wahaniem oświadczył Blash. — W końcu on wie przecież, dlaczego tak się stało.

Dorner spojrzał na małego doktora przytomniej, ale z wrogością.

— Więc — spytał z niechęcią — w czym rzecz?

Doktor zawałał się. Znając Dornera mógł przypuszczać, jaka będzie jego reakcja.

— Rank widział to miasto we śnie — zaczął ostrożnie Lavue, a spostrzegłszy, że Dorner jest bliski kolejnego wybuchu, zaczął mówić coraz szybciej, chcąc zdążyć ze wszystkimi rewelacjami, zanim komandor każe go wyrzucić z sali. — Był to dziwnie realistyczny sen, w którym zwiedzał jakieś starożytne, ziemskie miasto, jak sądzę z XX wieku. Było to w czasie naszej regeneracji po przebudzeniu. Wtedy to automaty zarejestrowały po raz pierwszy skokowy wzrost natężenia psychopola Psimy. Połączyłem więc te dwa fakty ze sobą, twierdząc,

że to mieszkańcy planety nawiązują z nami kontakt. A raczej nie z nami, tylko z Rankiem. Dlatego powiedziałem przed chwilą, że Garth i Hill wrócą z niczym.

— Dobrze, jeśli w ogóle wrócą — wtrącił Dorner z przekąsem.

— Właśnie. Ale idźmy dalej. Zachowanie Ranka, które panu wydaje się niezrozumiałe, jest oczywiste dla mnie: on po prostu dostrzegł tam, na Morzu Cudów, to właśnie miasto, które mu się śniło! Rozumie pan? To znaczy, że miałem rację, że będzie kontakt! Należy tylko poczekać.

— Pan jest szalony — wyszeptał Dorner. — Dlaczego ani on, ani pan nie powiedzieliście mi o tym wszystkim wcześniej?

Lavue uśmiechnął się nieśmiało.

— A kto wtedy poleciałby na Psimę? Bo przecież nie Rank? Prawda?

Dorner westchnął.

— Widzę, że dobrze mnie pan zna. Rzeczywiście, wysłałbym wtedy Gartha.

— Otóż to — triumfował doktor — dlatego nie pozwoliłem Jimowi zgłosić się do pana.

Zapadła cisza. Przerwał ją Blash.

— Co pan radzi, doktorze?

— Przede wszystkim odwołać alarm i zostawić wszystko swojemu losowi. Garth i Hill mogą lecieć.

— A my?

— My zabierzemy się do badań tak, jakby się nic nie stało.

— Chce pan, żebym pozwolił ludziom lądować na tej planecie? Kto się teraz na to zgodzi?

Lavue uśmiechnął się z politowaniem.

— Nie zna pan naukowców, komandorze. Gdy patrol wróci, wszyscy będą chcieli przystąpić do badań i w dodatku jeszcze będą o to prosić.

— Ale przecież tego miasta naprawdę nie ma — wybuchnął nagle Dorner, jakby ta prawda dopiero teraz do niego dotarła. Powiódł zdumionym wzrokiem po obecnych, jakby szukając w nich oparcia.

Okrzyk komandora rozbawił Lavue'a.

— Oczywiście, że nie ma. Nie ma go dla nas, ale jest dla Ranka. To jest w tym najważniejsze.

— Więc gdzie jest w takim razie Rank?

— Nie wiem. Prawdopodobnie w innym wymiarze. Zresztą, jak wróci, to nam wszystko opowie.

Miasto zbliżało się coraz bardziej, rosło i ogromniało, aż w końcu przesłoniło sobą wszystko. Okrążałem je na wysokości dwóch mil, chcąc rozpoznać jakieś znajome fragmenty i ulice. Jednak zasłonięte przez drzewa i budynki umykały memu wzrokowi. Tylko dwa drapacze chmur rysowały się równie ostro w mojej pamięci, jak i na niebie tajemniczego miasta. Także i rzeka wydawała się znajoma. Gdy byłem na pięć mil od pierwszych zabudowań, zaszło dziwne zjawisko; obraz nagle zafalował, później wyostrzył się i przesunął, jakby przesunęły się po sobie dwie szklane płyty, i wrócił do pierwotnej postaci. Nie zwróciłem na to należytej uwagi; tyle dziwnych rzeczy działo się wokół mnie, tajemnicze miasto, którego nikt oprócz mnie nie widział, kusiło i mamiło wzrok złudnymi mirażami. Zwolniłem szybkość, ale nadal okrążałem zabudowania na niewielkiej wysokości. Starłem się przeniknąć wzrokiem jak najwięcej skrywaną przede mną tajemnicę, lecz nie zajrzałem nawet poza rąbek zasłony oddzielającej mnie od Niezwykłego.

Miasto wyglądało zupełnie normalnie i oglądałem je tak, jakbym to czynił na ekranie panoramicznego holowizora w wielkiej studyjnej sali „Strzelca”. Jedyne biegnące dosłownie donikąd drogi wylotowe, które ginęły w zieleni kilka mil za dzielnicami slumsów na zacho-

dzie, a bogatych willi na południu, stwarzały wrażenie, że mam jednak do czynienia ze zręcznie zbudowaną atrapą, którą niemałym nakładem sił i środków zrobił tylko dla mnie jakiś tajemniczy Architekt. Podobnie, jak w moim śnie, gdy obserwowałem miasto ze szczytu wieżowca, tak teraz równie ciekawie lustrowałem je z pokładu grawistatu, znajdując pewne znaczące różnice, jednak nie w samej zabudowie.

Po mieście chodzili ludzie; ich nieustanne przemieszczanie się w wąskich kanałach ulic robiło wrażenie krzątający mrówek. Chwilami ten rwący ludzki potok przerywany był pojawieniem się stalowego żuka. Mrówki zatrzymywały się karnie, przepuszczając pojazd, a potem uparcie zmierzały dalej. Miasto żyło. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jest to tylko pseudożycie, twór, który funkcjonował na wzór średniowiecznego homunkulusa, równie jak on odrażające i pełne fałszu. Ale jednocześnie pociągające aż do obrzydliwości. Tak chyba się czuje fetyszysta, mając już swój upragniony przedmiot; dążyłem do tego miasta, popychany jakimś niezwykle pragnieniem zanurzenia się w jego śmierdzącym żywiole. Włączyłem zewnętrzne mikrofony. Dźwięk. Jeden, nie kończący się hałas, jaki wydaje miasto.

Dom. To słowo samo przyszło mi na myśl, choć było jasne, że w tym mieście go nie znajdę, że nie da mi ono tego całego bogactwa doznań, które się w tym słowie zawiera. A jednak dążyłem do tego miasta-atrapy, miasta-dekoracji z uczuciem rozbitka, który po wielu latach spędzonych na bezludnej wyspie wraca w rodzinne strony.

Jeszcze jedno okrażenie. Centralna grupa wieżowców przesuwiała się przed moimi oczami niczym kultowy obelisk podczas religijnych tańców dzikich plemion, przesłaniając sobą kolejne partie miasta. Postanowiłem wylądować. Ale nie nocą, w podmiejskim zagajniku, by w przebraniu dostać się do metropolii. Chciałem usiąść normalnie, na lotnisku, tym bardziej, że jak do tej pory nikt nie zwracał na mnie i mój pojazd najmniejszej uwagi. Lotnisko znajdowało się na wschodzie, połączone z miastem kilkupasemową autostradą, lecz zarazem oddzielone pasem zieleni wielkości sporego lasu. Budynek portu lśnił w słońcu szkłem i aluminium. Z wysokości wyglądał jak wielka, srebrna podkowa zgubiona przez ogromnego rumaka, gnającego na biegun północny.

Zrobiłem pętlę i zmniejszając prędkość zbliżyłem się do wysuwających się jakby na moje przyjęcie ramion podkowy. W ostatniej chwili, gdy już niemal dotykałem podłoża, poderwałem statek i przeleciałem ponad lasem anten i radarów kręcących się wariacko na dachu aeroportu. Teraz byłem już zdecydowany na wszystko. Prawa dźwignia, hamownica, kontakt i wielkie „stop”. Siedziałem. Wylądowałem w samym centrum olbrzymiej płyty startowej. Musiałem wyglądać jak czarny żuk na ogromnym, popielatym półmisku.

Przez dobrą chwilę nie robiłem nic, trwając w napięciu, z dłońmi na dźwigniach startowych, gotowy w każdej chwili do odlotu. Pod prawą nogą czułem łagodny ucisk spustu miotacza. Uspokajało mnie to, dopiero bowiem w tej chwili zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo jestem spięty wewnętrznie. Niemal nie oddychałem, jakbym bał się spłoszyć całą otaczającą mnie rzeczywistość. Właśnie, ale czy to była rzeczywistość? Ten miraż, który widziałem tylko ja?

Odetchnąłem głębiej. Nic się nie stało, za oknami mojej maszyny spostrzegłem ludzi w pomarańczowych kombinezonach, prawdopodobnie obsługę kosmoportu. Ciągnikami podobnymi do pancernych ogromnych chruszczy wytaczali z doków maszyny na pozycje startowe. Urządzenia te miały wielkie skrzydła z boku kadłubów i zrozumiałem, że są to samoloty.

Mocny Boże — pomyślałem — przecież to lotnisko, a nie kosmodrom. Ładnie tu muszę wyglądać. Ale chociaż zdecydowanie odcinałem się od otoczenia, nikt na mnie nie zwracał uwagi. Przed samym nosem mojego grawistatu przejechał jaskrawo pomalowany samochód z błyskającym światłem na dachu i pognął przed siebie, nie zauważając mnie zupełnie.

Rozluźniłem napięcie do ostatnich granic mięśnie i spróbowałem się uśmiechnąć. Nie bardzo mogłem, twarz mi zdrętwiała i dopiero po chwili poddała się moim zabiegom z takimi oporem, jakby mi skórę pokrywała gliniana maska.

— Dobrze — westchnąłem — widocznie bramy triumfalnej nie mogę się tutaj spodziewać.

Cały czas nie zdejmowałem nogi ze spustu, a komputer celowniczy sprzężony z radarem mełł w swoich okienkach wciąż te same cyferki namiarów.

— Będę walczył na śmierć i życie — wyznałem na głos odległemu o jakieś czterysta metrów budynkowi, w którym domyślałem się kapitanatu.

Opanował mnie wisielczy humor, nie najwyższego zresztą lotu. Skarciłem się w myśli; był to jawny znak, iż jestem zdenerwowany. Wyłączyłem niepotrzebne ekrany, odpiąłem hełm i przewody spinające mnie ze statkiem. Zdjąłem rękawice. Chwilę toczyłem w duchu walkę, aż wreszcie z determinacją zablokowałem automat startowy, wyłączyłem radar i komputer celowniczy. Nagle poczułem się bezbronny jak niemowlę. Oddychałem ciężko, jakbym co najmniej przybiegł pieszo na tę planetę z samej Ziemi. Trzeba wyjść. Nie mogłem się jakoś na to zdecydować. Grawitast wydawał mi się oazą bezpieczeństwa. Przypomniały mi się nagle z dzieciństwa nocne strachy, gdy leżałem spocony pod kołdrą, nakryty z głową, bojąc się wysunąć nogi poza obręb tapczanu w przekonaniu, iż niechybnie odgryzie je jakiś potwór. Łóżko, nie wiedzieć czemu, było tym skrawkiem lądu, bezludną wyspą objętą pokojową konwencją, a linia demarkacyjna pomiędzy mną a strachem przebiegała tam, gdzie dostrzegałem rąbek białego prześcieradła, w niebezpiecznej bliskości podciągniętych pod brode nóg.

— Dosyć! — rozkazałem sobie w duchu.

Wspomnienia przysły. W tej chwili nie myślałem już o niczym, działałem jak automat, instynktownie wręcz. Wiedziałem, że tylko to może mnie uratować w razie jakiegoś nie dającego się przewidzieć zagrożenia: działać jak automat. Zwolniłem mechanizm blokujący klapę wjazdu. Naparłem ramieniem i owalny płat metalu odpłynął w bok, zostawiając mnie sam na sam z MIASTEM.

SO

Zeskoczyłem na płytę lotniska, żywiąc w głębi duszy przekonanie, że pode mną jest próżnia, że będę się tak zapadał i zapadał przez całą wieczność. Nic takiego jednak się nie stało. Wylądowałem na ugiętych nogach i chyba z trochę głupim wyrazem twarzy. Na szczęście nikt mi się nie przyglądał. Nie było też fotoreporterów miejscowej gazety, którzy uwieczniliby pierwszy krok zdobywcy przestworzy na nowej planecie. Rozejrzałem się wokoło. Właśnie obok mnie przejeżdżał jeden z tych dziwnych chrząszczy, kręcących się po płycie. Kierujący nim młody chłopak wykonał zapraszający gest ręką i krzyknął coś do mnie, czego nie usłyszałem, bo jego słowa utonęły w ryku silników startującego opodal odrzutowca. Chłopak machnął zniechęcony ręką i zsunął na uszy ochraniacze. Chrząszcz podjechał bliżej i zwolnił. Podbiegłem i wskoczyłem, lokując się z tyłu za kierowcą na pokrywie mrującego silnika. Powietrze wyło wokół startującej maszyny, ale byłem nawet z tego zadowolony, bo wykluczało to możliwość ewentualnej rozmowy. Czułem dziwną niechęć do prowadzenia konwersacji.

Kapitanat, jak w myśli, zresztą słusznie, nazwałem sterczący najwyżej fragment podkowiastego aeroportu, był coraz bliżej. Pojazd zwolnił przed nim i domyśliłem się, że to mój przystanek. Zeskoczyłem na ziemię i pomachałem chłopakowi ręką na do widzenia. Stałem na podjeździe i rozglądałem się, nie bardzo wiedząc, gdzie się udać. Przede mną było kilkoro szklanych drzwi otwieranych przez fotokomórki. Nad każdymi z nich czerwieniły się świetlne napisy informacyjne, w jakimś nie znanym mi języku. Zacząłem się wpatrywać w jeden z tych napisów, starając się zgłębić tajemnicę jego zawiłych hieroglifów i treści, nagle, obraz

zamglili mi się przed oczami, a gdy po chwili widziałem znowu normalnie, przeczytałem ze zdumieniem napis w zwykłym języku uniwersum: „Dla pilotów”. Właśnie przez te drzwi wyszła grupa mężczyzn w stalowoszarych mundurach i rozmawiając minęła mnie. Jeden z nich, szpakowaty, nieco niższy ode mnie, zatrzymał się nagle w pół kroku, jakby sobie coś przypominając i szybko podszedł do mnie.

— Nie udało się — powiedział i wzruszył ramionami. — Stary czeka — dodał, a widząc, że nie reaguję, ponownie wzruszył ramionami i odszedł.

Odwróciłem się i patrzyłem za nim, jak podbiega do swoich towarzyszy i wskazując na mnie ręką coś im tłumaczy. Spojrzałem znów na drzwi. Nie odpowiedziałem nieznanemu nie tylko dlatego, iż nie wiedziałem, co mu mam powiedzieć, ale także dlatego, że znowu zaszło to samo zjawisko, które przed chwilą zmieniło nieczytelny napis w krótkie i jasne: „Dla pilotów”. Usta mojego rozmówcy poruszały się w rażącej niezgodzie z odbieranymi przeze mnie wrażeniami słuchowymi, jakby ścieżka dźwiękowa oglądanego przeze mnie filmu przesunęła się i najpierw odbierałem wizję, a potem dźwięk. Ale domyślałem się, że chodzi tu o coś innego. Ja widziałem usta pilota przemawiającego do mnie w tym samym niezrozumiałym języku, w którym sformułowany był napis, a treść najwyraźniej odbierałem telepatycznie, stąd to pozorne przesunięcie. Nie zastanawiałem się nad tym więcej i zakazałem sobie surowo jakichkolwiek myślowych spekulacji na temat otaczającego mnie świata. Daleko bym przecież tak nie zajechał, zastanawiając się ciągle: a jak, a dlaczego... To, z czym się zetknąłem, czyli cała Psima była na pewno najdziwniejszym zjawiskiem, jakie napotkał człowiek na swej drodze do gwiazd, i jeśli Oni, jak mówił doktor Lavue, nie zechcą mi tych tajemnic odsłonić, to sam ich nie przeniknę.

Postąpiłem ku drzwiom. Rozsunęły się z lekkim szumem i zaraz zamknęły za mną. Nie musiałem zastanawiać się nad wyborem dalszej drogi, dwie chromowane poręcze zaprowadziły mnie przed oblicze urzędnika w lotniczym mundurze. Siedząc za czarnym, błyszczącym kontuarem pisał coś na rozłożonych i pokratkowanych arkuszach. Gdy się zbliżyłem, spojrzał na mnie przelotnie i jakby nie zauważając mojego kosmicznego stroju i ekwipunku pisał dalej. Po chwili wyciągnął w moją stronę nadstawioną dłoń, czekając chyba na coś, co powinienem mu dać. Ponieważ nie wiedziałem, czego ode mnie oczekuje, stałem nadal bez ruchu. Zakręcił palcami w powietrzu.

— No — dotarło do mnie jego mruknięcie znad rozłożonych papierów — długo jeszcze? Dawaj dokumenty!

Nadal nic nie mówiąc wyjąłem z kieszeni plakietkę identyfikacyjną i wsunąłem w wyciągniętą dłoń. Popatrzył na nią tak, jakby co dzień widywał takich tysiące i zaczął pisać jeszcze szybciej. Odłożył plakietkę na blat, a ja rozumiejąc, że mi ją oddaje, schowałem krążek pośpiesznie do kieszeni.

— Podpisz — powiedział podając mi przyrząd, którym pisał, i podsuwając arkusz papieru. Zaplamionym paluchem pokazywał miejsce, w którym miałem postawić parafkę. Poczulem do niego nagle wielką antypatię, więc, żeby tego nie zauważył, pochyliłem się szybko i podpisałem we wskazanym miejscu.

Podniosłem się i nasze spojrzenia się spotkały.

— Stary czeka w gabinecie — wykonał znaczący gest, wskazując kciukiem za siebie. Rzeczy oddasz później w szatni.

Jego usta tak samo jak jego poprzednika wykonywały ruchy w żaden sposób nie dające się pogodzić ze słyszaną przeze mnie treścią. Ale nie robiło to już na mnie wrażenia. Wido- cznie się przyzwyczailem. Jedno co było dla mnie zrozumiałe, to to, że Stary w całej chyba Galaktyce oznacza zawsze szefa. Z tą myślą zapukałem do drzwi opatrzonej tabliczką z napisem, który się przetransformował na moich oczach w tekst głoszący, że tutaj urządzuje Komendant Portu, i wszedłem.

Komendant wyglądał dumnie i groźnie. Był to siwy, czerstwy i potężnie zbudowany

mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat biologicznych. Mając taki wygląd musiał na pewno cieszyć się ogromnym autorytetem wśród podwładnych. Po raz pierwszy od lądowania wspomniałem „Strzelca”. Gdyby Dorner tak wyglądał, to nie odważyłbym się nie posłuchać jego rozkazu, a więc nie lądowałbym na Psimie. Aż się zdziwiłem, jak bardzo „Strzelec” i wszystko z nim związane jest mi obojętne. Teraz obawiałem się bury ze strony mojego nowego zwierzchnika.

Komendant patrzył na mnie groźnie.

— Rank! — powiedział ostro.

Drgnąłem na dźwięk własnego nazwiska, wypowiedzianego w tym miejscu i w taki sposób. Ale nie dziwiłem się już niczemu.

— Rank — powtórzył komendant już normalnie i nagle jakby zebrał się w sobie, wstał, poczerwieniał, na skroniach wystąpiły mu ciemne żyły. — To hańba! — ryknął na cały głos. — Start bez mojego zezwolenia! Niesubordynacja! Co masz mi do powiedzenia, hę?

A ponieważ milczałem, dodał już spokojniej.

— Zostałeś zawieszony w pilotażu na rok. Zabraniam wstępu na teren portu. Strażnicy zostali uprzedzeni, wiedzą, że jak cię który wpuści, to straci pracę. Tak. Licencję i sprzęt zdasz w szatni. Do zobaczenia za rok. A teraz żegnam.

Skwapliwie skorzystałem z tego i wyszedłem. I znowu nie powiedziałem ani słowa. Sam właściwie nie wiedziałem czemu, bałem się do kogokolwiek odezwać, zdawać by się mogło przecież, iż moi rozmówcy rozumieją mnie tak jak ja ich, i że moje odezwanie się nikogo nie zdziwi, podobnie jak moja obecność tutaj i niecodzienny strój, którego zdawali się zupełnie nie dostrzegać. Ze wszystkich sił starałem się zachować spokój i pozostać bezstronnym obserwatorem. Dawałem się popychać leniwemu prądowi wydarzeń. Nie szarpałem się, nie rzucałem w coraz to innych kierunkach, nie usiłowałem wszystkiego od razu zrozumieć. Oszczędzałem siły, wiedziałem przecież, że nic nie zyskam najdziwniejszymi nawet szaleństwami, pytaniami, opowieściami o sobie. Jedyne, co mógłbym w ten sposób osiągnąć, to zmęczyć się i utopić w tym otaczającym mnie bagnie psychopola. Jakkolwiek przychodziło mi to z dużym trudem, postanowiłem udawać, że wszystko jest w porządku. Właśnie straciłem pracę pilota i należało ze spokojem oczekiwać dalszych niespodzianek przygotowanych na moje przyjęcie przez miasto. Szedłem długim korytarzem, rozświetlanym co kilkanaście kroków przez lampy jarzeniowe i poddawałem się pewnemu otępieniu, jakie zaczęło mnie ogarniać po rozmowie z komendantem. Byłem nawet zadowolony z tego, że mój mózg samoczynnie zastosował mechanizm obronny przeciw tym wszystkim niezwykłościom, jakie bombardowały mnie od rana. Czułem się spokojny, a nawet trochę senny i w stanie tego dobrodusznego rozleniwienia dotarłem do szatni.

W dość dużej sali stały rzędy metalowych, szarych szafek. Gładkie, wypolerowane płyty ich drzwi zdobiły jedynie dwa różnokolorowe przyciski z przezroczystym okienkiem między nimi i numerem ewidencyjnym w prawym rogu. Nie miałem pojęcia, która z szafek „należy” do mnie. Chodziłem pomiędzy nimi i wyciągniętymi rękami sunąłem po drzwiczkach. Nagle przypomniałem sobie, że przecież mam swój numer identyfikacyjny, który został nawet odpisany z mojej plakietki przez urzędnika, bez żadnych z jego strony sprzeciwów. A więc może 003? To musi być gdzieś przy wejściu. Wróciłem i istotnie odnalazłem swoją szafkę. Nacisnąłem górny przycisk. Nic. Dolny. Dalej nic. Już miałem rąbnąć w nie pięścią, gdy zastanowiła mnie obecność tego przezroczystego okienka. Domyśliłem się, że było to zapewne coś w rodzaju identyfikatora, najpewniej linii papilarnych. Na próbę nacisnąłem płytkę kciukiem i wdusiłem górny przycisk. Z cichym trzaskiem puścił magnetyczny zamek i drzwi stanęły otworem. Zadowolony z pierwszego, niewielkiego jeszcze osiągnięcia, zabrałem się do przebierania. Z pewnym trudem zdjąłem mój próżniowy skafander, chwilę wahałem się, czy zostawić także miotacz z ładownicami, ale w końcu pomyślałem, że raz kozie śmierć i zawiesiłem go na wewnętrznej stronie drzwi. Więcej kłopotu miałem z ubiorem,

który przyszło mi włożyć, a szczególnie z tą jego częścią, którą zidentyfikowałem jako bielinę. Wreszcie uporałem się i z tym. Popadłem jednak znowu w rozterkę. W szafce było sporo odzieży i domyśliłem się nieśmiało, że jednak nie wszystko to muszę nosić na sobie. Instynkt, a także i wygoda, odpowiedziały mi, że nie należy wkładać munduru, wszak byłem zawieszony w czynnościach służbowych. Wybrałem luźny czarny golf i błękitne spodnie z jakiejś szorstkiej tkaniny. Zaciągnąłem ostatni błyszczący zamek nowej garderoby i byłem gotów. Przejrzałem się w wiszącym na drzwiach lusterku. Nie wyglądałem nawet tak strasznie, jak się tego spodziewałem. Już miałem zamknąć drzwi, gdy na tylnej ścianie dostrzegłem plastikowy, jak sądziłem, worek zawieszony na długim pasie. Zarzuciłem go na ramię, ostatni raz zerknąłem do lusterka i zamknąłem drzwi. Nacisnąłem dolny przycisk i zamek chwycił. Wzruszyłem ramionami, rozejrzałem się wokół i lekkim krokiem wyszedłem.

Nie wiem dlaczego, od tej właśnie chwili zaczęła mnie gnąć jakaś niecierpliwość obejrzenia mojego wyśnionego miasta. Przebiegłem przestronny hall, wpadłem z rozpędu na szklane drzwi, które nie zdążyły się przede mną na czas otworzyć, i wypadłem na zewnątrz. Nie bardzo wiedziałem, jak dostać się do centrum, lotnisko bowiem leżało na uboczu, ale dostrzegłem postój taksówek, a na nim kilka oczekujących samochodów. Wsiadłem do pierwszego z nich i dopiero teraz zorientowałem się, że nie wiem, jak mam określić miejsce, do którego chcę jechać. Taksówkarz czekał. Nudził się. Wyjrzałem przez okno i spośród kilku napisów rozwieszonych nad drogą wyłowiłem: „Do centrum”.

— Do centrum — powiedziałem z lekkim ścisaniem w krtani i opadłem w głąb siedzenia.

Kierowca bez słowa skinął głową, dając znak, że usłyszał, i ruszyliśmy. Nie zwracałem uwagi na przesuwający się za oknami krajobraz. Myślałem o tym, gdzie jadę, a chciałem dotrzeć, sam nie wiem czemu, tam, gdzie z okna w moim śnie wypadł figus. Tego jednak nie mogłem powiedzieć taksówkarzowi. Przekonanie o tym, że coś mnie tam spotka nowego, ośwładnęło mnie tak silnie, że nic innego nie przychodziło mi do głowy. Dopiero po chwili pomyślałem, by przeszukać torbę, którą rzuciłem obok siebie na siedzenie. Położyłem więc ją na kolanach i odsunąłem zamek. Było w niej wiele drobiazgów; o przeznaczeniu niektórych nie miałem zielonego pojęcia. W plastikowym futerale odkryłem dokumenty: paszport, prawo jazdy, jakieś rachunki, kolorowe papierki, w których domyśliłem się pieniędzy, zdjęcia nie znanych mi zupełnie osób, w tym jakiejś pulchnej blondynki. Na odwrocie znalazłem dedykację: „Jimowi — Kora”. Dalej odkryłem rewolwer, którego przezornie nie wyjąłem na światło dzienne, pluszowego niebieskiego misia maskotkę, napoczętą paczkę papierosów, pęk kluczy, którymi nie miałem na razie czego otwierać. Reszta, jakieś celulozowe wiotkie arkusiki w celofanowym opakowaniu oraz obły kształt w futerale składający się ze śliskiej tkaniny i metalowych prętów, nie wiedziałem do czego służyć.

Parasol może? — przemknęło mi przez myśl. Chyba tak, ale wolałem go nie rozkładać.

Zamknąłem torbę i rzuciłem na siedzenie. Na razie dosyć. Zresztą już dojeżdżaliśmy, nawet nie zauważyłem, że już otaczają nas budynki i pojazdy.

— To gdzie ma być? — zapytał szofer odwracając się do mnie. — Centrum jest duże.

Mignęła mi zza drzew iglica białego wieżowca, odległego o kilka zaledwie przecznic.

— Może być tutaj — powiedziałem. Byłem pewny, że już sobie dalej poradzę.

— Nie mogę tu. Zakaz zatrzymywania się.

— No to pod bank — powiedziałem czując, że trochę się jednak gubię.

Zajechaliśmy bez przeszkód.

— Piętnaście — odezwał się taksówkarz kasując licznik.

To mnie otrzeźwiło — na śmierć zapomniałem, że trzeba płacić. Podałem mu pieniądze, wydał resztę i po chwili stałem już na trotuarze wdychając zapach miasta. Dziwna sprawa, dopiero teraz przyszło mi na myśl, że oddycham atmosferą obcej planety. Ale za późno było na analizę jej przydatności dla potrzeb człowieka. Skoro żyłem do tej pory, to znaczy, że była

dobra. Zresztą i inne fakty zaczęły powoli docierać do mojej świadomości; to, że widzę normalne, ziemskie słońce, a nie naszego Hershella II, typ widmowy M2! Dałem spokój tym spóźnionym, czy też może jeszcze przedwczesnym rozważaniom.

Szedłem przed siebie chodnikiem, lekko, z rękoma w kieszeniach, mijałem podobnych sobie ludzi i mimo całej absurdałości tego przekonania — czułem się jak w swoim rodzinnym Milwaukee. Zacząłem sobie nawet pogwizdywać pod nosem, najpierw nieśmiało, a potem coraz głośniej. Dopiero kilka zdziwionych spojrzeń mijających mnie przechodniów zakończyło moje estradowe wyczyny. Powoli zaczynałem rozumieć, jak się to dzieje, że tak zupełnie bez sprzeciwu przyjmuję te wszystkie niezwykłości, które mnie otaczają. Za długo byłem, ja i moi towarzysze, zapuszkowany w „Strzelcu”. Tęsknota za czymś tak normalnym jak spacer po mieście musiała w podświadomości wyzwolić mechanizmy na tyle silne, by nie pozwoliły mi się zastanawiać: a dlaczego?, a po co?; takie dociekania po prostu zburzyłyby tę idyllę. Mogłem tylko podziwiać przenikliwość wykoncypowanych przez doktora mieszkańców Psimy, z jaką wykrywali nasze słabości. Patrzyłem więc spokojnie na wystawy sklepów i magazynów, syciłem uszy kakofonią dźwięków ruchliwego miasta, oglądałem się za kobietami, jeszcze chwila, a zacząłbym gładzić pacholęta po główkach i lkać, wtuliwszy twarz w szorstką korę ulicznego drzewa, z trudem wegetującego na skrawku gruntu w tym oceanie betonu i asfaltu. Było mi dobrze i lekko na duszy jak nigdy dotąd. Zamiast myśleć o grożących mi ewentualnie niebezpieczeństwach na obcej planecie, zamiast, ściskając w spotniałej dłoni miotacz, postępować według tkwiących w pamięci paragrafów Regulaminu Postępowania na Nowo Odkrytych Obiektach Kosmicznych, miast w końcu zatknąć w samym środku mijanego skrzyżowania flagę Federacji Ziemskiej i objąć ten glob w posiadanie, zamiast tego wszystkiego kupiłem u ulicznego sprzedawcy lody i rozkoszowałem się ich smakiem. Nogi niemal same mnie niosły, a ja byłem wciąż bliżej i bliżej, już rozpoznawałem znajomą fasadę kamienicy i otwarte okno na trzecim piętrze z powiewającą białą firanką. Zdażyłem. Akurat pchnięta silniejszym podmuchem wiatru rama okienna trąciła doniczkę i fikus wylądował z głuchym pacnięciem u moich stóp. Kilku przechodniów obejrzało się, ale nikt nie stanął tak jak ja, z zadartą głową, wpatrzony w okno. Przez chwilę mignęła w nim kobieca twarz i zaraz się cofnęła, tak że nawet nie zdażyłem zauważyć jej rysów. Opuściłem głowę i wytarłem lepiące się palce o spodnie. Ledwo to zdażyłem uczynić, gdy kobieta, która przed chwilą wyglądała z okna, stanęła przede mną. Przyjrzałem się jej uważnie. Zapewne spodziewała się jakichś pretensji z mojej strony, bo przyjęła zanadto zatroskany wyraz twarzy i trochę się zgarbiła. Ale to nie mogło ukryć jej wspaniałej urody, niezwykle regularnych i pięknych rysów twarzy, obramowanych kasztanową aureolą puszystych włosów. Gdy spojrzała na mnie, dostrzegłem, że oczy miała ciemnoniebieskie, wręcz fiołkowe, co stanowiło niezwykły, ale wcale nie rażący, jak stwierdziłem po chwili, kontrast z kolorem włosów. Była szczupła i niewysoka, ale zgrabna. Doskonale było to widać pod jej gustowną, jasnobrązową sukienką, ściągniętą w talii skórzanym cienkim paseczkiem. Odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów i powiedziała:

— Mam nadzieję, że nic się panu nie stało.

Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie faktu, wszak rozbita doniczka, niczym corpus delicti, leżała pomiędzy nami na trotuarze.

— Nic, jak widzisz. Poza tym głowę mam twardą.

— Uśmiechnęła się samymi oczami.

— Nie znamy się przecież.

Nie bardzo wiedziałem, o co jej chodzi, więc na wszelki wypadek przedstawiłem się.

— James Rank, pilot „Strze...” i strzelec — dokończyłem szybko.

— No i byłabym cię ustrzeliła — roześmiała się cicho. — A ja jestem So.

— Ładne imię — pochwaliłem — niezbyt męczące. — I nagle sam nie wiedząc dlaczego to robię, zapytałem: — Jak się nazywa to miasto?

Od razu też pożałowałem tego pytania. Spojrzała na mnie jakby lekko przestraszona.

— Z daleka przyjechałeś?

O mało nie parsknąłem śmiechem. Tak, kilka lat świetlnych nas dzieliło — chciałem powiedzieć, ale odparłem krótko:

— Z daleka.

— I nie wiesz, gdzie przyjechałeś?

Milczałem.

— To miasto nazywa się Kaura Nameda.

— Kaura Nameda — powtórzyłem cicho.

Nie, byłem pewny, że nigdy nie znałem takiego miasta. Miasta o tak idiotycznej nazwie. Nawet nie wiem, czy coś takiego kiedykolwiek istniało na Ziemi, a jednocześnie sama nazwa nie była mi zupełnie obca, potrafiła jakąś strunę w mojej pamięci, ale bardzo odległą.

— Lubię podróżować bez celu — wyjaśniłem jej, bo nadal spoglądała na mnie dziwnie. — Wysiadałem wtedy na przypadkowej stacji i staram się nie zauważyć jej nazwy.

Nie wiem, czy to tłumaczenie ją uspokoiło, chyba nie, ale po chwili, gdy spojrzała na mnie, zauważyłem, że owa nieufność i rezerwa, z jaką się do mnie odnosiła, zniknęła zupełnie z jej twarzy.

— Skoro przyjechałeś z daleka, to pewnie jesteś zmęczony drogą. Chodź, zapraszam cię na herbatę.

Nie bardzo wiedziałem, co to takiego owa herbata, ile wolałem się z tym nie zdradzać, aby jej na powrót nie spłoszyć. Skinąłem więc potakująco głową. Jakże mi tu brakowało doktora, on zapewne wiedziałby wszystko.

Poszedłem za So znaną mi klatką schodową, staroświecka winda nie działała. Weszliśmy do mieszkania. Chwilę zastanawiałem się, co zrobić ze swoją torbą, w końcu postawiłem ją w rogu przedpokoju na podłodze. Okazało się, że źle wybrałem, So podniosła ją i zawiesiła na stojącym wieszaku.

— Niewiele masz rzeczy, jak na tak daleką podróż.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie lubię mieć dużo bagażu, to przeszkadza w poruszaniu się.

Nie wiem, za kogo mnie brała, swoją innością mogłem przecież budzić w niej lęk, mimo to nie bała się lub też nie okazywała tego po sobie. Być może, jak każdą kobietę, bawiło ją pociąganie lwa za ogon. W każdym razie nie pytała więcej o nic.

— Mama zaraz wróci, to zjemy obiad. Pewnie jesteś głodny?

Rzeczywiście, do tej pory nie odczuwałem głodu, za to w tej chwili poczułem ze wzmożoną siłą, że od rana nie miałem nic w ustach. Jadłem jeszcze na „Strzelcu”. To wszystko przypomniawszy mi o upływie czasu. Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu zegara. Był w kącie pokoju, wielka, brązowa skrzynia z poruszającym się za szybą wahadłem. Aż wstałem, by mu się przyjrzeć. Dziwne, że do tej pory nie zauważyłem jego obecności, bo tykał dość głośno. Na białej tarczy wskazówki pokazywały czternastą czterdzieści pięć. Z kolei przeniosłem wzrok na mój naręczny komputer, jego chronometr wskazywał pół do trzeciej. Posunąłem swój zegarek o piętnaście minut do przodu i siadłem. Nie chciałem zbyt nachalnie rozglądać się po mieszkaniu, by nie wzbudzić niepotrzebnych podejrzeń mojej gospodyni. So tymczasem zniknęła za białymi drzwiami, za którymi domyślałem się kuchni; dochodził stamtąd szcęk metalowych garnków i szklanych naczyń. Wreszcie coś tam zaczęło gwizdać ogłuszająco i po dobrej chwili, podczas której już, już chciałem tam zajrzeć, wszystko nagle ucichło i na progu ukazała się So z tacą w rękach. Na tacy niosła dwie szklanki ze złocisto-brunatnym płynem i jakieś naczynie wypełnione białym proszkiem.

Zakląłem w duchu, wyglądało na to, że najwięcej trudności w mojej kosmicznej misji będę miał z jedzeniem. Ale wszystko poszło nad podziw łatwo; po prostu robiłem to samo, co So, tylko że jedynie ja poparzyłem sobie usta gorącym płynem. Uśmiechnęła się uroczo, gdy

nie mogłem przez chwilę złapać oddechu.

— Ostrożnie, gorące — powiedziała poniewczasie.

Wdychając niezwykle dla mnie aromat herbaty odważyłem się i ja zadać jej pytanie.

— A co ty robisz, So?

— Studiuję futurologię. To nowy kierunek na naszym uniwersytecie, nie ma jeszcze wielu zwolenników, ale za to ma wielkie perspektywy przed sobą.

Zgodziłem się z tym; futurologia nie miała nigdy zbyt wielu zwolenników, a co do perspektyw, to owszem, bywały, ale nigdy nie potwierdziły przewidywań. So była jednak najwyraźniej entuzjastką nowej nauki.

— Profesor Mager przewiduje w niedługim czasie koniec naszej cywilizacji. To nie są mrzonki — zastrzegła się widząc na moich ustach ironiczny uśmiech. — Oparł się na naukowych przesłankach i wyliczył, że nastąpi to najpóźniej w końcu naszego stulecia.

Wolałem nie pytać, jak daleko jest do tego końca, ale chyba nie była to zbyt odległa przyszłość, bo So dodała po chwili:

— Tak się tym przejęłam, że postanowiłam nie zakładać rodziny.

Roześmiałem się.

— Możesz nie wierzyć — obraziła się — ale to pewne.

Wstała i sprzątnęła szklanki. Z przyjemnością patrzyłem na jej zgrabną figurę, gdy się tak krzątała wokół stołu.

— A ty jesteś żonaty? — zapytała nagle.

— Nie wiem — odpowiedziałem głupio, bo mnie tym pytaniem zaskoczyła, a poza tym naprawdę nie wiedziałem, czy dziwne miasto nie przygotowało mi i takiej niespodzianki. Wszak nie przejrzałem dokładnie swoich dokumentów, a znalezione wśród papierów zdjęcie Kory mogło o czymś takim świadczyć.

Oczy So zrobiły się okrągłe jak spodki.

— Jak to, nie wiesz? — zapytała i zastygła w bezruchu w pół drogi do kuchni.

— Widzisz, So — zacząłem — ze mną wydarzyła się przedziwna historia. Jeśli chcesz, opowiem ci ją, chociaż wiem, że nie uwierzysz w ani jedno moje słowo.

Rzeczywiście byłem tego pewny, sam bym nie uwierzył. Jednocześnie zdecydowałem się wszystko jej wyjawić, bez względu na czekające mnie konsekwencje.

— Amnezja? — zapytała z nadzieją.

Postanowiłem utrzymać ją w tym przekonaniu.

— Coś w tym rodzaju, tylko jest to trochę bardziej skomplikowane. Nie bój się, wszystko ci wyjaśnię lub, jeśli wolisz, zaraz sobie stąd pójde i nie będzie problemu.

— Dokąd pójdziesz? — zapytała. — A zresztą, powiem ci to. Chcę, żebyś został, od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłam, zrozumiałam, że coś nie jest z tobą w porządku, a jednocześnie poczułam coś takiego... — głos się jej załamał.

Postawiła z powrotem tacę na stole i podeszła do mnie. Jej głowa sięgała mi zaledwie do ramion. Oparła dłonie na mojej piersi i zadzierając głowę spojrzała mi w oczy.

— Po prostu chcę, żebyś został.

Pocałunek przerwał nam odgłos otwieranych drzwi.

— To mama — powiedziała So już zupełnie spokojnie. — Za chwilę będzie obiad.

Do pokoju weszła starsza pani w popielatym płaszczu. Jeszcze teraz, choć czas zatarł jej rysy i kształt figury, można było poznać, iż w latach swej młodości była nie mniej piękna, niż jej córka. So podeszła do matki i odebrała od niej płaszcz. Pocałowała ją. Starsza pani spojrzała na mnie przyjaźnie.

— A to kto? — spytała z udaną groźbą w głosie.

— To jest, mamó, Jim. Zostanie z nami.

Starsza pani wyciągnęła do mnie rękę. Uścisnąłem ją.

— James Rank, pilot.

— Jestem Mera Kriegg — powiedziała, a zwracając się do córki, dodała: — A czemu on jest taki wielki?

— Nie wiem — odparła So. — To zresztą bardzo tajemniczy człowiek, ale obiecał wszystko o sobie opowiedzieć.

Wydawało mi się, że matka zmarszczyła brwi, pewnie sądziła, iż So bardzo dobrze mnie zna, a nie sprowadza do domu pierwszego napotkanego na ulicy przechodnia. Ale zaraz rozpogodziła się.

— Moja córka ma najdziwsze pomysły — powiedziała jakby na usprawiedliwienie swojej decyzji, iż będzie mnie tolerować w swoim domu. — Odkąd studiuje tę zwariowaną naukę, mówiła panu?, nie można się z nią porozumieć. Ale proszę z nami zostać, może pan nocować, póki mojego męża jest wolny.

— Dziękuję.

Starsza pani machnęła ręką, jakby mówiąc: Nie ma za co, synu, i weszła za córką do kuchni.

Zostałem sam.

Przyniosłem z przedpokoju swoją torbę i zabrałem się do gruntownego przeglądania moich nowych dokumentów. Jak mogłem się spodziewać, mieszkałem właśnie w Kaura Nameda, Aleja Nemedy 12/7. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduje ta aleja. Trzeba będzie zapytać So — pomyślałem i szybko zrezygnowałem z tego pomysłu. Spytałem kogoś w mieście. Z dokumentów wynikało, że nie byłem na szczęście żonaty. Schowałem cały majdan z powrotem, wciskając jak najgłębiej nieszczęsny rewolwer. Nie wiedziałem, po co jest mi on dany. Zacząłem podejrzewać, że w mieście nic nie dzieje się ot tak sobie, że każdy mój krok, wynikający pozornie z mojej wolnej woli, jest starannie zaprogramowany i w moim działaniu nie ma miejsca na żadne przypadki. A raczej nawet to, co ja w swej naiwności gotów byłem brać za przypadek, też było starannie przygotowane. Przyjdzie więc kolej i na rewolwer, nie umieszczono go w mojej torbie bez powodu. Nie bardzo odpowiadała mi rola niewolnika układów, ale cóż mogłem zrobić?

Spojrzałem na zegar. Za piętnaście czwarta. A więc upłynęła już równo godzina, jak tu siedzę. Odruchowo popatrzyłem na swój zegarek i osłupiałem. Dokładnie przecież pamiętałem, że regulowałem go zgodnie z zegarem w szafce, a tymczasem mój wskazywał pół do czwartej. Co u diabła — pomyślałem — czy czas tu inaczej płynie? To prawda, że przyjąłem zupełnie a priori, iż minuta w mieście równa jest ziemskiemu czasowi, wszak inne zjawiska zachodziły tu niezgodnie z logiką, ale za to zgodnie z ziemskimi swoimi odpowiednikami. Wyglądało na to, że czas w mieście płynie jednak szybciej. Westchnąłem i jeszcze raz przestawiłem swój zegarek, postanawiając obserwować dokładnie wskazywany przez niego czas.

„STRZELEC”

Zgodnie z przewidywaniami doktora Lavue'a Garth który poleciał w godzinę po utracie łączności z Rankiem, wrócił cały i zdrowy. Garth z polecenia Dornera przebył dokładnie tę samą trasę i nawet lądował na środku Morza Cudów, a więc gdzieś w centrum miasta, ale niczego nie dostrzegł i bezpiecznie wystartował. Gdy zameldował się u komandora, ten musiał skapitulować przed większością i wydał rozkaz przygotowań do lądowania. To miało potrwać co najmniej tydzień, ale i tak wprowadziło naukowców w stan euforii. Wszyscy prawie zgodzili się z teorią doktora, aby tylko przypadkiem Dorner nie rozmyślił się i nie odwołał rozkazów. Na Psimie według nich nie groziło najmniejsze nawet niebezpieczeństwo. Faktem dla nich stała się już teoria o rozumnym i ahumanoidalnym życiu na tej planecie i wszyscy

palili się do pracy nad rozwiązywaniem czekających na nich naukowych zagadek. Tylko fizycy z Petersenem i Jol na czele zgłaszali sprzeciwy. Według nich lądowanie w tej fazie badań jest szaleństwem. Siły, które dały tak potężny dowód swego istnienia, były jedną wielką niewiadomą. Dorner podlegał więc różnym naciskom i nie bardzo wiedział, jak wybrnąć z sytuacji. Wydanych rozkazów nie odwoływał, ale coraz bardziej ich żałował. Wreszcie, by przeciąć ten węzeł gordyjski, odłożył termin lądowania do następnego tygodnia, dając jednocześnie czas fizykom na sformułowanie i naukowe poparcie swego protestu. Większość uczonych była rozgoryczona, pomawiali Dornera o kunktatorstwo, ba, nawet tchórzostwo. Ale to właśnie Dorner, a nie kto inny, był wyznaczony po to, by czuwać nad tymi zapaleńcami, którzy nie dostrzegali niebezpieczeństwa nawet wtedy, gdy kładli głowę pod topór. Ich przecież interesowała naukowa strona zagadnienia, a mianowicie, dlaczego topór spada? To, co się stanie, gdy już spadnie, było dla nich obojętne.

Fizycy, do których nieoczekiwanie dołączyli matematycy i kilka innych mniejszych sekcji nie zainteresowanych bezpośrednio lądowaniem, wykorzystali darowany im przez Dornera czas do maksimum. W wieczór poprzedzający podjęcie przez komandora ostatecznej decyzji, zwołał on naradę, jak zwykle w Okrągłej Sali. Polityczne emocje rozpałył załogę tak dalece, że stawili się na niej prawie wszyscy. Nie starczyło nawet miejsc. Ludzie stali pod ścianami, siedzieli pośrodku pierścieniowego stołu. Wielu przyszło z ciekawości: sam spór bardzo ich interesował, więcej niż jego temat. Gdy Dorner wszedł, wszyscy ucichli. Stał za oparciem swojego fotela i rozejrzał się po sali. Jedne twarze wyrażały napięcie, inne niepokój, jeszcze inne tylko zainteresowanie. Pomimo panującego tłoku i braku miejsc, fotel Ranka stał pusty. Dorner wskazał go siedzącemu dość daleko ze swym zespołem Petersenowi. Gdy fizyk usiadł, Dorner odezwał się:

— Wiecie wszyscy doskonale, w jakim celu się tu zgromadziliśmy. Nie będę więc robił wprowadzenia. Ponieważ stanowisko większości jest dobrze znane i brzmi po prostu: lądować, przeto głos oddaję Głównemu Fizykowi, którego zespół pracował przez ostatni tydzień w tajemnicy przed innymi i jako opozycja miał zdobyć przekonujące i wystarczające dowody, by podjąć decyzję o nielądowaniu.

Dorner zorientował się wreszcie, że cały czas stoi, i usiadł.

GF zaczął mówić.

— Muszę od razu się przyznać, wydając się tym samym w ręce naszych antagonistów, iż nie udało się nam zdobyć jakichś niepodważalnych faktów, przemawiających za tym, by nie lądować.

Szmer przeszedł po sali, ale Petersen nie przerywał swojej wypowiedzi.

— Nie znaczy to jednak, że przeszliśmy na drugą stronę barykady. W dalszym ciągu twierdę, że z lądowaniem należy się powstrzymać i to może aż do powrotu Ranka, jeśli fakt ten kiedykolwiek nastąpi. Teraz przedstawię wszystkim po prostu to, co udało się nam odkryć, i co może ma nawet i bezpośredni związek z omawianą kwestią. W naszych badaniach skoncentrowaliśmy się przede wszystkim nad przyczyną zniknięcia grawistatu pilotowanego przez Jima. Przez pierwsze dwa dni dreptaliśmy jednak w miejscu, nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia do dalszych rozważań. Czasu mieliśmy mało, a możliwych powodów tysiące. Na trop naprowadził nas doktor Lavue.

Wszystkie głowy z zainteresowaniem i zdziwieniem zwróciły się w stronę doktora. On sam wydawał się nie mniej zdziwiony od reszty zgromadzenia.

— Tak, doktorze, pan jeszcze w sterowni, indagowany przez komandora na temat przypuszczalnego miejsca pobytu Ranka, odpowiedział: może jest w innym wymiarze?

Sala znowu zaszemrała, a Petersen mówił dalej:

— To był punkt wyjścia. Duży udział w naszym sukcesie ma Jol, która zaczęła badać czynnik czasu i dokonała rewelacyjnego, moim zdaniem, odkrycia: pomiędzy naszym czasem, przywiezionym niejako z Ziemi, a czasem Morza Cudów istnieje interwał, inaczej prze-

skok o piętnaście minut, dwadzieścia cztery sekundy i trzynaście tercji. Dlaczego właśnie tyle, a nie równo piętnaście, nie wiem. Wiem jednak, jakie są tego przesunięcia następstwa. Rank mianowicie przesunięty przez, jak sądzimy, Psimian wraz ze swoim statkiem o piętnaście minut „do przodu” zniknął. I nie jesteśmy w stanie go dogonić, przynajmniej bez woli mieszkańców tamtej planety. A więc Rank wylądował we wskazanym przez nich mieście, które obiektywnie istnieje tylko dla niego. My nie możemy go dostrzec ani tam dolecieć.

Zapadła cisza.

— Czy to jest w ogóle możliwe z punktu widzenia naszej nauki? — zapytał Dorner.

— Teoretycznie. Istnieje hipoteza, i to niejedna, opisująca ściśle podobne zjawiska. Jednakże to tylko teoria. Na razie nie potrafimy stworzyć takiej „czasowej wyspy” nawet w warunkach laboratoryjnych, a co dopiero w skali planety. Ale to jeszcze nie wszystko. Kiedy już zajęliśmy się dokładniej tym Morzem Cudów, spostrzegliśmy jeszcze jeden zdumiewający fenomen. Nawiasem mówiąc, Rank bardzo trafnie nazwał ten teren. Ale ad rem. Otóż stwierdziliśmy, że na omawianym obszarze zachodzi cykliczna zmiana kierunku siły przyciągania z częstotliwością rzędu megaherców, tak że przy jej niewielkiej wartości zjawisko to nie jest w stanie dać efektów w skali makroskopowej. Zresztą zaobserwowaliśmy to z ogromnym trudem.

Na sali podniósł się szum. Przedstawione przez Petersena rewelacje wzburzyły naukowców. Teraz zdawało się im, że są już mądrzy i nikt dalej fizyka nie słuchał.

— Koledzy, jeszcze chwileczkę — Petersen usiłował przekrzyczeć salę.

Powoli się uspokoili.

— Nie wiem, czy zjawisko to jest uboczne w stosunku do przesunięcia czasowego, czy też nie. Osobiście skłaniam się ku pogładowi Jol, że służy ono właśnie wywołaniu fenomenu czasowego. Bo przecież dwa tak niespotykane zjawiska nie występowałyby chyba jednocześnie na tym samym terenie. Istnienie jednego z nich jest znikomo prawdopodobne, a dwóch równocześnie... Uważam więc, że mamy do czynienia z celową, choć chyba nie wrogą, działalnością Psimian. To wszystko. Decyzję czy lądować, czy nie, podejmie komandor Dorner — Petersen skończył.

Dorner wyglądał jeszcze bardziej nieszczęśliwie, niż przed rozpoczęciem narady.

— Będziemy głosować — zdecydował.

Statek pozostał na orbicie.

ŻYCIE RODZINNE

Moje życie z So nie układało się bezkonfliktowo. Przyczyn ku temu było aż nadto, na dodatek i ja sam zacząłem wreszcie poddawać analizie całe moje dotychczasowe przejścia na Psimie i od początkowej, dziecięcej wręcz łatwowierności przeszedłem na pozycje skrajnego sceptycyzmu. Oczywiście, opowiedziałem jej, z powodu jakich przyczyn znalazłem się przy niej; nie sposób przy tym było pominąć faktu, że całe Kaura Nemedra jest tylko mirażem i złudą, a tym samym i ona jest niczym innym, jak powołanym dla mnie do życia fantomem. Jednak moje opowiadanie przyjęła z podziwu godnym spokojem, Nie wiem, czy uważała mnie za nieszkodliwego wariata, czy też uwierzyła naprawdę w to, co mówię, lecz z właściwą kobietom zdolnością do godzenia sprzeczności przeszła nad tym do porządku dziennego. W każdym razie nie wracaliśmy do tego nigdy więcej, a drobne potknięcia, jakie ciągle jeszcze mi się zdarzały, ignorowała.

Choć wydać się to może absurdalne, kochałem ją. Widocznie i ja posiadałem zdolność godzenia sprzeczności i oszukiwania się. Jednocześnie więc poddawałem wnikliwemu badaniu otaczającą mnie rzeczywistość, starając się zrobić następny krok w kierunku jej zrozumie-

nia, z drugiej zaś strony zanurzyłem się cały w porywającym mnie nurcie pseudożycia. Nawet je, cóż za ironia, polubiłem. Byłem więc kimś na wzór narkomana i podobnie jak narkoman nie potrafiłem tego przerwać, nie mogłem się zdobyć na jakiś stanowczy krok. Trwało to przeszło miesiąc. W tym czasie na dobre zadomowiłem się w mieszkaniu So i jej matki. Zacząłem nawet pracować w zakładzie elektronicznym, bo pieniądze znalezione w portfelu szybko się skończyły. Wniosłem więc do ich mieszkania kilka ubrań i sprzętów, na które sam zapracowałem. So już coraz rzadziej też mówiła o swoim postanowieniu niezakładania rodziny. Zaczynałem się niepokoić, bałem się, czy nie brnę zbyt daleko, czy nie czas przerwać tę grę i wrócić na „Strzelca”. Ale jak to zrobić? Poza tym podejrzewałem, że nie uczestniczyłem jeszcze we wszystkich atrakcjach przygotowanych dla mnie. Łudziłem siebie samego, że nie nadszedł ten właściwy czas, a gdy się to stanie, niechybnie otrzymam odpowiedni sygnał. Czepiałem się tej myśli jak pijany płotu, bo dawała mi możliwość dalszej bezczynności. Stawałem się coraz bardziej bierny, wsiąkałem powoli w miasto. To było niebezpieczne, ale nadal nic nie robiłem w przekonaniu, że gdy będzie trzeba, to jednym ruchem rozstrzygnę tę partię na swoją korzyść.

Pewnego dnia naszła mnie ochota, by odwiedzić swoje mieszkanie w Alei Nemedy. Ulicy nie musiałem długo szukać; była pryncypalną arterią miasta. Eleganckie domy stojące po obu jej stronach były oddzielone od huczącej jezdni pasami zieleni, dość skutecznie tłumiącymi ten hałas. Odnalazłem swoją kamienicę. Szara fasada wznosiła się na sześć pięter. Wszedłem do sieni i rezygnując z przejażdżki windą powędrowałem schodami w górę. Mieszkanie numer 7 znajdowało się na drugim piętrze. Wyjąłem z kieszeni klucze i spróbowałem otworzyć drzwi. Po kilku minutach byłem w środku. Mieszkanie było duże, czteropokojowe. Widocznie pilotom dobrze się tu powodzi — pomyślałem ironicznie. Chodziłem po pokojach i oglądałem wszystko z ciekawością. Chciałem nawet wziąć ze sobą kilka rzeczy, ale potem pomyślałem, że przecież możemy się tu przenieść razem z So.

Na stoliku obok tapczanu stała duża fotografia Kory, identyczna jak zdjęcie z portfela. Zapewne powiększenie. Podniosłem fotografię i odwróciłem. Nic, żadnych dedykacji. Rzuciłem je na tapczan. Wysunąłem szufladę stolika i wśród wielu drobiazgów znalazłem notes. Był wypełniony moim charakterem pisma. Przeglądając go, znalazłem notatkę: Kora Lazzi, Portowa 16/4. Chwilę siedziałem bez ruchu, a później wsunąłem notes do kieszeni. Wiedziałem już, że tam pójde, ale jeszcze nie teraz.

Obrzuciłem spojrzeniem pokój. Nie, jednak nie będę się tu przeprowadzał, to był głupi pomysł.

Wyszedłem.

Od chwili, gdy zamknąłem za sobą drzwi, przestałem się zachowywać, jakbym był na wakacjach. Koniec z tym — postanowiłem sobie w duchu — trzeba zacząć działać. Na początek musiałem dowiedzieć się dokładnie, dlaczego właściwie zostałem zawieszony jako pilot. Nie wiedziałem jeszcze, jak się do tego zabiore, ale już sama myśl, że mam przed sobą jakiś cel, wprowadziła mnie w lepszy nastrój. Chciałem to zrobić jeszcze w tym samym dniu, ale So wyciągnęła mnie do kina. W ostatnich dniach nie byłem dla niej zbyt miły, więc poszedłem.

Sala była pełna. Zaraz po naszym wejściu rozpoczęła się projekcja. Zajęty własnymi myślami dotyczącymi kroków, jakie nazajutrz podejmę w mojej sprawie, nie śledziłem akcji filmu, banalnej zresztą, ale w pewnym momencie rozejrzałem się po sali. Część widzów traktowała film jak dobrą zabawę, śmiejąc się z łożkowych perypetii bohaterów, część zachowywała bądź to skupienie, bądź reagowała wulgarnym śmiechem, zachęcając głośnymi okrzykami bohaterów sex-kreskówki do dalszych działań. Podniosłem wzrok i spojrzałem na ekran. Zaskoczenie moje było tak wielkie, że dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, iż twarze bohaterów kreskówki były karykaturami członków załogi „Strzelca”. Oto gruby Petersen, Jol, Dorner, Dora, McCox, nawet malutki Lavue w miłosnych zapasach. Zamknąłem na chwilę

oczy. Gdy je otworzyłem, nic nie uległo zmianie.

— Chodźmy stąd — poprosiła So — to głupie.

Wyszliśmy. Było już ciemno, nadchodziła późna jesień i ściemniało się coraz wcześniej. Wiał zimny, przejmujący wiatr. Zdjąłem marynarkę i okryłem So. Marynarka sięgała jej do połowy ud. Szliśmy objęci przez wyludnione ulice. Milczeliśmy, ostatnio coraz częściej się nam to zdarzało.

Rozmyślałem nad tym, co zobaczyłem. Było symptomatyczne, że pokazano mi w dziwaczny nieco sposób załogę „Strzelca”, by przypomnieć mi o jego istnieniu w chwili, w której zdecydowałem się na działanie i zerwanie z dotychczasowym życiem. Domyślałem się już, że nie kieruje mną jednolita siła, ale kilka sił, które wzajemnie się zwalczają, walcząc o to, by być jedyną, która ma na mnie wpływ. Ostatnio, jak sam to zauważyłem, zwycięstwo odniosły te, które chciały, bym działał. Postanowiłem im pomóc.

— So, kochanie — zacząłem — jest taka sprawa...

— Nic nie mów — poprosiła i ze zdumieniem spostrzegłem, że płacze. — Wiem, że chcesz odejść.

— Nie chcę, ale muszę. Powinnaś to zrozumieć.

— Chwilami żałuję, że ci uwierzyłam — pociągnęła nosem. — Powinnam zaprowadzić cię do psychiatry.

— Nie mów tak. Kocham cię.

— Więc czemu odchodzisz? — zapytała. — Przecież ja cię też kocham.

— Jeszcze wrócę — powiedziałem w jakimś wieszczym natchnieniu — a potem już odejdę na zawsze.

Nie wiem, skąd się brała we mnie pewność, z jaką wypowiadałem te słowa.

— Kiedy?... — płacz nie pozwolił jej dokończyć.

Ale domyśliłem się, o co jej chodzi.

— Jutro, jak wrócisz z uczelni, mnie już nie będzie.

— Dasz sobie radę?

Zastanowiłem się. Sam właściwie nie wiedziałem, czy sobie poradzę.

— Muszę.

Czułem, że dam z siebie wszystko, by doprowadzić tę grę do końca. Zresztą od chwili, gdy wylądowałem na Psimie, poczyniłem wiele obserwacji i wiele zrozumiałem. Wiedziałem już, że jestem igraszką potężnych sił, które jednak kierują mną nie dla zabawy, a w jakimś, sobie tylko na razie wiadomym, celu. Liczyłem, że i ja ten cel kiedyś poznam. Pomyślałem też, że przygotowując mnie do tego wciąż jeszcze odległego faktu, lub raczej sprawdzając, czy jestem odpowiednim człowiekiem, Psima wyprodukowała to miasto i przesunęła je wraz ze mną w czasie tak, że stałem się nieosiągalny dla „Strzelca”. Miałem też pewność, że mieszkańcy Psimy, których wciąż jeszcze nie znałem, posługując się potężnymi psychopolami, zdobyli szereg wiadomości, wydobywszy je z naszej pamięci. Wszak i to miasto, Kaura Nemed, było zlepkiem fragmentów dzielnic i ulic różnych miast na Ziemi i jako samodzielny twór nigdy nie istniało. Na jego obecny kształt złożyły się wspomnienia wielu członków załogi o ich rodzinnych miastach. Gdybym się uparł, gdybym tylko wiedział, jak wyglądało moje rodzinne miasto przed kilkoma wiekami, odnalazłbym pewnie i tutaj ślady Milwaukee. Fragmentów współczesnego Milwaukee nie udało mi się zobaczyć. Z mojej więc pamięci pochodziła jedynie nazwa. Kaura Nemed to było miasto, o którym marzyłem w dzieciństwie, że je zbuduję. Był taki okres w moim życiu, gdy zafascynowany tym, iż brat mego ojca jest architektem, chciałem nim także zostać. Zapewniałem wówczas szkielety najdziwniejszymi formami, które mogły powstać wyłącznie w dziecięcej wyobraźni, wierząc, iż przyjdzie czas, gdy je zrealizuje. Na razie jednak zanudzałem swoimi pomysłami wujka Georga, gdy wążąc mu podczas obiadu na kolana, zmuszałem do podziwiania swoich konstrukcji. Wuj Georg znosił to wszystko ze stoickim spokojem, dopiero po latach dowiedziałem się, że kilka moich

pomysłów przerobił tak, by przystawały do życia i techniki, i wybudował je w Brazylii. Ale mój zapał, by zastać architektem, zniknął tak szybko, jak się pojawił. Przyczyną tego był wyjazd wuja na Marsa, gdzie miał budować osady dla kolonistów. Pozostała sama nazwa: Kaura Nameda, miasto przyszłości. Mogłem jedynie dziękować bogom, że Psimianie zapożyczyli sobie tylko tę nazwę, a nie postarali się na przykład o to, bym musiał teraz mieszkać wśród wymyślonych przez siebie architektonicznych dziwołagów.

Zaczął padać deszcz. Przechodziliśmy akurat obok niewielkiego barku, mieszczącego się o dwie przecznice od domu. Często wpadaliśmy tu razem, było to ulubione miejsce spotkań So i jej przyjaciół, z którymi mnie poznała. Bardzo polubiłem ten barek i jego atmosferę, wszyscy się tu znali i czuli jak we własnym domu. Wiele razy siedząc tam z So myślałem, że czego jak czego, ale tych wieczorów spędzanych w „Marabucie” będzie mi brakować.

— Wstąpimy? — zapytałem, bo deszcz się wzmagał.

Bez słowa skręciła i pchnęła drzwi.

Na kontuarze siedział Marabut, śmieszny pekińczyk, którego imieniu lokalik Jacka zawdzięczał swą nazwę.

Sam Jack siedział za barem i oglądał telewizję.

— Cześć, Jack!

Oderwał wzrok od ekranu.

— Czemu jesteś taka smutna, So — spytał Jack zamiast powitania. — Chcesz, to pożyczę ci na noc Marabuta, on cię rozweseli lepiej od tego goryla — wskazał głową na mnie.

— On odchodzi, Jack.

— Co się wygłupiasz, stary, gdzie ci będzie lepiej? A może lokal ci się znudził? Miałem robić remont za pół roku, ale, jak chcesz, mogę tę budę odnowić teraz.

Pokręciłem głową.

— Nie o to chodzi, muszę odejść i już. Ani ty, ani Marabut nic tu nie poradzicie.

Jack chciał jeszcze coś powiedzieć, ale spojrzał na So i ugryzł się w język.

— Daj nam butelkę i dwa kieliszki, chcielibyśmy posiedzieć sami.

Jack rąbnął butelką wina o blat, a widząc, że So odeszła już, by usiąść przy najdalszym stoliku, powiedział:

— Nie gniewaj się, stary, ale nie masz dobrze w głowie.

— Nie gniewam się. Pilnuj, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

— Okay.

Poszedłem za So. Po drodze pomachałem ręką na powitanie nielicznemu towarzystwu, zajmującemu drugi stół, i siadłem naprzeciw So.

Wyglądała żałośnie w mojej za dużej marynarce, jak stary kłown, którego już nikt nie chce oglądać. Swoim wyglądem budziła litość. Opuściła głowę i jakby się skurczyła wewnętrznie. Ramiona jej drżały. Nalałem wina do kieliszków. Objęła swój obiema dłońmi, od czasu do czasu przetaczając go między nimi. Piła małutkimi łydkami jak lekarstwo, nie podnosząc wzroku.

— Opowiedz mi jeszcze raz, jak się tu znalazłeś — poprosiła nagle. — Może wtedy zrozumie, dlaczego musisz odejść.

Opowiedziałem jej wszystko od początku tak spokojnie, jakby w całej tej historii nie było nic nadzwyczajnego. Mówiłem cicho i powoli, z daleka można by sądzić, że robię jej miłosne wyznania, że mówię o potędze uczucia, podczas gdy ja boleśnie raniłem ją każdym słowem, sam nawet o tym nie wiedząc.

Gdy skończyłem, zaczęła płakać.

— Dlaczego płaczesz?

Dopiero teraz podniosła na mnie oczy, aż się zdziwieniem, ile w nich było bólu i cierpienia.

— Boję się, że to, co powiedziałeś, jest prawdą. A jeśli tak, jeśli to prawda, to kim ja

jestem, kim jest Jack, Marabut, czym jest w końcu to MIASTO? Dekoracją zbudowaną na twoje przybycie? Dojdiesz swoich prawd i będziesz chciał wrócić tam, gdzie jest twoja Ziemia. A co z dekoracją? Już jest przecież niepotrzebna, trzeba ją rozebrać, schować w magazynie, poukładać na półkach rekwizytorni! Czy ty nie rozumiesz, że podpiszesz wyrok na nas wszystkich? Teraz żyjemy, bo ty tu jesteś. Ale potem?

— Więc mi wierzysz?

— Tak. Nie wiesz o tym, ale odkąd opowiedziałeś mi o sobie, zaczęłam się nad tym zastanawiać. Z początku myślałam, że tak sobie fantazjujesz, by mnie zainteresować swoją osobą. Potem jednak, w miarę jak dalej obstawałeś przy swoim, zaczęłam cię podejrzewać, że jesteś nieszkodliwym maniakiem. Ale jednocześnie zauważałam twoje nieprzystosowanie do normalnego życia. Tysiące drobiazgów: że nie znasz chusteczek do nosa, że nie umiesz otwierać drzwi z klucza, że wszelkie potrawy są dla ciebie całkowitym zaskoczeniem i nigdy nie zaczynasz jeść, dopóki ktoś inny tego nie zrobi, byś mógł się przyjrzeć. Oczywiście, uczyłeś się łatwo; gdy robiłeś to samo po raz drugi, nie popełniałeś błędów, ale gubiłeś się w nowych sytuacjach. Jednocześnie twoje wiadomości z różnych dziedzin nauki, gdy już w ferworze dyskusji przestałeś siebie kontrolować i przytaczałeś je na poparcie swoich tez, przerastały, sprawdziłam to, naszą wiedzę. Ale jeszcze nie wierzyłam. Uwierzyłam dopiero sobie, zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, bym nagle, jednego dnia, uległa aktowi kreacji wraz z całym miastem. Była to myśl absurdalna, ale w miarę, jak poddawałam wszystko analizie, stopniowo przestawała być taką. Zauważyłam, iż niewiele pamiętam ze swej przeszłości, to znaczy sprzed dnia, w którym poznałam ciebie. Znałam datę urodzenia, kilka faktów ze swej biografii, które swą oschłością i nagością przypominały urzędowy życiorys, a poza tym nic, żadnych wzruszeń, głębszych wrażeń, pamięci szczegółów! Wiedziałam tylko, że znam takie to a takie osoby, posiadałam umiejętność poruszania się w Nemedzie, i to wszystko. Resztę dałeś mi ty! Dopiero od miesiąca jestem człowiekiem, a im dłużej jestem z tobą, tym mocniej to czuję... Jest jeszcze jeden szczegół. Nigdy nawet nie słyszałam o kimś, spośród najdalszych choćby znajomych, kto by opuścił miasto! Wiem, że jest lotnisko, że jest kolej, autobusy, ale są, żeby być, a nie by spełniać swe funkcje. Przedtem wydawało mi się normalne, że nigdzie nie wyjeżdżam, wszak wiem, że istnieją inne miasta i kontynenty, aż nagle zrozumiałam, że to absurd. Poczułam, że może istotnie poza Kaurą Nemedą nie ma nic? Poszłam na dworzec, kupiłam bilet, i choć widziałam, że ludzie tacy jak ja wsiadają do pociągu, stchórzyłam. To wszystko byli nieznajomi. Może stamtąd, dokąd jechali, by zrobić na mnie wrażenie, że wszystko jest w największym porządku, nie wrócą? Nie odważyłam się tego sprawdzić. Ale od tej chwili boję się i tylko ty sprawiasz, że strach ten mija, ale co będzie, gdy odejdziesz? Czy zapomnę o tobie i dalej będę statystować w tym mieście? Dla kogo?

So umilkła nagle. Nie odpowiadałem jej, bo i cóż mógłbym powiedzieć? Podzielałem jej podejrzenia, tyle tylko, iż łudziłem się, że wyjaśnienie ich nie jest moim „być albo nie być”, podczas gdy do niej ten cytat odnosił się dosłownie. A przecież i mnie nie było to zupełnie obojętne; pomimo całej niesamowitości naszej sytuacji, kochałem ją. Teraz wydawało mi się nawet, że była dla mnie czymś więcej niż Jol. Czyż więc nie powinienem zostawić tego wszystkiego w spokoju i dożyć swych dni w wymyślanym mieście? Być może byłbym do tego zdolny. Istniało jedno niebezpieczeństwo. Nikt nie mógł nam zagwarantować, że ten stan będzie trwał wiecznie, i że bez mojej ingerencji Kaura Nemedza będzie istniała nadal, wyprzedzając ciągle czas wszechświata o nędzne piętnaście minut. Czyż moglibyśmy więc żyć i cieszyć się szczęściem wiedząc, że znajdujemy się na czymś równie nietrwałym, jak bańka mydlana? Czy więc dotarcie do prawdy i wydobywanie jej na światło dzienne nie byłoby skróceniem mąk, eutanazją całego miasta? Nie byłby to akt największego poświęcenia dla czegoś, co i tak musi zginąć, ulec unicestwieniu? To wszystko były retoryczne pytania, ale jakże wiele od nich potwierdzenia zależało!

Jakiż ze mnie głupiec, że jej powiedziałem prawdę! Czemuż nie udałem idioty, za jakie-

go mnie miała? Zaoszczędziłbym jej wielu cierpień, nawet by wtedy nie podejrzewała, że coś jest nie tak. Ale to były spóźnione żale.

— Żałujesz? — zapytała nagle.

Skinałem głową.

— Postaraj się o tym zapomnieć — powiedziałem głupio.

Uśmiechnęła się smutnie.

— Czyż można zapomnieć, że jest się chorym na raka?

Nic nie odpowiedziałem.

„Marabut” powoli zapełniał się ludźmi. Wchodzili, witali się z Jackiem, głaskali drze-
miącego na barze pekińczyka. Ten i ów pomachał nam z dala dłonią, ale ostrzeżony przez
barmana nie podchodził.

So uporczywie przyglądała się znajomym.

— Oni nic nie wiedzą — wyszeptała nagle — jak statyści w teatrze: wejść, wziąć forszę i
nic więcej ich nie obchodzi. Wiesz, chyba zacznę krzyczeć.

Ale zamiast tego zamilkła i wpatrzyła się w jakiś punkt na sali. Wypiłem swoje wino i
nalałem znowu. Wiedziałem, że zachowuję się trochę jak korespondent wojenny neutralnego
kraju na jakimś dalekim froncie. Czułem, że jestem w takim samym niebezpieczeństwie, jak
walczący żołnierze, a mimo to żywiłem jakąś irracjonalną nadzieję, że wszystko złe mnie
ominie, gdyż jestem tu obcy i niezaangażowany.

Ktoś włączył grającą szafę. Spojrzeliśmy wokół, jakby zdziwieni, że oprócz nas nadal
jeszcze coś istnieje.

— Może pójdziemy — poprosiła So. — Nie mogę patrzeć, jak oni się bawią.

Wstaliśmy od stolika i So poszła do drzwi, a ja zapłaciłem za wino.

— No i co? — zapytał Jack z nadzieją w głosie. — Zostajesz?

Pokręciłem przecząco głową.

— Nie, ale wpadnę tu jeszcze kiedyś do ciebie. Cześć.

— Cześć...

Wyszedłem na ulicę. Deszcz tymczasem przestał padać, powietrze było chłodne i rze-
skie, nasycone wilgocią. Przechodnie omijali utworzone na chodniku kałuże.

Sylwetka So majaczyła w ciemności o kilka metrów przede mną. Dogoniłem ją i obją-
łem. Zatrzymała się i obróciła do mnie. Nasze usta spotkały się nagle, by rozłączyć się w
chwili, gdy brakowało nam tchu.

— Dzisiaj zostaniesz jeszcze ze mną?

— Tak.

To była okropna noc dla nas obojga. Kochaliśmy się tak, jakby wraz z dźwiękiem bu-
dzika miał nastąpić koniec świata. Mocno, zaborczo, zachłannie, nienawidząc się za to wzajemnie.

Rano wyszedłem, gdy jeszcze spała.

PROJEKT PETERSENA

Lampka w komunikatorze Dornera zamrugła niebieskim oczkiem. Komandor wstał i
włączył aparaturę. Na ekranie ujrzał twarz Petersena.

— Dorner, słucham.

— Komandorze, mam pewien problem do omówienia. Czy mógłbym przyjść do pana?

— Proszę — powiedział Dorner i zgasił ekran.

Petersen zjawił się bardzo szybko. Widać było, że się śpieszył.

— Słucham, o co chodzi? — spytał dowódca, gdy już usiedli.

— Wciąż o to samo — westchnął fizyk. — O Ranka, o Psimę i cały ten galimatias.

— Słucham.

— Komandorze, nie będę pana nudził naukowymi wywodami, powiem krótko: nasz zespół jest w stanie opracować projekt urządzenia, za pomocą którego moglibyśmy ujrzeć owo miasto Ranka. Oczywiście pod warunkiem — zastrzegł się Petersen — że nasza uprzednia hipoteza o czasowym przesunięciu tego obiektu jest prawdziwa, a na to wygląda. Żadne z badań nie obaliło tej teorii. Wręcz przeciwnie, mamy coraz więcej dowodów na jej prawdziwość. Jak więc powiedziałem, możemy zbudować coś w rodzaju chronoteleskopu elektronicznego, z jego pomocą można by nawet odnaleźć Ranka i mieć go na podglądzie. Niemożliwy byłby natomiast kontakt z nim. Skończyłem.

— Nie wiedziałem, że są takie szanse. Dlaczego mi pan wcześniej o tym nie powiedział?

— Musieliśmy wykonać kilka badań sprawdzających, nie chcieliśmy bowiem łudzić się niepotrzebnie. Teoretyczne podstawy podobnego urządzenia istnieją już od dawna, niestety realizacja tego projektu wciąż napotykała trudności. Podstawową przeszkodą był fakt, iż urządzenie takie było zupełnie zbyteczne, gdyż teraz dopiero po raz pierwszy człowiek spotkał się z podobnym zjawiskiem. Dalej już chyba nie potrzeba wyjaśniać.

— Tak, to jasne. Takiego urządzenia nie byłoby nawet gdzie sprawdzić.

— Właśnie.

— Czego więc pan oczekuje ode mnie?

Petersen zawahał się.

— Wstrzymania lądowania.

— To jest niemożliwe, lądujemy za trzy dni. Zna pan przecież wynik ostatniego głosowania?

— Znam. Ale wiem również, że ma pan prawo zawiesić na kołku wszystkie nasze swobody demokratyczne i podjąć dowolną decyzję, jeśli uzna pan ją za odpowiadającą interesom ekspedycji.

— Jednakże muszę wtedy podać podstawy, na jakich się oparłem.

— Właśnie przyszedłem je panu przedstawić.

— Więc słucham.

— Lądowanie należy odłożyć na dalsze dwa miesiące. Tyle czasu potrwa budowa chronoteleskopu, przy zaangażowaniu wszystkich sił ludzkich i technicznych „Strzelca”. Moje postulaty są następujące: Nawet gdybyśmy przesiali wszystkie pustynie Psimy i przewiercili ją na wylot, Ranka nie zobaczymy ani nie odnajdziemy. A lądować, gdy nadal nie wiemy, czy nam coś nie grozi, nie możemy, o tym zaś, czy jest tak istotnie, przekonać się możemy tylko za pomocą chronoteleskopu. Wtedy podejmiemy ostateczną decyzję. Osobiście uważam, że powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, zebrać maksimum wiadomości o Psimie, zanim wylądujemy. Przystępujemy do nie znanej nam gry, a stawka w niej jest bardzo wysoka... Niewykorzystanie wszystkich szans może być równoznaczne z samobójstwem.

— A jeżeli niczego się nie dowiemy?

— Wtedy pierwszy będę głosował za lądowaniem, uważając, że zrobiliśmy wszystko, co w tej sytuacji było możliwe.

— Pana koledzy nie darują nam tego.

— Możliwe, złożę więc życie na ołtarzu nauki. I to tu, na „Strzelcu”, a nie na Psimie — uśmiechnął się Petersen.

— Dobrze — zdecydował Dorner — zgadzam się z panem, że lądowanie należy odłożyć. Sam bym to zrobił, brakowało mi tylko pretekstu, bo w głębi duszy czuję jak pan, że być może kładziemy głowy w paszczę lwa. Zwołam naradę, pan przedstawi to, co mi teraz powiedział, a potem przeprowadzimy kolejne głosowanie. Jeśli pan przegra, wtedy ja uchylę wynik głosowania i wprowadzimy stan wyjątkowy — mrugnął szelmowsko. — A jeśli pan wygra, to

zachowam pozory demokratycznych rządów i nie będą tak bardzo na mnie psioczyć. A więc jutro o szesnastej. Musi się pan nastawić na odparcie ataku, przecież oni wszyscy są już jedną nogą na Psimie.

Na wychodzącego od Dornera fizyka czatował cały jego zespół z Jol na czele.

— No i co, zgodził się?

Petersen nie odpowiedział. Ruszył korytarzem, a oni poszli za nim bez słowa.

Nagle fizyk odwrócił się i stanął. Zatrzymali się tak samo nagle jak on.

— Jutro narada. Potem głosowanie. Jeśli przegramy, Dorner przejmie władzę i unieważni wynik. Przynękał to. On sam również nie chce lądować, ugiął się tylko pod naciskiem załogi... Jutro będą nas ostro atakować — przestrzegał — musimy ich przekonać, że mamy rację; nasz projekt musi być gotowy, choćby i niezbyt dokładny, nie będą przecież sprawdzać, na to trzeba kilku dni. A my mamy dwadzieścia godzin. A więc do roboty!

Przez całą noc Sekcja Fizyków pracowała wyrываяc ze snu w środku nocy potrzebnych jej pomocników. Najwięcej kręciło się między nimi zaspanych, więc bardzo złych, matematyków. Inni specjaliści opędzali się odpowiedziami przez komunikatory. Byli tak nieprzytomni, że żadnemu z nich nie przyszło do głowy pytać, do czego Petersenowi są potrzebne te wiadomości. Gdyby wiedzieli, to żaden nie powiedziałby ani słowa.

Przed obiadem wszystko było zapięte na ostatni guzik.

Gdy Dorner ogłosił naradę „w sprawie lądowania”, na „Strzelcu” zawrzało. Domyślili się, że to znów chodzi o przesunięcie terminu. Większość była zdecydowana lądować i oni też stawili się najwcześniej. Ostatni wszedł Dorner z Petersenem. Komandor popatrzył na zgromadzonych. Ze wszystkich twarzy wyczytał, że są przeciwko niemu. Westchnął i usiadł na swoim miejscu.

— Głos oddaję panu Petersenowi — powiedział niedbale, jakby chodziło o rzecz małą i nieważną. Zaraz też opuścił wzrok i przez cały czas wywodów fizyka sprawiał wrażenie, iż go nie słucha.

Gdy Główny Fizyk skończył, rozpętała się burza; najmocniej atakowali go ci spośród załogi, którzy, nie wiedząc o tym wcale, dostarczyli mu w nocy potrzebnych informacji do opracowania projektu chronoteleskopu, i dopiero teraz zorientowali się, jak Petersen te wiadomości spożytkował. Wielu czuło, że słuszność leży po stronie opozycji, a mimo to chcieli lądować.

Nagle Dorner podniósł głowę.

— Dość — powiedział twardo. — Musicie sobie wszyscy zdawać sprawę z tego, że przychyliam się do wniosku fizyków; Petersen przekonał mnie, tak jak i nielicznych, niestety, spośród was. Miałem teraz zarządzić głosowanie, ale i tak widzę, że większość jest nadal za lądowaniem... — zaczerpnął oddechu. — W takim więc razie, na mocy § 32 Kodeksu Kosmicznego znoszę parlamentarne podejmowanie decyzji na „Strzelcu” i przejmuję, aż do odwołania, pełnię władzy.

W sali zrobiło się tak cicho, iż zdawać się mogło, że ludzie przestali nawet oddychać. Tylko nieliczni znali podobne wypadki z doświadczenia, większość spotkała się z taką decyzją dowódcy po raz pierwszy.

Dorner mówił dalej:

— By nikt na własną rękę nie podjął kroków sprzecznych z moimi, decyduję, co następuje. Wstęp do sterowni mają trzy osoby: ja, nawigator Blash i pilot Garth. Sterownia jak i luki wyrzutni raket będą strzeżone przez odpowiednio zaprogramowane automaty. Ogłaszam więc stan wyjątkowy! Każdy może zgłosić swój protest, który zostanie zapisany i rozpatrzony przez Najwyższą Izbę Kosmiczną na Ziemi, żeby mnie potem ukarać. Jednocześnie podporządkowuję działalność wszystkim Głównemu Fizykowi. On też dalej poprowadzi naradę, przedstawiając swoje wymagania.

Komandor umilkł. Na sali podniósł się gwar rozmów. Wszyscy komentowali wypo-

wiedź Dornera i było jasne, że większość jest w opozycji. Ale też i wypadek skorzystania z § 32 nie należał do częstych. Nawet Lavue, który latał najdłużej, spotkał się z tym po raz trzeci.

Petersen wstał. Wzrok wszystkich zgromadzonych skoncentrował się na jego osobie. Niestety, nie były to spojrzenia przyjazne.

— Koledzy — zaczął niezręcznie fizyk i odchrząknął zażenowany pod kpiącym wzrokiem najbliższych — zdaję sobie sprawę z tego, iż we mnie upatrujecie bezpośrednią przyczynę zaistniałej sytuacji, a nie chcecie czy też nie możecie zrozumieć, że lądowanie w chwili, gdy wiemy, iż Psima jest siedliskiem potężnej cywilizacji, której zamiarów nie znamy nadal, grozi nam niebezpieczeństwem. Wiedzieć, że możemy jeszcze coś uczynić, żeby poznać choć w minimalnym stopniu tajemnicę Psimy i nie zrobić tego, to już nie głupota, ale zbrodnia. Nie będę jednak dalej rozwijał tego tematu — dodał śpiesznie, widząc, że wielu przygotowuje się, by mu przerwać. — Kto tej elementarnej sprawy nie zrozumiał sam, już jej nie pojmie, choćbym płuca wypluł — nie mógł się powstrzymać od drobnej złośliwości.

— Za daleko się pan posuwa, kolego Petersen — powiedział van Goyt, nukleonik i zagorzały zwolennik lądowania. — Nie pan jeden na „Strzelcu” ma mózg.

— Tak, ale wydaje mi się, że tylko ja robię z niego należyty użytek!

— Panowie, zachowajcie spokój — wtrącił się Dorner widząc, że zanosi się na sprzeczkę. — A pan niech się trzyma tematu — zwrócił uwagę Petersenowi.

— Właśnie to robię. Chciałem mianowicie powiedzieć, że przyjmując na siebie rolę wroga publicznego rozumiem stanowisko innych kolegów i ich szlachetną niecierpliwość badaczy. Dlatego proponuję, żeby swoim czynnym udziałem i wkładem w nasz projekt maksymalnie skrócili czas jego realizacji. W ten sposób sami przybliżą chwilę lądowania, oddając jednocześnie przysługę nie mnie, jak może sądzić, ale fizyce jako nauce. Nasze działanie ma charakter pionierski, będzie to bowiem pierwszy chronoteleskop zbudowany przez człowieka — tu Petersen trafił bez pudła. Wielu jego najzagorzalszych przeciwników wyraziło teraz chęć uczestniczenia w tworzeniu urządzenia; nawet van Goyt, który dla nauki był gotów ścierpieć wiele, w tym i zwierzchnictwo Petersena.

Petersen mówił jednak dalej:

— Mamy opracowany plan działania, z którym zapoznamy wszystkich zainteresowanych po naradzie. Na razie chciałem prosić, by wszystkie sekcje ograniczyły do niezbędnych swoje prace, nawet te, które są prowadzone na powierzchni Psimy przy pomocy automatów. Nie postuluję zupełnego przerwania tych prac, ponieważ wyniki ich są może równie ważne i też prowadzą do rozwiązania zagadki. Chciałbym jednak, by jak najwięcej specjalistów z różnych dziedzin współpracowało z nami. Teraz ogłaszam półgodzinną przerwę, w czasie której proszę kierowników zainteresowanych sekcji o przedstawienie możliwości współdziałania. Informacje te zbierze Jol. Pozostali są wolni. Proszę jeszcze, żeby pozostał tu szef Sekcji Technicznej, jego pomoc będzie nam bardzo potrzebna przy realizacji przedsięwzięcia.

Na sali zaczął się rumor, ludzie wstawali z miejsc, jedni ostentacyjnie wychodzili dając się ponieść emocjom, inni zostawali, jeszcze inni byli niezdecydowani i pytali się nawzajem, co im wypada robić. Dorner zrozumiał, że jego rola już się skończyła i że teraz zacznie się robocza narada naukowców, na której jego obecność jest najzupełniej zbędna, wstał i wyszedł. Ludzie rozstępowali się przed nim, zaimponował dzisiaj wielu członkom załogi swoim zdecydowaniem, z jakim powołał się na § 32. Mogli być innego zdania, ale szanowali go.

Petersen dogonił go już prawie w windzie.

— Dziękuję, komandorze.

— Nie zrobiłem tego dla pana, mam jednak nadzieję, że obaj mieliśmy rację.

Drzwi szybu zasunęły się i kabina uniosła dowódcę do sterowni. Petersen postać jeszcze chwilę, jakby nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić, aż wreszcie zawrócił i wolnym krokiem powlókł się w stronę Okrągłej Sali. Wiedział, że obaj, i on, i Dorner, spotkają się z

wyraźną dezaprobatą, jeśli ich projekt się nie uda lub jeśli nic, poza sukcesem naukowym, z niego nie wyniknie.

Jako to będzie — pomyślał fizyk — w końcu bez ryzyka nie ma postępu.

Wrócił na salę. Wszystko już było prawie gotowe, grupki tych, którzy zadeklarowali swą pomoc, stały w przejściach. Toczyły się ożywione spory. Petersena zaczął Lavue. Był znowu w swoim białym kitlu, który mu dodawał lat i powagi.

— Słuchaj, Oswald, nie wiem, czy się wam na coś przydam, ale chciałbym dołączyć do zespołu.

Fizyk popatrzył na doktora, usiłując dociec, co go do tego kroku skłoniło. Od lat byli po imieniu, ale nigdy jakoś się nie zaprzyjaźnili — może różnica wieku była między nimi zbyt duża, choć przecież i Petersen nie był młodzieńcem.

— Zastanawiasz się dlaczego? — zapytał z ironicznym uśmiechem Lavue. Lubił zaskakiwać ludzi tym, iż wie, o czym myślą. — Otóż czuję się w pewnej mierze odpowiedzialny za los Ranka. Ja go przecież popchnąłem do tego kroku, który zrobił. Nie jest co prawda powiedziane, że sam postąpiłby inaczej, ale chciałbym przynajmniej wiedzieć, co się dzieje.

— Dobrze — powiedział Petersen, któremu nagle coś zaświtało w głowie. — Twoja rola może być nawet większa, niż przypuszczasz.

Doktor odszedł. Petersen, który do telepatycznego kierowania chronoteleskopem przeznaczył najpierw Jol, zmienił teraz zdanie. Lavue będzie się do tego celu lepiej nadawał.

— Kolego Petersen — wpadł na niego van Goyt ze Stolpem — może byśmy nasze zebranie rozpoczęli podsumowaniem wyników dotychczasowych prac? Do tej pory udawało się nam tego uniknąć, odkładając to na po lądowaniu, ale w tej sytuacji mogłoby być nawet pożyteczne poznanie prac innych specjalistów.

Petersen zastanowił się.

— Nie jesteśmy wszyscy. Z kilku sekcji, choćby chemików, nie został nikt. A ich wyniki są najciekawsze.

— To nic, zrobimy takie podsumowanie na nasz wyłączny użytek, a Stolp (zawsze mówił o swoim przyjacielu po nazwisku) może nam zreferować, nad czym pracują w SCh. Współpracuje z nimi.

— Dobrze.

Zajęli miejsca. Petersen, który siłą rzeczy został wyniesiony do godności przewodniczącego, przedstawił propozycję van Goyta. Wszyscy ją poparli i podsumowanie rozpoczął Stolp przedstawiając osiągnięcia dwu sekcji: Chemików i Nukleoników.

— Badania Sekcji Chemicznej — rozpoczął Stolp — skoncentrowały się przede wszystkim na badaniu tajemniczej substancji otrzymanej z wierceń w skorupie Psimy, którą roboczo nazwano psychopolimerem, ze względu na właściwości, jakie wykazuje. Badano więc właściwości chemiczne oraz budowę, jak i właściwości psi. Rezultaty, jakie osiągnięto w wyniku przeprowadzonych badań, nie są jednoznaczne. Przede wszystkim nadal nie ma pewności co do pochodzenia tej materii. Teoretycznie mogła ona powstać samorzutnie, jednakże w warunkach, jakich obecnie nie spotkamy w całym układzie Hershella. Być może, iż dawniej warunki takie panowały. Jednak skąpe jeszcze dane planetologiczne, którymi dysponujemy, nie pozwalają stwierdzić, czy tak jest istotnie. Nasz psychopolimer ma bardzo skomplikowaną, dwuwarstwową budowę: pierwsza warstwa to tworzywo atomowe, a gdy głębiej wejdziemy w jego strukturę, ujawnia się sieć wiązań podstawowych, w których pomiędzy pojedynczymi układami neutronowymi następuje podprzestrzenne przekazywanie energii. Sieć ta, nietrwała i w związku z tym stabilizowana przez „warstwę wierzchnią”, tę atomową, przez stopień swej komplikacji może stanowić odpowiednik układu nerwowego człowieka, choć przewyższa go nawet pod tym względem. Jeżeli przyjąć teorię Kesoko, mielibyśmy więc do czynienia z myślącą materią nieorganiczną. Analogia jest następująca: pierwsza warstwa to odpowiednik ciała, spełnia funkcję ochronną, dostarcza energii, stabilizuje warstwę wewnę-

trzną — układ nerwowy, będący jednocześnie gigantycznym mózgiem, i to mózgiem krystalicznym, wszak nasz psychopolimer ma wiele właściwości kryształu. W myśl więc jednych teorii owa materia byłaby jedynym mieszkańcem Psimy, odpowiedzialnym za wszystko, co się na niej dzieje. Trudno mówić wtedy o cywilizacji. Z punktu widzenia dotychczasowych danych, teoria ta jest nie do obalenia, jak zresztą i druga, widząca w psychopolimerze nic innego, jak olbrzymi mózg krystaliczny, o możliwościach, o jakich nam, ludziom, w ogóle się nie śniło, a samych Psimian musimy wtedy jeszcze długo szukać. Rozważana była i taka możliwość, że na skutek stygnięcia gwiazdy Psimianie wyemigrowali z układu Hershella, pozostawiając swoją myślącą planetę jej własnemu losowi. Ponieważ polimer czerpie energię ze słońca i z gorącego jeszcze wnętrza planety, może jeszcze jakiś czas egzystować, aż powoli zginie. Mówię tak, bo choć w naszym pojęciu nie jest on „żywy”, to winne temu jest nasze ograniczone pojęcie życia. Wszak twór posiadający psychikę musimy uznać za żywy, pojęcie psychonekrosfery jest tu nie najważniejsze. Bez względu na to, czy mamy do czynienia z mieszkańcem planety, czy z gigantycznym mózgiem i wzmacniaczem woli nie znanych nam Psimian, jedno jest pewne, iż jest to cywilizacja bardzo różna i dużo starsza od naszej. — Stolp skończył i usiadł.

Petersen rozejrzył się po sali.

— Może teraz ktoś z planetologów — zaproponował.

Arp, szczerzy, nerwowy naukowiec, zaczął opowiadać o przeszłości planety, wyłamując sobie co chwila palce.

— O Psimie mamy prawie pełne dane, mimo że tam nie lądowaliśmy. Zawdzięczać to należy samej planecie, jej przeszłość jest tak nieciekawa i mało urozmaicona, że zamyka się w kilku zdaniach... Psima od początku swego istnienia wyglądała tak jak obecnie. Nie miała nigdy mórz ani lodowców. Jedynymi zmianami, jakie zachodziły na jej powierzchni, były wietrzenia, erozja i burze piaskowe. Jedyna klęska, jaka jej była pisana od narodzin — to stygnięcie słońca. Nigdy nie wykształciło się na niej życie w naszym, ziemskim tego słowa znaczeniu. Jest planetą wręcz sterylną, nie ma bakterii, roślin, wirusów, no, dosłownie nic. Nie istniała tu nigdy cywilizacja podobna do naszej. Nawet nie było jej „przejazdem”, inaczej pozostałyby jakieś trwałe ślady. Natomiast inne cywilizacje, ahumanoidalne, mogły ją zamieszkiwać, na ten temat nie potrafię powiedzieć nic pewnego. Jedynym interesującym zjawiskiem na Psimie jest występowanie owego psychopolimeru. Osobiście jestem przekonany, że powstał on sztucznie, choć dowód na to jest natury pośredniej; otóż twierdzę, iż nigdy na Psimie nie istniały warunki sprzyjające samoistnemu powstaniu tej substancji. Charakter jej powstania nie wyklucza możliwości, by była ona jedynym rozumnym mieszkańcem tej planety, jednak wówczas zagadka Psimy komplikuje się jeszcze bardziej. Gdzie są twórcy tej dziwnej, „jednoosobowej” cywilizacji? Na te i inne pytania niestety nikt nie zna jeszcze odpowiedzi. Co do czasowego fenomenu na Morzu Cudów, najwięcej mają tutaj do powiedzenia fizycy i swoje teorie już nam przedstawiali. Ja mogę tylko dodać, że wysłane tam przez nas automaty utknęły. Łączność z nimi została przerwana; nie wykonują nawet uprzednio zaprogramowanych czynności.

Ostatnie słowa Arpa wywołały poruszenie, nie wszyscy wiedzieli o stracie automatów, o tym, że obcy intelekt zawładnął naszymi narzędziami. To było groźne — podjęte przez Dornera środki ukazały się teraz ludziom w innym świetle.

— Nie wpadajmy z jednej skrajności w drugą — mitygował Lavue tych, którzy zaczęli się domagać uzbrojenia automatów — wszak oprócz zatrzymania, a nie zniszczenia naszych, robotów Psima nie wyrządziła nam nic złego. Widocznie badania w interesującym nas rejonie są zakazane — uśmiechnął się kpiąco. — Natomiast nie mamy również dowodów na to, że cokolwiek złego uczyniono Rankowi. Dopóki nie zdobędziemy bezdyskusyjnych „dowodów winy” psychopolimeru, nie ma co nawoływać do krucjaty.

— Racja — poparł go Charier, bionik — tym bardziej, że nie powinniśmy się rozpra-

szać. To są sprawy, o których zadecyduje Dorner osobiście. My mamy co innego na głowie. Może więc w końcu kolega Petersen zapozna nas szczegółowo ze swoim planem.

Fizyk uśmiechnął się z zakłopotaniem i wymienił porozumiewawcze spojrzenia z członkami swojego zespołu.

— Muszę się panom przyznać do pewnej mistyfikacji — powiedział. — Otóż nie dysponujemy takim planem. — Zanim zdumieni naukowcy zdążyli zadać mu jakieś pytania, mówił dalej: — Mieliliśmy zbyt mało czasu na to, ponieważ do ostatniej chwili sprawdzaliśmy, czy nasza hipoteza jest w miarę prawdopodobna. Opracowanie planu w wypadku pozytywnych wyników było mniej ważne. Przede wszystkim chcieliśmy mieć pewność, że budowa chronoteleskopu jest w ogóle możliwa.

— No a projekt, który pan nam pokazywał?

— Jest niedokładny. Przygotowaliśmy go tylko po to, by przekonać panów i dowódcę. W tym więc aspekcie spełnił swoją rolę, bo się nam to udało. Tym większe teraz pole do popisu dla nas wszystkich. Zapraszam więc do Sekcji Fizyków — zakończył Petersen i wstał.

Zdumieni jego bezczelnością naukowcy poszli za nim.

PODRÓŻ

Wychodząc z mieszkania So, które przez ponad miesiąc było moim domem, nie czułem żadnych rozterek duchowych, żadnych wahań. Byłem tym zdziwiony do tego stopnia, że jeszcze kilka razy podczas dnia wracałem w swych wewnętrznych rozważaniach do tego faktu. Wbrew temu, co, jak mi się wydaje, powinienem przeżywać — choćby żal, bo przecież kochałem So — czułem się lekko i rześko. Pozbawiony wszelkich niepokojów, wręcz wysterylizowany duchowo, podążałem przed siebie. Jedno, co odczuwałem, to zdziwienie, iż tak lekko traktuję rozstanie, które dla So było ogromnym przeżyciem. W tym właśnie momencie pomyślałem po raz któryś, że nie jestem panem swojej woli, że moje postępowanie i decyzje są, chociażby częściowo, sterowane. Nie były one podejmowane za mnie, nie, ale stymulowane rozwojem wypadków, których właśnie w pełni nie kontrolowałem. Takie założenie tłumaczyłoby doskonale, dlaczego tak gwałtownie przebudziłem się ze swojego czarodziejskiego snu i wzięwszy torbę na plecy niczym derwisz, ruszyłem na poszukiwanie prawdy.

Pomyślałem też, że poprzedni okres, który teraz w pamięci zlewał się jakby w jeden dzień, zawierał tak mało znaczących faktów. Żyłem beztrosko i trochę bezmyślnie, zakazując sam sobie jakiegokolwiek rozumowania, by mnie, broń Boże, za daleko nie zaprowadziło.

To jasne, że dni przeżyte w Kaura Nameda były zaskakujące — wszak nie co dzień można być przeniesionym do krainy sprzed kilku stuleci — ale właśnie ów fakt był tak niezwykły, że przyćmił sobą wszelkie pozostałe. A gdy i on mi spowszedniał, bo się do niego przyzwyczaiłem, te inne, drobne zdarzenia codzienności wręcz zszarzały, zapadły w niepamięć, i choć stały tam murem, gotowe bym je przywołał, nie budziły we mnie żywszych odczuć. Wszak nie mogłem bez przerwy myśleć, że chodzę po nie istniejącym mieście, że wszystko, co czuję i postrzegam swoimi zmysłami, to złuda, tym się od innych różniąc, że doskonała. Takie rozumowanie bardzo szybko doprowadziłoby mnie do zniechęcenia, a stąd do zupełnej bezczynności. Znałem siebie dość dobrze, by wiedzieć, że tak właśnie zareaguję. I tu przyszła mi z pomocą ciekawość. Nie wnikać, czy sam już do jej rozbudzenia dojrzałem, bo że spała, tego byłem pewien — czy też dano mi ją, żebym się uaktywnił, żebym się wyrwał z kręgu bezmyślnego trwania. Coś się we mnie działo, jakieś przewartościowanie; myślałem nawet inaczej, głębiej, dostrzegając nie tylko siebie, lecz i innych. Ale daleko mi było do współczucia dla nich, mieszkańców Kaura Nameda, miasta, które powstało dla mnie. Ci ludzie (myślałem o nich jak o ludziach, bo jakże inaczej?) zapełniali miasto zrodzone z mojej (i kilku

moich towarzyszy wyobraźni i zachowywali się tak, jakby żyli w nim od lat. Używali określeń: dwadzieścia lat temu, albo: w przyszłym roku wybieram się na urlop na wyspy, a przecież wiedziałem, że miasto to ma historię tak krótką, jak moje w nim przebywanie, i czułem (bo po cóż miałyby istnieć dłużej?), że zniknie, gdy je opuszczę.

Dziwna sprawa, ale cały czas żywiłem niezachwianą pewnością, że opuszczę Nemedę, że nie będę tu trwał wiecznie, choć to miasto żyło ze mnie, żerowało jak czerw na mojej wyobraźni, na wiedzy i pamięci innych ludzi i ich komputerów. Wszak to my, załoga „Strzelca”, dostarczyliśmy wzorów i planów, a o budulec i sposób wykonania zatroszczył się już ktoś inny, kto tę receptę, bez naszej wiedzy i zgody, z nas wyciągnął.

Wierzyłem więc, że moim przeznaczeniem jest poznać prawdę, wierzyłem, że m i a s t o nie powstało ot tak sobie, bym stał się jego igraszką. Zbyt okrutne by było, żeby z całej tej tak dokładnie przygotowanej akcji nie wynikło nic, żeby nie miała ona żadnego celu, żeby tam, gdzie się dopatrywałem znaków ważnych i tajemnych, była tylko gra sił, zabawa niewinna, która nie mnie, lecz jej twórców miała rozweselić. Nie dopuszczałem więc tej myśli do siebie, bo bałem się, że ogarnie mnie zwątpienie, a wraz z nim zabraknie woli walki i działania. Przestałby istnieć cel, do którego dążyłem, nie znając go, lecz wiedząc, że jest, bo jakże inaczej?

Całe więc moje działanie opierało się na wierze, na przekonaniu wręcz mistycznym, transcendentnym, przenikającym dalej, niżbym to mógł uczynić rozumem. A rozum nieprzydatny mi był w tej chwili, tyle miałem z niego korzyści, że się podobnymi roztrząsaniem zajmował, drepcząc w kółko, czy raczej po elipsie, bo się raz do rozwiązania zbliżałem, żeby się za chwilę oddalić jak od ognisk krzywej. I to mi się wydawało bardziej prawdopodobne, ponieważ wszystkie planety po elipsach krążą, jest więc to krzywa, którą Uniwersum ukochało. Tu przyłapałem się na tym, że już zbyt daleko, zbyt kwieciście zacząłem myśleć, lecz nie mogłem przestać; upajałem się własną elokwencją, było mi dobrze i lekko, choć dziwnie. Zaskoczony byłem, ale i przyjemnie zdziwiony, bo się nigdy o taką głębię, takie bogactwo ducha nie podejrzewałem. W takim stanie już się znajdowałem, że wszystkich swoich myśli nie kontrolowałem, ale w którymś momencie spostrzegłem niebezpieczeństwo i zacząłem je kierować na jeden tor, którym była moja przyszłość. Wykorzystać chciałem to moje duchowe bogactwo, to jasnowidzenie wręcz, żeby dalej pokierować sobą. Tu jednak coś się we mnie załamało, jakbym się porwał na Niezmierzone, na przeciwnika, któremu dość mrugnąć, by mnie zmieść z powierzchni ziemi. Pomyślałem, że za wiele chciałem i zrobiło mi się żal, bo zrozumiałem, że to nie ja sam tak myślałem lekko i potoczyście, że nie moje to były myśli zachwycające, a teraz ten styl rozumowania został mi odebrany. Nic na to nie mogłem poradzić, choć chciałem w sobie wykrzesać ów dziwny zapał, który jeszcze przed chwilą mnie wypełniał. Tym boleśniej uprzytomniłem sobie, że byłem sterowany, i że teraz przekreślono pokręło w przeciwną stronę, na zero. Już zostały mi tylko własne myśli, mniej rozkołysane, ale za to nadające się do zanalizowania tego, czego doznałem. Pamięć tych przeżyć miałem zachowaną i rozumiałem, że tak być miało, choć nie wiedziałem dlaczego. Żal już mnie powoli opuścił i zacząłem się cieszyć z tego, co mnie spotkało.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na to, gdzie się znajduję; zajęty do tej pory własnymi myślami, sądziłem, że błędę po mieście bez celu. Wychodząc z mieszkania nie miałem żadnych konkretnych planów. A teraz byłem na dworcu. Zastanowiłem się, co tu chciałem robić. Stałem przed kasami, jakbym się nie mógł zdecydować, dokąd jechać, tymczasem w ogóle nie miałem zamiaru opuszczać miasta. Wychodząc od So, zabrałem tylko te rzeczy, które wyjąłem z szafki na lotnisku pierwszego dnia. Nawet ubrałem się tak samo, jakby wierząc, iż jest to fakt znaczący. Ze swoją torbą na ramieniu wyglądałem jak statystyczny podróżny. Nagle przypomniałem sobie, po co tu przyszedłem. Przecież So opowiadała mi wczoraj...

— Pociąg do Filadelfii odjedzie z toru przy peronie ósmym — chrypnął nagle nade mną głośnik, aż drgnąłem.

Zdecydowałem się w jednej chwili. Podskoczyłem do okienka i kupiłem bilet, a potem pognałem tunelem do pociągu.

Nie wiedziałem, jak daleko może być na Psimie z Nemedą do Filadelfii, miałem jednak nadzieję, iż nie będę włókł się tym składem aż na Ziemię!

Zdażyłem w ostatniej chwili. Dopadłem wagonu i pociąg ruszył. Nie śpiesząc się szedłem korytarzem, szukając przedziału, który by mi odpowiadał. Nie kierowałem się przy tym niczym konkretnym, po prostu poczułem w pewnym momencie, że w tym, a nie innym będzie mi dobrze, i wszedłem.

W przedziale znajdowały się tylko trzy osoby: mężczyzna nieco starszy ode mnie, pani w średnim wieku z tak zwanymi pretensjami oraz jej dorastający syn. Chłopiec miał wyraźnie nieprzyjemny wyraz twarzy, co nie przeszkadzało, że matka patrzyła w niego jak w obrazek.

— Wolne? — zapytałem i nie czekając na odpowiedź ulokowałem się na ławce. Torbę rzuciłem pod nogi.

Rozejrzałem się. Zauważyłem, że moi współtowarzysze przyglądają mi się z ledwo skrywaną ciekawością, a synalek otworzył nawet usta ze zdziwienia. Mój wzrost i sylwetka zrobiły na nich wrażenie.

— Popatrz, Dick, gdybyś słuchał matki i jadł oraz ćwiczył, wyglądałbyś jak ten pan — zaszczebiotała dama. — I, oczywiście, gdybyś nie kopał tych wstrętnych papierosów. Pan nie pali, prawda? — zapytała mnie wprost z uśmiechem, w którym się czaił zamach na moją wolność.

Młodzian patrzył teraz na mnie z wyraźną ironią. Zaswędziała mnie ręka, by go trzepnąć.

— Nie, nie palę — żałowałem już, że wybrałem właśnie ten przedział.

Ironia na twarzy chłopaka zmieniła się w jawną pogardę.

— No widzisz! — triumfowała matka. — A nie mówiłam?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Synalek musiał słyszeć je setki razy, ja i mój milczący do tej pory towarzysz sądziliśmy, że do nas się ono nie odnosi. Byliśmy jednak w błędzie.

— Prawda, że mówiłam? — zwróciła się do mężczyzny.

Ten spojrział na nią, jakby ją pierwszy raz widział.

— Tak... — zawahał się. — A co pani mówiła?

— No, jakże! — oburzyła się dama. — Mówiłam, że nie należy palić, bo to szkodzi zdrowiu. Zwłaszcza młodemu organizmowi — dodała tak stanowczo, że nie ośmieliłem się odezwać.

Mężczyzna również nic nie odpowiedział, ale chcąc ją widocznie zdenerwować, wyjął papierosy i poczęstował chłopaka.

— Zapali pan, młodzieńcze?

Dick wziął papierosa i zapalili obaj.

— No wie pan! — oburzyła się matka. — Przecież to jeszcze dziecko. Zgaś natychmiast! — zwróciła się do syna.

Jednak pod kąpiącym wzrokiem mężczyzny Dick dopalił mężnie do końca.

— Mamo...

— Nie odzywaj się do mnie, szkaradny chłopaku!

— Mamo, zaraz będzie tunel.

— Tunel? — dama zapomniała o zniewadze wyrządzonej jej przez syna. — Już?

— Tak, minęło piętnaście minut.

Matka zakrzętała się nerwowo, jakby spodziewała się jakiegoś kataklizmu.

— Nie lubię ciemności, boję się — wyjaśniła, widząc, że się jej przyglądam.

Mój towarzysz ziewnął i oparł się wygodniej, sposobiąc się do drzemki.

— Długi ten tunel?

— Pan nie wie? — zdziwiła się.

— Nie, pierwszy raz jadę tą trasą — to była prawda.

— No jakże, przecież na każdej trasie jest tunel. Aż do końca...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, bo pociąg ogarnęła ciemność tak nieprzenikniona i gęsta, jakbyśmy zanurzyli się z całym pociągiem w morzu sadzy.

— Aż do końca — powtórzyłem jej ostatnie słowa. Przecież to niemożliwe, abyśmy kilka godzin jechali pod ziemią, któż przebiłby tak ogromny otwór. Coś tu nie jest w porządku, ale co, nie bardzo wiedziałem. Siedziałem w kołyszącym się przedziale i było mi coraz bardziej nieswojo. Ciemność była tak materialna i intensywna, że można ją było choćby kroić, doskonalszą od nieprzeniknionej czerni kosmosu. Tam były przecież gwiazdy, tu ciemności nie rozświetlał najlżejszy bodaj blask. Od pewnej chwili zaczęło mnie prześladować uczucie, że jestem absolutnie sam w przedziale, a może i w całym pociągu. Ostrożnie, narażając się nawet na śmieszność, wyciągnąłem rękę, by dotknąć mojego towarzysza, ale dłoń zamknęła mi się na czarnej pustce. Już śmieiej zacząłem macać wokół siebie i wszędzie czułem pustkę. Kobieta, chłopak i mężczyzna zniknęli bez śladu, jakby się rozpuścili w tej ciemności. Byłem sam. Nieoczekiwanie dla siebie zapragnąłem się położyć. Wyciągnąłem nogi i stopy oparłem tam, gdzie siedział mężczyzna. Jakoś nie liczyłem na jego powrót.

Zaraz, o czym to myśmy rozmawiali? Aha, o papierosach.

Jaka banalna rozmowa — pomyślałem — taka, jakich tysiące toczy się wszędzie, w kawiarni, na przystanku, w domu. Kilka wyświechtanych zdań i zaraz potem... znikają! Czyżby chcieli uspić moją czujność? — zacząłem stawać się podejrzliwy. Uspokoić, by tym pewniej zaskoczyć? Ale po co? To przecież nielogiczne. Nawet gdyby do mnie słowem nie przemówili, to i tak ich zniknięcie musiałyby zrobić na mnie odpowiednie wrażenie. Byłem ciekaw, czy w innych przedziałach jest tak samo, ale nie chciało mi się ruszyć. Zresztą opanowała mnie dziwna pewność, że w całym tym pociągu-widmie jadę tylko ja sam. Pewnie i maszyniści też nie było, ale bierz go czort! Tu pomyślałem, że właśnie go porwał i mimo woli roześmiałem się. Mój śmiech zabrzmiał we wszechogarniającej ciemności głucho i obco. Umilkłem.

Stan, w którym się znajdowałem przez następne kilka godzin, graniczył z zupełnym ośpieniem. Otaczająca mnie czerń działała sennie i przygnębiająco. Nie jestem nawet pewny, czy nie spałem chwilami, bo męczyły mnie jakieś koszmary, ale możliwe, iż działo się to na jawie. Warunki, w jakich się znajdowałem, były tak dziwne, że nie potrafiłem potem rozstrzygnąć, co było snem, a co nim nie było. Pod koniec tej podróży czułem się coraz bardziej rozdrażniony.

Gdybym palił — pomyślałem nagle — miałbym zapalki i mógłbym chociaż na chwilę rozjaśnić otaczające mnie ciemności. Podniosłem się nawet i powiodłem rękami po poduszkach w poszukiwaniu jakiejś zagubionej zapalki, ale nic nie znalazłem. Położyłem się zniechęcony. Wagon drgał i chwiał się na boki, wpadając od czasu do czasu w nagłe wibracje na rozjazdach, ale nie mogłem stwierdzić, czy od chwili, w której wjechaliśmy w tunel, posunąłem się choćby o cal, czy też trwam może w miejscu, na jakiejś symulującej jazdę platformie.

Właśnie chciałem wstać, by otworzyć okno i przekonać się, czy poruszamy się względem otaczającego pociąg powietrza (choć, by iluzja była pełna, mogło być ono napędzane jakimś wentylatorem niczym w tunelu aerodynamicznym — to było nawet prawdopodobne), gdy wydało mi się, że ciemność nie jest już tak gęsta jak wprzód. Gdzieś od przodu pociągu sączyła się szara poświata. Była wciąż bliżej i bliżej. Wreszcie uderzyła pełnym światłem w moje oczy, aż rażony nagłym bólem zamknąłem je szybko. Tunel się skończył. Otwierałem oczy powoli, patrząc przez rzęsy, jakby odcedzając nadmiar światła, który był szkodliwy, aż wreszcie otworzyłem je szeroko. Zdumienie moje nie miało granic.

Pociąg wjeżdżał na dworzec w Kaura Nameda. Wszystko, co widziałem wciąż okrągłymi ze strachu i podziwu oczyma, było takie jak wtedy, gdy opuściłem miasto, tylko pora roku była inna. Gdy wyjeżdżałem (łudzac się, iż do Filadelfii!), był wczesny jesienny ranek. Powietrze było chłodne, lecz przejrzyste i nasycone pierwszymi różowymi blaskami słońca.

Teraz, po spędzeniu w pociągu kilku godzin, jak sądziłem, wysiadłem w pełni zimy! Nie był to pierwszy śnieg, który nieśmiałą jeszcze i cienką warstwą pokrył świat, nie. Zwały śniegu na chodnikach, śnieg na dachach, ogromne sople, grubo okutani ludzie — wszystko to świadczyło niezbicie, że zima trwa już od kilku miesięcy.

Wjechaliśmy wreszcie na dworzec. Wysiadłem z pociągu nie zdając sobie sprawy z tego, iż wzbudzam zainteresowanie swoim lekkim strojem. Tak byłem zafascynowany zaszłą podczas mojej nieobecności przemianą, że nie zauważyłem (a raczej kątem oka spostrzegłem tylko ten fakt, nie analizując go wcale, bo nie byłem jeszcze do tego zdolny w tym stanie rozbicia, w jakim się znajdowałem), że oprócz mnie wysiadła z pociągu jeszcze jedna osoba, jak mi się wydało, mężczyzna. Widziałem go tak krótko, jakbym zobaczył jedną klatkę filmu, i zaraz zniknął mi w tłumie. W pierwszej chwili nie zwróciłem na to uwagi, lecz później zrozumiałem, że jest to rzecz najważniejsza z tych, jakie mi się dzisiaj (myślałem nadal „dzisiaj”, bo dla mnie minęło zaledwie pół dnia) przydarzyły. Jeśli wysiadł tak jak ja, jeśli nie zniknął, jeśli nie jest nikim ze „Strzelca”, to...

Sam już nie wiem, co dalej chciałem pomyśleć, bo rzuciłem się w pościg za tym człowiekiem. On wiedział. Nie przypuszczałem, by tak jak ja był tylko nic nie rozumiejącym widzem. Gdyby tak było, nic by nie stało na przeszkodzie, żebyśmy się spotkali, żebyśmy całą tę obłądną podróż odbyli razem. Ale ukazano mi go tylko na mgnienie oka, by podniecić mnie do dalszego, intensywniejszego działania. Widać nie dość się jeszcze starałem. Swoim widokiem miał mi ten człowiek więcej przekazać, niż mógł to zapewne w tej chwili powiedzieć. Moja pogoń na nic się zdała, zresztą w głębi duszy byłem przekonany, że tak się stanie. Zwolniłem więc i w końcu w ogóle biec przestałem, bo i tak zbyt dużo zamieszania robiłem wokół swojej osoby. Przerzuciłem torbę przez ramię i drżąc z zimna szedłem przed siebie, usiłując wtopić się w tłum przechodniów. Nie wiedziałem, co mam zrobić ze sobą — wyrwane z mojego życiorysu miesiące spowodowały takie zamieszanie w moich myślach, że jak łódź bez steru kręciłem się w koło.

So. Jej imię podsunęła mi pamięć, ale myśl, by wrócić, wydała mi się dziwnie nierealna i niemiła. Sam nie wiem czemu, budziła mój głęboki sprzeciw, tym większy, że nie wiedziałem, skąd się on we mnie bierze.

Tak więc moja jedyna przystań nie wchodziła w rachubę. Byłem mocno zdezorientowany, co mam teraz robić, ale poczułem zimno i to był ten bodziec, który mi przypomniał o moim mieszkaniu w Alei Nemedy. Do tej pory nie korzystałem z niego, ale teraz pognałem tam z szybkością ściganego zająca. Kiedy zdyszany już się w nim znalazłem, panujący tam chłód wydał mi się ogniem piekielnym, tak już byłem zmarznięty. Czym prędzej włączyłem ogrzewanie i zakrzętałem się gorączkowo w kuchni w poszukiwaniu najstarszych bodaj zapasów. Znalezione specjały z dumą ułożyłem na kuchennym blacie i zabrałem się do pitraszenia. W momencie, kiedy już kończyłem posiłek i zapijałem go właśnie zimnym kompotem z puszek, wydało mi się, że słyszę jakieś szmery za wejściowymi drzwiami. Otworzyłem je gwałtownie na oścież, chcąc zaskoczyć nie zapowiedzianego gościa. Jednak nikogo tam nie było. Już chciałem zamknąć mieszkanie, sądząc, że uległem złudzeniu, gdy spostrzegłem list tkwiący w skrzyneczce. Wróciłem do pokoju po klucze, które wraz z torbą cisnąłem na tapczan i, otworzywszy skrytkę z niemałym trudem, wyjąłem kopertę. Nie był od So, poznałem to od razu po charakterze pisma. Skąd zresztą mogła wiedzieć o tym mieszkaniu?

Otworzyłem list i zacząłem czytać. Najpierw spojrzałem na podpis. „Twoja Kora” — brzmiało zakończenie. Przebiegłem wzrokiem kilka drobnym pismem wypełnionych linijek.

„Dawno Cię nie widziałam, czyś zapomniał dobrze Ci znanej drogi do mnie? Wpadnij kiedyś, powspomnamy stare dzieje. Twoja Kora”.

Cześć i chwała kobietom, które potrafią krótko i treściwie się wypowiedzieć. Nie wiedziałem, kiedy odwiedzę Korę, bałem się, że nie na wiele się jej przydam jako partner do wspomnień. Człowiek tknięty całkowitą amnezją byłby dla niej lepszym rozmówcą niż ja.

W mieszkaniu robiło się coraz cieplej i ten upał rozleniwił mnie zupełnie, tak iż postanowiłem wszystko inne odłożyć do jutra, a teraz się przespać. Jak na jeden dzień, czy może miesiąc, wrażeń miałem aż nadto.

CHRONOTELESKOP

Po dwóch miesiącach wysiłków całej prawie załogi „Strzelca”, zadanie postawione przez Petersena i jego zespół zostało wykonane. Chronoteleskop, pierwsze tego typu urządzenie zbudowane przez człowieka, był gotowy. Do budowy zużyto znaczną część zapasów materiałowych statku, a jego rozruch i funkcjonowanie pochłaniało ogromne ilości energii, którą statek dysponował w stopniu ograniczonym. Dlatego, dopóki nie zbudowano oddzielnych od głównego źródła zasilania reaktorów, chronoteleskop pracował sporadycznie, kilka lub kilkanaście minut na dobę. Ale i to wystarczyło, by wszyscy się przekonali, że tajemnicze miasto istnieje naprawdę. Petersen triumfował, opozycjoniści klęli, bo przeczuwali, że upragniona przez nich chwila lądowania znów się oddala.

Zasadniczą część przyrządu, niejako jego układ optyczny, stanowiły dwa satelity stacjonarne, których osie przecinając się w centralnym punkcie Morza Cudów tworzyły ze sobą kąt sześćdziesięciu stopni. Jeden z satelitów produkował skoncentrowany strumień neutrinowy i emitował go na planetę. Neutrino przebijając barierę czasową doznawało skomplikowanych oddziaływań, odbić i odchyień od każdej rzeczy, przez którą przeszło w swej drodze poza barierą czasu. Odbita i rozproszona wiązka była wyłapywana przez drugą stację kosmiczną, znacznie większą i bardziej skomplikowaną, której zadaniem było analizowanie i przekształcanie na obrazy rzeczy, wywołujących te odkształcenia. Obrazy te zapisane i utrwalone, przesyłane były już w postaci fal elektromagnetycznych na „Strzelca”, gdzie znajdował się cały układ telepatycznego sterowania urządzeniem. W sterowni przybyło dodatkowych monitorów, wbudowano tam zewnętrzne końcówki aparatu. Fotel dowódcy został usunięty, na opróżnionym miejscu stanęło coś na kształt stalowej trumny, w niej ulokował się doktor Lavue. Myślone rozkazy, które formułował w swoim mózgu, były tłumaczone przez układ komputerowy na polecenie zrozumiałe dla wszystkich dodatkowych agregatów, które obsługiwały chronoteleskop. Układy wykonawcze sterowały już bezpośrednio na satelity, dając odpowiednie powiększenia, zbliżenia, zmieniając teren penetracji i ostrość. Chronoteleskop mógł też w razie potrzeby „śledzić” miasto, gdyby to z niewiadomych przyczyn miało się „zapadać” w głąb czasu. Pościg taki był ograniczony jedynie poprzez rezerwy energetyczne „Strzelca”, gdyż przedzieranie się w coraz głębsze warstwy czasu wymagało proporcjonalnie więcej energii. Zużycie jej rosło wówczas do sześcianu.

Wstępny rozruch odbył się w tajemnicy przed dowódcą, jeszcze w labie fizyków. Od kilku dni panowała tu nerwowa atmosfera, zbliżało się rozwiązanie zagadki, a także sytuacji statku. Niewyspani i bladzi naukowcy i technicy miotali się pomiędzy urządzeniami, potracali się wzajemnie, potykali na porozrzucanych na podłodze pojemnikach z taśmami, klękli na czym świat stoi, czekając na chwilę, gdy wreszcie któryś z podręcznych komputerów będzie wolny, by można było powtórzyć jakiś fragment obliczeń. Wszystkim się śpieszyło, wszyscy byli najważniejsi. Nikt już nie słuchał ochryplego od ciągłego krzyku Petersena, ludzie spali po kątach na zwiniętych rulonach rysunków i projektów, podkładając pod głowy plastikowe pudła taśm magnetycznych. Nikt nie wracał do swoich segmentów na noc, by nie tracić cennych minut na drogę. Budzono się po kilku godzinach, jedzono coś na stojąco, co bardziej litościwi koledzy przynieśli z jadalni lub z magazynu, i jeszcze niemal z zamkniętymi oczami ruszano do pracy. Ludzie porozumiewali się krzykiem, by pokonać jazgot rozklekotanych drukarek, które i tak pracowały zbyt wolno, jak na ich potrzeby. Jeśli jakaś potrzebna rzecz

spadła na podłogę, można było na niej postawić krzyżyk, w panującym chaosie i bałaganie nie dało się jej odszukać. Podłogę zaścielał istny kobierzec taśm, papierów, części elektronicznych, mechanicznego złomu, puszek po konserwach, kaset filmowych i taśm, podręcznych kalkulatorów, które chrupały tylko pod nogami brodzących po kostki w tej kaszy ludzi. Aż w końcu po tygodniu tych frontowych warunków nastąpił próbny rozruch chronoteleskopu, na początek z Jol w roli telepatycznego medium, ponieważ Lavue'a nie wpuszczano do sekcji od czasu, gdy w trosce o zdrowie pracujących jego zdaniem nad miarę kolegów, zorganizował nalot na czele swoich medyków i usiłował przemocą opanować sekcję. Od tej chwili pracowano przy drzwiach zamkniętych, stosując wobec powracających z zewnątrz kolegów skomplikowany system haseł.

I oto przyszło zebrać owoce wyczerpującej pracy. Jol z dziwnym hełmem na głowie zasiadła przed ekranami, reszta cisnęła się z tyłu tworząc audytorium. Tylko Petersen przechadzał się pomiędzy Jol a aparaturą, od czasu do czasu coś tam jeszcze poprawiał z oczywistym zamiarem ukrycia swojego zdenerwowania.

— Operuj prostymi rozkazami! — pouczył swoją współpracownicę. — Staraj się także o niczym innym nie myśleć, bo to dla urządzenia będą tylko zbędne szумы.

Jol nie odezwała się, skinęła jedynie głową na znak, że rozumie, że się postara. Była również zdenerwowana.

Petersen jeszcze tu i ówdzie poprawił nerwowym kopnięciem bieg kabla puszczonego po podłodze, aż w końcu nie patrząc na nikogo podszedł do pulpitu i przekreślił z determinacją kontakt.

Zahuczał prąd wlewając się w przewody, rozjaśniły się ekrany, zamigotały kontrolki na pulpicie. Jol siedziała bez ruchu, jeszcze nie nadszedł jej czas działania, ekrany lśniły dotąd bielą. Stojący obok niej fizyk posunął się ku pulpitowi i wcisnął klawisz samostrojenia. Chronoteleskop miał sam „poszukać” miasta. Znalazł. Piętnaście minut i dziesięć sekund, a więc miasto przybliżyło się nieznacznie do teraźniejszości. Fizyk ustawił tak pokrętła i zablokował je.

Na centralnym, największym ekranie naprzeciw Jol ukazało się coś, co przy dużej dozie dobrej woli można by uznać za teren zabudowany, widziany z dużej wysokości. A także za tysiąc innych rzeczy.

— Blżej! — rozkazała Jol w myśli.

Miasto zaczęło rosnać, wciąż jeszcze niewyraźne.

— Dość! — powolny najazd, porównywalny ze zbliżeniem kamery filmowej, ustał.

Zdawało się jej, że widzi domy i ulice, a także drogę, czy może rzekę...

— Wyraźniej... To znaczy: Ostrość! — poprawiła się natychmiast.

Kontury wyostrzyły się. Teraz to już na pewno było miasto. Ludzie w sali wstrzymali oddechy. A więc stało się! Petersen miał rację, Lavue miał rację, Rank, który tam był, miał ją od początku. Petersen, który wyglądał teraz jakby mu ubyło lat, z ledwo dostrzegalnymi na twarzy oznakami zmęczenia, które jeszcze niedawno żłobiły ją głębokimi zmarszczkami, podszedł do konsoli i wyłączył urządzenie. Ludzie rozglądali się po sali z takim wyrazem twarzy, jakby się dopiero obudzili ze snu. Nie wierzyli jeszcze, że wygrali. Triumfujący Petersen stanął na środku i powiedział:

— Nie będę wam dziękował, bo każdy z nas sam sobie podziękuje. Teraz chodźmy spać, a jutro zawiadomimy Dornera.

Podnieśli się powoli, ociężale, dopiero teraz poczuli zmęczenie i senność. Milczeli. Z jednej strony byli zadowoleni, że oto mordercza praca skończyła się, że odnieśli sukces naukowy na miarę epoki, cieszyli się, że choć trochę odpoczną, z drugiej jednak żalowali, iż ten trud, który wypełniał im dni i noce bez reszty, skończył się już i że trzeba wrócić do normalnych zajęć. Przystawali być bohaterami znacznie szybciej, niż się potrafili do tego faktu dostosować.

Po chwili w labie została tylko Jol, z niepotrzebnym już hełmem na głowie najeżonym elektrodami, i Petersen. Spoglądali na siebie w milczeniu, myśląc o tym samym.

— Żałuję, że go nie zobaczyłam — westchnęła Jol, zdejmując z głowy elektroniczną koronę. — To trwało tak krótko.

Fizyk milczał. Zastanawiał się, jak powiedzieć jej o tym, że w dalszej części eksperymentu uczestniczyć będzie Lavue, a nie ona.

Zdecydował się tego dłużej nie ukrywać.

— Jutro twoje miejsce zajmie doktor — powiedział jakby od niechcenia.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc dobrze jego słów. Ale zakłopotanie malujące się na twarzy Petersena wyjaśniło jej resztę. Opuściła głowę, teraz dopiero poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

— Tak będzie lepiej — szepnęła.

Wstała i podeszła do przezroczystych drzwi.

— Może nie powinniśmy go obserwować? — zapytała nagle i, nie czekając na odpowiedź zaskoczonego fizyka, wyszła.

Petersen został sam. Popatrzył na wygaszone ekrany i stygnącą aparaturę, powiódł rękami po tablicy rozdzielczej, jakby nadal jeszcze nie wierzył, że wszystko to stało się naprawdę. Potem powiódł dłońmi po twarzy, by zetrzeć z niej ślady zmęczenia, i skierował się do wyjścia. Jeszcze raz obrzucił sekcję spojrzeniem i nagle wahanie ustąpiło, jak ręką odjął. Cofnął się w głąb pomieszczenia, wygasił światła i usiadł w fotelu, w którym siedziała Jol. W zupełnej ciemności odnalazł opaskę z elektrodami i nałożył ją na głowę. Sięgnął ręką do pulpitu i zaraz ją cofnął. Nie zdejmując opaski oparł się wygodnie w fotelu, nogi wyciągnął daleko przed siebie i nim zdążył pomyśleć o tym, jak bardzo jest zmęczony, już spał.

Mimo wielkiego zmęczenia, Jol nie mogła zasnąć. Po powrocie do swojego segmentu położyła się od razu. Jednak myśli, przez wiele dni odsunięte przez intensywną pracę na samo dno zapomnienia, wróciły z tym większą siłą, im bardziej starała się zepchnąć je z powrotem w niebyt. Przewracała się z boku na bok, nim zdała sobie sprawę z tego, iż najbardziej boli ją to, że nie zobaczyła dzisiaj Jima.

Tknięta nagle myślą, aż usiadła na posłaniu. Potem wstała i ubrała się pośpiesznie. Wymknęła się na korytarz i podbiegła na palcach do najbliższej windy. Szklana kapsuła przyjęła ją w swoje wnętrze, otoczyła ciepłym blaskiem i przytulnością, by kilka poziomów wyżej wypłuć ją na ciemne pokłady. Poszła w stronę najbliższego chodnika. Cały statek trwał pogrążony we śnie, tylko w niszach stały automaty, mrugające uspokajająco zielonymi sygnalizatorami.

Sama, wśród uspiętego statku, Jol poczuła nagle, że jest coś demonicznego w tych robotach, w sile, która każe im tygodniami i miesiącami trwać w bezruchu w oczekiwaniu chwili, w której na kilka minut okażą się przydatne. Przechodziła cicho obok nich, zatrzymując oddech i tłumiąc krok, tak że sama siebie wręcz nie słyszała, lecz wiedziała, że każda z tych pozornie martwych brył czarnego metalu wie o niej na wiele metrów przed tym, nim ona dojrzy kolejną niszę. Prowadziły ją jak po nitce, podając ją sobie z rąk do rąk, ich strefy czuwania pokrywały się przecież i nie mogła przejść nie zauważona. Przyszło jej na myśl, by spróbować je oszukać, ale zrezygnowała z tego. Tylko zmęczenie mogło jej podsunąć taki dziwny pomysł. Dotarła do Sekcji Fizyków i odsunęła lekko drzwi, nie pozwalając się im całkiem otworzyć, bo natychmiast zapaliłyby się światła. Już chciała wejść, gdy wydało jej się nagle, że słyszy czyjś równy oddech. Zastygła w pół kroku. Wytężyła wzrok i po chwili dostrzegła otyłą sylwetkę Petersena, który spał w najlepsze w fotelu. Cofnęła się. Drzwi przesunęły się bezgłośnie w prowadnicach, oddzielając ją od chronoteleskopu. Zacisnęła pięści, była zła, że fizyk zepsuł jej plan śpiąc i stróżując przy urządzeniu, tak jak dziecko śpi ze swoją ukochaną zabawką. Wróciła do siebie.

Tej nocy po raz pierwszy przyśnił się jej Jim. Przyśnił się jej tam, w mieście, które nazywał Nemedą, i które oglądała jego oczyma. W roli nauczyciela wyjaśniał z pobłażliwym uśmiechem nazwy poszczególnych, fascynujących ją swą odmiennością przedmiotów. Jakimś cudownym sposobem, możliwym tylko we śnie, przenosili się w powietrzu z miejsca na miejsce, zależnie od swej woli, i Jol oglądała tramwaje, samochody, budki telefoniczne, teatry, gdzie grali żywi aktorzy, stare instrumenty muzyczne i meble, kołyski i kuchenki gazowe. Pojęcia myliły jej się w głowie, nie pasowały do oglądanych obrazów, wszystko wirowało przed oczyma, a Jim coraz bardziej wściekły, że nie pojmuje tak prostych rzeczy, to kłął, to śmiał się z niej na przemian. Nagle przestał się śmiać, jednym ruchem ręki, takim, jakby wygładzał materiał, przeobraził miasto w wielki labirynt i zamknął ją w nim. Rozpoczęła się tresura. Jol biegała w tekturowych korytarzach, których ściany wymalowane realistycznie tworzyły atrapy dawnych budynków, starając się odnaleźć wyjście z tej pułapki. Biegała coraz szybciej, coraz bardziej dając ponosić się panice, biła głową w tekturowe, lecz mocne ściany, a nad sobą widziała wciąż rozдутą do olbrzymich rozmiarów twarz Jima, który z zainteresowaniem oglądał jej szamotaninę. Tak musi widzieć szczur swego eksperymentatora — pomyślała i nagle znienawidziła tę twarz, której widoku tak była spragniona. Biegała dalej pod tym badawczym wzrokiem niczym mrówka pod mikroskopem, aż zauważyła, że płaskie ściany się uwypuklają, miejscami puchną, między tymi puchlinami pojawiają się przerwy i znów na jej oczach powstaje miasto. Chciała uciekać, na oślep, przed siebie, pomiędzy ciasno stłoczone budynki, by ująć przed tym wzrokiem, lecz jego tam już nie było.

Oto Jim szedł naprzeciw niej z bukietem polnych kwiatów w rękę i wołał, że zabiera ją na przejażdżkę na Ziemię. Rozpędziła się, by tym mocniej uderzyć, lecz jej dłoń, ramię, aż wreszcie ona sama przeszła na wylot przez ciało Jima; poznała, że to miraż, zaczęła rozglądać się za prawdziwym, lecz z każdej strony śpieszyli do niej Jimowie z bukietami kwiatów, z każdego okna na całej długości ulicy wychylał się Jim i machał do niej, proponując wycieczkę, z każdego zaułka, każdej bramy wychodzili pojedynczo i parami okrążając ją wielkim pierścieniem, ścisk się zrobił jak na wiecu jakimś, głowa przy głowie, a każda taka sama, i dłonie z kwiatami wyciągające się do niej. A Jol stała pośrodku, w małym krążku wolnej przestrzeni, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. I nagle jeden Jim rzucił jej bukiet pod nogi. Inni poszli za jego przykładem i po chwili stała po kolana w kwiatach, które ciągle spadając sięgały coraz wyżej i wyżej, aż zakryły ją całą. Lecz kwiaty padały dalej. Czują, jak ciężar ich wzrasta, w końcu zaczęły ją gnieść mocniej, brakowało jej powietrza i czuła, że jeszcze chwila, a się udusi. Wtedy spadł deszcz i padał przez dni czterdzieści, kwiaty spłynęły wraz z potopem, a ona wolna i swobodna unosiła się na falach na ogromnym wianku, płynąc tak zaglądała do okien zatopionego aż po piętro miasta, widziała, jak ludzie siedząc przy kolacji do kolan tkwią w wodzie, jakby to im zupełnie nie przeszkadzało. Wianek obracał się z wolna wokół swojej osi, a ona, niczym Calineczka, oglądała całą panoramę miasta, wznosząc się nad nim. Spojrzała w dół. To nie woda przybierała, tylko jej łódź przekształciła się w latający dywan; kolorowy, kwietny kobierzec unosił się nad miastem. Twarzą do niej na skrzyżowanych nogach siedział Jim, który zmaterializował się na drugim końcu dywanu w czerwonym turbanie i takież przepasce na biodrach. Nad turbanem chwiało się wielkie, kolorowe pawie pióro. Fakir rozmawiał z nią, łykając od czasu do czasu sporą porcję ognia; zakrztusił się nagle, dym poszedł mu z nozdrzy i uszu, zakurzyło się z turbanu, fakir trzymał się kurczowo za zaciśnięte usta, aż nie wytrzymał i parsknął snopem iskier i płomieni. Dywan zaczął płonąć. Spadali wciąż niżej i szybciej, narastający gwizd w uszach przekształcił się w balistyczny grzmot; fakir zerwał turban z głowy i zaczęli lądować uczepleni czerwonego spadochronu. Placyk w dole zapełniał się ludźmi w błyszczących hełmach. Trzymając w rękach wielką, białą płachtę sześciu strażaków biegało niespokojnie tam i z powrotem, starając się przewidzieć miejsce ich lądowania. Spadali obok i fakir stąpając boso rozciął sobie nogę na szkło z butelki. Gawiedź zaczęła się śmiać, aż rozzłoszczony Jim wyjął jednemu z widzów wielką szpilkę

z krawata i stanął na niej utrzymując się na wielkim palcu u nogi. Wszyscy zamarli z podziwu, Jol również. Zdawało jej się, że aż usnęła z napięcia i fakir powiedział, by się obudziła. Posłusznie otworzyła oczy. Nad nią stał Petersen i potrząsał ją za ramię.

— Wstawaj, Jol — powiedział. — Nie mogłem cię postawić na nogi przez komunikator, więc przyszedłem po ciebie, bo złapaliśmy fakira, który oddychał na Psimie czystym amoniakiem. Zdajesz sobie sprawę z tego, ile zarobimy na Ziemi, gdy otworzymy cyrk? Będziemy współnikami: ty i ja. Zaczął się rozbierać i położył się obok niej w łóżku. Wszedł Jim, który miał na plecach butle ze sprężonym amoniakiem. Poruszał się swobodnie, lewitując nawet od czasu do czasu, jakby już przygotowywał się do występów. Uniósł się pod sam sufit kabiny i zastygł w rogu pokoju, zawieszony na przekór prawom fizycznym, upodabniając się do ogromnego nietoperza. Jol podobieństwo to wydawało się wciąż większe, aż wreszcie z przerażeniem spostrzegła, jak ręce Jima zamieniają się w wielkie błoniaste skrzydła, nogi w chwytne łapy zakończone ostrymi pazurami, a maska akwalungu w nietoperzowy pysk. Jim-nietoperz zwisał głową w dół uczepony grubej gałęzi pokrytej zielonym listowiem, która prawem kaduka wyrosła ze stalowej ściany kabiny. Kołysał się leniwie i popiskiwał chwilami z uciechy.

Jol wydawało się, że rozumie te piski, poprzez chrapanie śpiącego u jej boku Petersena łapała oderwane wyrazy. Jim namawiał ją na wspólny lot. Pисnęła, że nie ma skrzydeł i nie umie latać. Wtedy spostrzegła, że też jest nietoperzem, zdumienie odjęło jej mowę. Podniosła błoniaste skrzydło, którym od czasu swej metamorfozy jak kołdrą okrywała śpiącego fizyka i po kilku niezdarnych ruchach wzniosła się w powietrze. Bała się, że zawadzi o ściany i sprzęty, ale oto już byli na Psimie, pod nimi przesuwaly się piaszczyste wydmy, na jednej z nich stał człowiek i komicznie podskakując wymachiwał rękoma. Gdy zniżyli lot, Jol dostrzegła, iż to Petersen usiłuje ich schwytać w białą siatkę na długim kij, jaką się poluje na motyle. Jim zaatakował fizyka, wyrwał mu siatkę z dłoni i jego samego w nią złapał. Zawieszony między niebem a ziemią, Petersen wił się w pułapce ani mogąc, ani chcąc się z niej uwolnić na tak znacznej wysokości. Dolatywali już do miasta, Jim prowadził w stronę najwyższego wieżowca. Wlecieli do niego przez okno. W wielkiej sali, w której się znaleźli, z białych ścian spoglądali na Jol wszyscy członkowie załogi „Strzelca”, przypięci do nich niczym motyle do tkaniny. Brakowało wśród nich tylko fizyka. Właśnie Jim przyciskał do wolnego kawałka ściany wierzgającego rozpaczliwie fizyka, drugą ręką podjął monstrualną szpilkę wielkości oszczepu i mocnym, krótkim ruchem wbił ją w wijące się ciało. Urwany krzyk... i Petersen znieruchomiał. Jim wyprostował jego członki i wygładził na nim ubranie takim ruchem, jakim miłośnik kolekcjoner wygładza skrzydełka świeżo schwytanego okazu, by nie uszkodzić delikatnego rysunku, jakim obdarzyła go natura, i odszedł kilka kroków od ściany, krytycznie oceniając swe dzieło; niczym malarz z wyciągniętym na długość ramienia pędzlem, podszedł znowu i poprawił kilka fałdek kombinezonu. Uznał, że wszystko jest w najlepszym porządku i otulił się swoimi skrzydłami niby peleryną. Pomedytował chwilę i zarządził odlot. Lecieli w stronę lotniska. Widocznie Jim nie zdawał sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa. Oto już zagrały sprężone z radarami działka przeciwlotnicze. Jazgot broni palnej tak dalece przestraszył ich, że stracili poczucie kierunku; zamiast uciekać, w jakimś odruchu desperacji rzucili się tam, gdzie ogień był najgęstszy, pociski dziurawiły ich błoniaste skrzydła, które rwały się na strzępy z ohydny odgłosem darcia mokrego materiału. Nie czuli bólu, jakby to nie było ich ciało, lecz skrzydła Lilienthala, konstrukcja z drewna i pergaminu, nieczuła, nie krwawiąca. Lecz tracili wysokość, coraz ciężiej pracowali, by utrzymać się w powietrzu, aż nagle Jol osłabła; stuliła kalekie skrzydła i runęła w dół. Spadała, żołądek podjeżdżał jej ze strachu do gardła i z tego wielkiego przerażenia obudziła się.

Chwilę leżała bez ruchu, oddychając głęboko jak po wielkim wysiłku. Czuła się tak zmęczona i wręcz fizycznie obolała, jakby wszystkie te senne łamańce odbyły się w rzeczywistości. Wciąż nie otwierając oczu pomacała ręką wokół siebie, sprawdzając, czy sen napra-

wdę już skończył się i czy jest sama.

Otworzyła oczy. Kabina była pusta, a ona leżała niewygodnie na skotłowanym poślaniu. Światne cyferki zegara błyskające ze ściany wskazywały dopiero czwartą pięćdziesiąt czasu pokładowego. Odetchnęła z ulgą i ułożyła się wygodnie, by jeszcze złapać trochę snu. Gdy obudziła się powtórnie, na „Strzelcu” pokładowy dzień był w pełni i choć kabiny były doskonale wyciszzone, to jednak jakimś szóstym zmysłem dało się odczuć, że na statku panuje wzmożony ruch. Po chwili obok drzwi zapaliło się światelko komunikatora, ktoś stał w korytarzu usiłując skontaktować się z nią. Odblokowała fonię.

— To ja — usłyszała głos Lavue'a, a nie, jak się spodziewała, Petersena. — Wpadłem po ciebie, bo za chwilę mamy oficjalny rozruch aparatury. Wszyscy już są, tylko ciebie zapomniano zawiadomić, więc ja to robię.

— Zaraz będę, doktorze.

— Czekamy.

Usłyszała niezdarne szuranie, domyśliła się, że Lavue celowo nie śpieszył się z odejściem.

— Doktorze! — zawołała za nim stając nago na środku pokoju. Wciąż nie włączała wizji.

Człapiące kroki przybliżyły się z powrotem.

— Słucham?

— Zobaczymy go dzisiaj?

— Oczywiście — powiedział i zawahał się, jakby chciał jeszcze coś dodać, co zmieniłoby może sens wypowiedzi, ale powtórzył tylko: — Oczywiście.

Zapadło milczenie. Jol słyszała starczy oddech doktora, który jeszcze na coś czekał, na jakieś nowe pytania, ale ona nawet nie wiedziała, co chciała wiedzieć. Nie odzywała się, stojąc śmiesznie na jednej nodze, nie mogąc się zdobyć na wyłączenie urządzenia ani na powiedzenie czegokolwiek. Lavue widocznie domyślił się jej rozterki, bo sapnął tylko jakby zniechęcony i odszedł. Gdy Jol weszła do sterowni, przekonała się, że owi „wszyscy”, o których mówił doktor, to nie cała załoga „Strzelca”, a raczej wąskie grono specjalistów z wielu sekcji. Reszta ludzi mogła oglądać transmisję bądź na swoich odbiornikach holowizyjnych, bądź w wielkiej sali wizyjnej na pokładowym ekranie hi-vi.

Jol usiadła w fotelu, którego ustąpił jej Crax, psycholog. Stanął za nią opierając się o pulpit radiostacji i wyciągnawszy daleko przed siebie chude nogi, wpatrzył się w ekran chronoteleskopu. Jol wydawało się, że nawet nie usłyszał jej podziękowań. Myliła się jednak.

— To ja będę ci dziękował — powiedział po tak długiej przerwie, że już nie pamiętała do czego nawiązuje. — Jeżeli cokolwiek tam zobaczę — wskazał brodą ekran.

Już chciała się pochwalić, że wczoraj widzieli miasto, gdy podnieśli się Dorner i Petersen. Fizyk podszedł do czarnej skrzyni telepatora, w której ulokował się już Lavue, i mimo iż miał z doktorem łączność foniczną w czasie eksperymentu, udzielał mu jeszcze teraz ostatnich wskazówek. Dorner rzucając od czasu do czasu okiem w tym kierunku, wyjaśniał zebrałym przyczyny, dla których seans będzie siłą rzeczy krótki. Na koniec powiedział:

— Do kierowania chronoteleskopem wybrałem za namową profesora Petersena doktora Lavue'a, jako najlepiej znającego telepatyczne kierowanie maszynami, ponieważ autometry, którymi się posługuje, działają na tej właśnie zasadzie. Doktor ma z nas największą praktykę i doświadczenie. Czy już gotowe? — zwrócił się do Petersena.

Fizyk zatarł nerwowo dłonie i skinał głową:

— Możemy zaczynać.

Błysnęły ekrany, zgasło główne oświetlenie i wszyscy wstrzymali oddechy.

Lavue posługiwał się chronoteleskopem jak operator kamerą filmową.

Widzieli Psimę niczym z pokładu lądującego na niej statku. Obraz cały czas był ostry, najazdy płynne. Jol odruchowo porównywała sposób prowadzenia eksperymentu przez dokto-

ra ze swoim wczorajszym popisem i widziała swą nieudolność. Lavue był rzeczywiście mistrzem, myślał krótkimi, ale płynnymi rozkazami, pozostawiając maszynie niewielką swobodę poczynań tam, gdzie zbyt wielki natłok poleceń mógł zaciemnić obraz; zdawał się na jej układy logiczne w wyborze optymalnej decyzji w sprawach błażych, pozostawiając sobie możliwość decyzji w kwestiach zasadniczych. Tak kierowany chronoteleskop stawał się niezwykle elastycznym urządzeniem, plastycznie prezentującym przesunięte w czasie miasto. Widzieli już je całe, Lavue „okrażał” miasto prezentując jego panoramę z lotu ptaka, potem zniżył się i ekran pocięły pasma ulic, wieloboki skwerów, budynków, podwórek i parków. W ciemnych smugach, jakimi jawiły się ulice, po drobnych pulsacjach światła domyślali się wszyscy ulicznego ruchu. Doktor na pewno wyczuwał i rozumiał panujące na sali podniecenie; powiększenie wzrosło jeszcze bardziej i oto ekran przemierzały sylwetki ludzi w dziwnych strojach i staroświeckie pojazdy. Lavue śledził je okiem swej niewidocznej kamery, lecz nie wszystkie obrazy były do końca czytelne, gdyż widzieli cały czas z góry. Płynny obrót i oto perspektywa zmieniła się; obraz był taki, jakby go oglądali oczyma jednego z wielu przechodniów. Przez chwilę poruszali się nawet naprzód, w tempie, które względem otaczających ludzi i przedmiotów do złudzenia przypominało ruch pieszego. Doktor zamienił chronoteleskop na ręczną kamerę, ich wzrok ginął w perspektywie ulicy. Potem znowu się wznieśli w górę, gdyż Lavue wydał rozkaz, by na podstawie zakodowanych w komputerze danych o Ranku, chronoteleskop znalazł go. Widzieli całe miasto jak na dłoni, w czerwonych kwadratach celownika zmieniały się stopniowo eliminowane dzielnice i osiedla, aż wreszcie centrum z powrotem wypełniło przestrzeń holowizora. Znowu obraz z ręcznej kamery. Ulica, jakiś budynek, schody, na ciemnym podeście stoi mężczyzna i zamyka drzwi na dziwny, skomplikowany system zamków. Jol nie wierzy wprost swoim oczom. To jest Jim.

— James Rank — melduje sucho komputer. — Kwadrat siódmy, budynek G 8 — podaję lokalizację według wykonanego już planu miasta.

Jol, sama o tym nie wiedząc, ścisnęła Craxa za rękę. Ten nie cofnął jej.

Pewnie nawet nic nie poczuł, tak był zapatrzony. Tymczasem mężczyzna zaczął schodzić po schodach. Dopiero teraz, jakby czekając na moment, w którym sprawi to największy efekt, Lavue włączył dźwięk. Wszyscy drgnęli. Kroki Ranka dudniły głucho w mrocznej klatce schodowej.

KORA

Ranek był pochmurny i mroźny. Na przekór widokowi śnieżnych czap zdobiących drzewa i kominy po przeciwległej stronie ulicy, obudziłem się spocony i zgrzany. Oczywiście zapomniałem wczoraj przed snem właściwie wyregulować ogrzewanie i to były skutki. Wyskoczyłem spod skopanej pościeli i pobiegłem do łazienki. Letni prysznic znakomicie przywrócił mnie do formy. Jedząc śniadanie nuciłem sobie nawet pod nosem, co było oznaką niezwykłego humoru. Sam nawet nie wiedziałem, co jest jego przyczyną. Przebiegłem pamięcią ostatnie wydarzenia, upatrując w nich powodu mojej wesołości, ale nic takiego nie znalazłem. Raczej przeciwnie, pełno zagadek mogących przyprawić o ból głowy i zębów jednocześnie. Ale mimo to nadal mi było radośnie na duszy, powodowany tym uczuciem i niezwykłą fantazją postanowiłem już teraz, natychmiast, odwiedzić nie znaną mi Korę, którą jednak zdawały się ze mną łączyć więzy szczególnego rodzaju.

Czy spodziewałem się, iż dowiem się, dlaczego zostałem zwolniony z pracy? Mówiłem, że tak, sam w to nie wierząc. Po prostu chciałem iść do niej i koniec. Nie mogłem jednak wystąpić w stroju, w jakim wysiadłem wczoraj z pociągu-widma. Należało poszukać odpowiedniejszej odzieży. Przeglądając szafę znalazłem kilka sztuk grubszej garderoby, takiej, jaką

zapamiętałem wczoraj u przechodniów. Ubrałem się i przełożyłem wszystkie swoje drobiazgi do kieszeni nowego ubrania. Zabrałem też notes z adresem Kory. Postanowiłem jechać taksówką, bo nie wiedziałem, gdzie znajduje się ulica Portowa, a planu Nameda w mieszkaniu nie znalazłem.

Byłem już gotowy do wyjścia, jednak nie mogłem się na to zdecydować. Czegoś mi brakowało. Po chwili zrozumiałem. Moja torba; tak bardzo się przyzwyczyłem do jej ciężaru uciskającego ramię, że bez niej czułem się niemal jak nagi. I choć jej turystyczny charakter wyraźnie nie pasował do zimowego stroju, wziąłem ją ze sobą. Wyszedłem z mieszkania na schody i mój dobry humor nagle się ulotnił, jak ręką odjął. Poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Uczucie to było tak przejmujące, że choć wiedziałem, iż nikogo za mną nie ma, obejrzałem się odruchowo. Pusto. Ale wrażenie, że jestem obserwowany, jeszcze się spotęgowało. Niczym samotny aktor na pustej scenie czułem na sobie setki ciekawskich oczu. Wzruszyłem ramionami postanawiając zignorować to, ale dobry nastrój już nie wrócił.

Wyszedłem na ulicę. Dziwne wrażenie to pojawiało się we mnie, to znów nikło, jakby oddalało się wraz z podmuchem mroźnego wiatru przeganiającego kłęby śniegu po Nameda Avenue. Postawiłem kołnierz płaszcza i poszedłem w stronę postoju taksówek. Kilkoro zmarzniętych ludzi czekało na nim cierpliwie, przytupując od czasu do czasu dla rozgrzewki i strzepując z siebie śnieg. Zająłem miejsce na końcu kolejki. Taksówki podjeżdżały rzadko, wreszcie, gdy już porządnie zmarzłem, i mnie zabrał jaskrawo pomalowany samochód.

— Dokąd? — zapytał kierowca łamiąc chorągiewkę, zanim zdążyłem się wygodnie rozsiaść.

— Portowa — powiedziałem.

Słowa z trudem przechodziły mi przez zmarznięte szczęki. Wspomniałem swoją pierwszą jazdę z lotniska do miasta zaraz po wylądowaniu na Psimie i wydało mi się, że było to bardzo dawno, rok, może dwa lata temu. Przestraszyłem się, że towarzysze może nie czekając na mnie odlecieli, a ja nic jeszcze nie zrobiłem, żeby przyspieszyć swój powrót na „Strzelca”. W jakimś odruchu ogarniającej mnie paniki zapragnąłem nadrobić stracony czas, zacząłem się śpieszyć.

— Szybciej! — wyrwało mi się nagle.

— Nie mogę. Ślisko.

Rzeczowość odpowiedzi taksówkarza, który mnie oczywiście nie mógł zrozumieć, ostudziła mnie na dobre.

Ja też stąpałem po śliskiej i zdradliwej powierzchni. Najgorsze, co można zrobić w takiej sytuacji, to dać się opanować strachowi i zacząć się śpieszyć.

Rozluźniłem się. Nikt przecież nie spóźnił się na własny pogrzeb. Mogłem być pierwszym takim przypadkiem, ale należało zrobić wszystko, by nie dopuścić do tego. Zajęty swoimi niewesołymi myślami nie zwracałem uwagi na drogę, którą jechaliśmy. Zresztą spoza zalepionych śniegiem szyb niewiele było widać. Dopiero przyjrawszy się uważniej, dostrzegłem, pomimo śniegowej maski, jaką nałożyło na siebie miasto, iż trasa, którą jadę, jest ta sama, którą przebyłem jeszcze podczas swojego snu na „Strzelcu”. Powoli zaczynałem się domyślać, że ulica Portowa będzie tą uliczką nad rzeką, na której stał spalony dom. Być może to w nim nawet mieszkała Kora.

Nie myliłem się. Dojeżdżaliśmy na miejsce. Już widziałem składy drewna, złomu i innych odpadów, ciąg drucianych siatek zdobnych w pordzewiałe tablice mające informować, a w rzeczywistości straszące swym wyglądem. Słyszałem ruch, szum, jaki wydaje z siebie robotnicza dzielnica, zajęta poranną krzątaniem. Ponure kamieniczki stojące po prawej stronie ulicy odbijały w swoich oknach cały ten brudny i biedny pejzaż wraz z burą wstęgą rzeki.

— Jaki numer? — zapytał taksówkarz.

— Szesnaście.

Samochód potoczył się jeszcze kawałek stromo opadającą w stronę brzegu ulicą i sta-

nał.

Wyrzależem przez okno. To tu. Spalony dom, który w tej chwili jeszcze stał na swoim miejscu.

Zapłaciłem i wysiadłem. Taksówka oddaliła się ciągnąc za sobą siny obłok spalin. Zadarłem głowę do góry, by obejrzeć dokładnie posesję numer szesnaście. Gapiłem się tak, jakbym zamierzał kupić ten dom i nie dowierając pośrednikom sam przyszedł sprawdzić, czy jest wart pieniędzy, jakie na niego wydam. Nagle okno na pierwszym piętrze otworzyło się i pokazała się w nim znajoma twarz. Inna niż na fotografii, ale to była Kora. Widocznie stała za firanką i obserwowała mnie.

— Jim, chodź na górę! — zawołała i zatrzasnęła szybko okno.

Wszedłem na pierwsze piętro. Nie musiałem szukać mieszkania, ponieważ czekała na mnie na progu. Ubrana była we wzorzysty szlafrok o jakimś orientalnym wzorze, ręce schowała w rękawy, by ochronić je przed chłodem panującym na klatce schodowej.

Kora była całkowitym zaprzeczeniem So: była tym co nazywa się seksbombą. Wysoka blondynka, o może nawet nieco zbyt bujnych kształtach, dużych zielonych oczach i wydatnych, wilgotnych i zachłannych ustach. Była świadoma tego zwierzęcego powabu, poruszała się i zachowywała jak aktorki ze starych hollywoodzkich filmów. Kusiła każdym ruchem — nie siadała, lecz układała swe ciało, nie szła, lecz wabiła. Do tego wszystkiego starała się nadać głosowi ochryple, matowe brzmienie, by w ten sposób jeszcze bardziej upodobnić się do wampa. Raziło to mnie, bo głos miała, jakby na przekór swym zachciankom, młody i świeży. Mimo tego, iż dostrzegałem pewną przesadę i wręcz kiczowatość jej postaci, byłem pod jej silnym wrażeniem. Takich kobiet nie było nie tylko na „Strzelcu”, ale już i na Ziemi. Kora po prostu emanowała seksem, jej przeznaczeniem było budzić nie miłość, lecz pożądanie.

I rzeczywiście robiła to.

Na przywitanie objęła mnie, mocno przywierając do mnie całym ciałem. Pocałowałem ją.

— Chodźmy do środka.

Wzięła mnie za rękę i jak stęskniona kochanka powiodła do wnętrza mieszkania, które, jak mogłem się spodziewać sądząc po jego właścicielce, było przeładowane ciężkimi meblami i tandetnymi, lecz drogimi bibelotami. Rozebrałem się w przedpokoju i zająłem miejsce na kanapce w saloniku. Wszystkie meble były miękkie i obite ciemnoczerwoną materią. Kora siadła obok, przybierając jedną ze swych wyzywających póz, obciągając na podkurczonych nogach kusy szlafroczek.

— No, proszę — powiedziała pierwsza. — Królewicz raczył się zjawić i to dopiero na wyraźne zaproszenie. Czy myślisz, że po tym, co dla nas zrobiłeś, możesz już sobie spokojnie odejść?

— Nie, nie myślę — odpowiedziałem zgodnie z prawdą, bo nie wiedziałem, o czym mówi.

Westchnęła.

— Może poczęstowałbyś mnie chociaż papierosem?

Już, już chciałem odruchowo powiedzieć, że nie palę, gdy na szczęście ugryzłem się w język. Stało się dla innej jasne, że nie mogę przed nią, podobnie jak przed So, odkryć kart. So mnie nie znała, a Kora, jak wynikało z treści listu, tak, i to dobrze. Musiałem więc udawać, że jestem tym Rankiem, którego do tej pory przyjmowała w swoim mieszkaniu.

— Poszukam.

Wstałem i wyszedłem z pokoju. W torbie znalazłem papierosy, które wraz z nią wyjąłem z szafki na lotnisku pierwszego dnia pobytu na Psimie. Były w nie najlepszym stanie, ale Kora nie zwróciła na to uwagi.

— Nie zgłosiłeś się nawet po swoją dolę — powiedziała wydmuchując kłęb dymu. — Czy tak bardzo byłeś załamany utratą licencji?

Patrzyła na mnie z wyraźną ironią.

— Więc nie jesteś tak mocny, jak myślałam — kpiła nadal.

Rozpięła jeden guzik szlafrocza i poruszyła się tak, iż widziałem jej piersi aż po ciemne plamy sutek.

Czułem, że zaraz dowiem się, dlaczego wyrzucono mnie z pracy. Koniecznie chciałem podtrzymać rozmowę na ten temat, ale nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić, żeby nie wykazać swojej ignorancji.

— Powiedzmy, że zrobiłem to dla idei — powiedziałem wymijająco.

— Dla idei? — powtórzyła prychając dymem. — Przecież na przemyśle, zwłaszcza żywego towaru, można dobrze zarobić. Szkoda tylko, że wpadłeś za pierwszym razem.

Wzruszyłem ramionami. Mniej więcej orientowałem się już w przyczynach mojego bezrobocia. A więc przyszedł czas i na intrygę kryminalną.

— Możesz mieć do nas słuszną pretensję, że się nie udało, ale dyżurny lotów wydawał się nam pewny. Był opłacony przez Kamila, nie mogliśmy więc wiedzieć, że pracował na dwa fronty, i zanim go zlikwidowaliśmy, zdążył zawiadomić komendanta. Dyżurny miał tylko nie zauważyć i nie zanotować twojego nadprogramowego lotu, tymczasem zrobił zapis na swój własny użytek.

Kora wstała i otworzywszy małym kluczykiem szufladkę sekretarzyka, wyjęła z niej spory pakiet zapakowany w gazetę. Rzuciła mi go na kolana.

— Masz swoją forszę. Zadanie przecież wykonałeś. Pożyczyłam sobie trochę, ale myślę, że nie będziesz miał mi tego za złe.

Położyłem pieniądze na stoliku.

— Nie. Możesz wziąć sobie wszystko.

— Dziękuję, jesteś milutki.

Schowała z powrotem pakiet i podeszła, żeby mnie pocałować. Zrzuciła z siebie szlafrok i stanęła przede mną naga. Miałem jej pulsujące ciepłem i pachnące ciało na wyciągnięcie ręki.

— Daj spokój — powiedziałem.

— Przecież coś ci się należy za tę forszę. A może nie masz ochoty?

— Nie.

Ubrała się.

— Nie, to nie — powiedziała obrażonym tonem i usiadła obok.

Po chwili wstała i zasunęła zasłony.

— Wydaje mi się, jakby nas ktoś obserwował.

— Dziwne, ja też odnoszę takie wrażenie. Ale czułem to już rano.

— Tutaj jesteśmy sami — powiedziała to znowu kusząco.

Skinąłem głową, wolałem nie podejmować tego tematu.

— Zmieniłeś się — powiedziała nagle i znowu wstała, tym razem, żeby zapalić światło.
— Słyszałam też — dodała z udaną wesołością — że się zakochałeś w jakiejś smarkatej studentce. To prawda?

— Prawda, ale to już przebrzmiała historia.

— Jeśli tak, to czemu jesteś taki? Masz zamiar wstąpić do klasztoru?

— Nie.

Milczeliśmy. Kora nagle nie wytrzymała i wybuchnęła:

— Och, daj spokój temu tak i nie! Czy naprawdę nie masz mi nic do powiedzenia? Czy też jesteś aż tak bardzo obrażony o to, że sprowadziłam cię na złą drogę? Mów coś albo się wynoś, bo jesteś nudny, a ja nie lubię nudnych facetów, rozumiesz?

— Rozumiem doskonale — powiedziałem wstając.

— Jesteś idiotą! Gniewasz się?

— Nie, ale już pójdę, dobrze?

Wstała. Wyglądała jak rozjuszona pantera, przez moment nawet się jej bałem, bo nie wiedziałem, do czego może się posunąć taka kobieta jak ona, dotknięta do żywego moim zachowaniem.

— Nie pokazuj mi się więcej na oczy! — warknęła, wskazując teatralnym gestem drzwi.

Wyszedłem, dopinając po drodze guziki płaszcza. Przewiesiłem torbę przez ramię, postawiłem kołnierz i włożyłem rękawiczki. Rozejrzałem się. Taksówki oczywiście ani śladu w tej zakazanej dzielnicy, a wichura wzmogła się jeszcze bardziej. Tylko przy końcu ulicy dostrzegłem przechodnia, zmarzniętego jak i ja w tej chwili. Chciałem go zapytać, jak dojść do centrum, ale zwlekał i nie zbliżał się wcale do mnie. Nie czekałem więc i postanowiwszy zaufać swojej pamięci i zmysłowi orientacji, ruszyłem w powrotną drogę.

Było ciemniej niż rano, choć dochodziła dopiero pierwsza. Dzień był jednak bardzo krótki i już o trzeciej zapadał zmierzch. Szedłem szybko, nie oglądając się za siebie, gdy nagle powracające stale uczucie, że jestem obserwowany, kazało mi to uczynić. Tym razem nie było to jednak złudzenie, świadczyła o tym jakaś ciemna sylwetka uskakująca gwałtownie w głąb sieni o kilka budynków za mną. Śledzą mnie — pomyślałem. — Ciekawe, dlaczego? Przecież wiedzą, gdzie mieszkam. Chyba że...

Przyśpieszyłem kroku i skręciwszy w najbliższą przecznicę, zacząłem się w bramie. To nie był jednak fachowiec. Trochę za późno się zorientował, że nie widzi mojej sylwetki przed sobą i gdy chciał się, spłoszony, cofnąć, zaatakowałem go. Wystarczył jeden cios. Wciągnąłem bezwładne ciało do piwnicy i starając się zapamiętać twarz tego człowieka, przetrząsnąłem mu kieszenie. Nie było w nich nic prócz kilku banknotów i sprężynowego noża, który rzezimieszek ścisnął w garści. Domyślałem się, co miał z nim uczynić. Zabrałem nóż i podniosłem się. Traciłem nieprzytomnego nogą. Nieprędko przyjdzie do siebie. Wyszedłem na ulicę. Zrobiło się jeszcze ciemniej, ale wiatr na moment przestał wiać i w tej chwili ciszy udało mi się dostrzec znikający za rogiem samochód.

Zapewne go ubezpieczali — pomyślałem i pobiegłem kawałek w przeciwną stronę. Szczęście mi sprzyjało. O kilka bram dalej jakiś mężczyzna płacił właśnie taksówkarzowi za kurs. Rzuciłem się w tamtą stronę.

— Wolna? — spytałem i nie czekając na odpowiedź ulokowałem się w ciepłym wnętrzu samochodu.

Ruszyliśmy już, a ja zastanawiałem się, jaki kierunek podać szoferowi. Było jasne, że do domu nie mogłem wracać. Pomyślałem o Jacku i jego „Marabucie”, ale tam niewiele było do jedzenia, a byłem porządnie głodny. Więc najpierw restauracja, a potem Jack — postanowiłem sobie w duchu i kazałem zawieźć się do „Żółtej Róży”, jednego z lepszych lokali w Nemedu. Taksówkarz, młody chłopak, obserwował mnie od czasu do czasu w lusterku. Chciał pogadać. Zaczął stereotypowo.

— Paskudna pogoda dzisiaj, prawda?

Przytaknąłem, bo nie sposób było zaprzeczyć.

— W tamtym roku było jeszcze gorzej — przypomniał sobie. — Nawet wóz rozbiłem i przez miesiąc stałem w garażu, a zarobki były wtedy wspaniałe. Dużo straciłem — zakończył filozoficznie, czekając, co teraz powiem.

— Nie było mnie tu zeszłej zimy. Jestem pilotem — wyjaśniłem widząc zdziwienie na jego twarzy.

Rozjaśnił się.

— Pilot to jak taksówkarz: ludzi wozi i nigdy go nie ma w domu — roześmiał się. — Pan żonaty?

— Nie, a ty?

— Już dwa lata. I dwoje dzieci. Dziewczynki.

Jedną ręką opuścił przeciwsloneczną osłonę prezentując zdjęcie dwóch czarnowłosych

grubasków.

— Ładne — pochwaliłem. — Sam pan zrobił? — zażartowałem.

Roześmiał się.

— Sam, ale żona mówi, że mnie przegna, jak ja będę tylko kółkiem kręcił, a nie siedział w domu. Ale co zrobić, oprócz tego, że muszę zarabiać, to ja lubię jeździć — rozgadał się na dobre.

— A ja lubię latać, a teraz jestem zawieszony — wyznałem nie wiedzieć czemu. — Zabrano mi na rok licencję.

Chwilami już sam nie wiedziałem, co z mojej biografii przeżyłem naprawdę, a co przyswoiłem sobie w pamięci. Ale nie przeszkadzało mi to, sądziłem raczej, że się przystosowuję po prostu do miasta.

— Zdarza się, mnie też kiedyś zabrali licencję, jak opieprzyłem pewnego ważniaka, bo mi zaczął seks uprawiać z jakąś cizią na tylnym siedzeniu. Więc zatrzymałem wóz i wyrzuciłem ich na chodnik, i jeszcze mu kopa przyłożyłem — roześmiał się na samo wspomnienie. — A potem okazało się, że to jakaś szycha. Drań zapamiętał mój numer, no i pauzowałem. A prawo jazdy też mi zabrali, dwa razy — przypomniał sobie. — Potraściłem żonę burmistrza. W ogóle, jak pan zauważył, mam szczęście do ważniaków. Jechałem wtedy z moją żoną, prywatnie, a nie na taryfie, a baba mi wlała pod koła w pogoni za swoim ukochanym pudelkiem. No i trąciłem. Niegroźnie, bo się zaraz zerwała i dawaj do mnie z parasolką. Moja żona nie wytrzymała i ją wzięła za łeb. No, mówię panu, fryzurę jej zrobiła, jakby piorun w miotłę strzelił! Przyjechała policja i nas zabrali. Najbardziej babie o to uczesanie chodziło, bo akurat od fryzjera wyszła i miała iść na jakieś przyjęcie. No i odebrali mi prawo jazdy.

Słuchałem go z przyjemnością. Mówił o takich zwykłych sprawach, jakie się opowiada kumpłowi przy kuflu piwa lub w bazie po skończonej służbie. Nie było tu nic tajemniczego i chwilami aż traciłem poczucie rzeczywistości. Sam siebie musiałem teraz przekonać, że jestem przecież na obcej planecie, w tajemniczym, przesuniętym w czasie mieście, gdzie czyha na mnie wiele niebezpieczeństw, a nie na Ziemi. Było mi tak dobrze, że dałbym mu się wozić po całym mieście, żeby to dłużej trwało, ale byliśmy już na miejscu.

Zapłaciłem.

— Do widzenia, niech pan zapamięta mój numer, może się jeszcze spotkamy.

— Do widzenia.

Trzasnęły drzwiczki i zostałem sam na zaśnieżonym chodniku. Za mną jarzyła się kolorowymi światłami sala restauracyjna. Wszedłem tam. Oddałem płaszcz i torbę do szatni i chwając siebie w duchu za przenikliwość, która kazała mi dzisiaj włożyć garnitur, zamiast wytartego swetra, podążyłem za prowadzącym mnie do stolika kierownikiem sali. Podszedł kelner. Złożyłem zamówienie i czekając na jego realizację rozglądałem się dokoła. Ludzi było sporo, większość miejsc była zajęta. Obok mnie kończył swój posiłek starszy, dystyngowany pan, który swoim wyglądem zwrócił moją uwagę. Przyglądałem mu się widocznie zbyt natrzącywie, bo kilkakrotnie spojrzął na mnie, ale się nie odezwał. Sam nie wiedziałem, dlaczego mnie tak zainteresował. Był poważny, siwy, o twarzy pedagoga, dobrze ubrany, wręcz z wyszukaną elegancją, ale nie to przecież było najważniejsze. Odniosłem wrażenie, że już go gdzieś widziałem, w jakimś momencie dla mnie bardzo ważnym, ale w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy to było. Gapiłem się więc na niego bez przerwy, a on skończył jeść, otarł usta serwetką, odliczył na obrus kilka banknotów, zajrzawszy uprzednio do rachunku. Z sąsiedniego krzesła podjął czarną aktówkę z monogramem i powoli, jakby mi dając czas na zagadnięcie go czy też na przypomnienie sobie tej ważnej rzeczy, wstał.

Mózg miałem jak z gliny, wiedziałem, że skojarzenie sobie, gdzie spotkałem tego człowieka, to prawie sprawa życia i śmierci, ale nic nie mogłem wykrzesać ze swej pamięci. Wyszedł, a ja nadal siedziałem bez ruchu, tępo wpatrzony przed siebie. Dopiero widok jego sylwetki przesuwanej się za szybą restauracji olśnił mnie. Człowiek z pociągu! To on wy-

siadł wraz ze mną wczoraj na dworcu. Był nawet w tym samym płaszczu. Widziałem go co prawda przez mgnienie oka, ale mógłbym przysiąc, że się nie mylę. Nie rozumiałem teraz zupełnie, jak to możliwe, iż z takim trudem przyszło mi go zidentyfikować. Zerwałem się z miejsca i nie patrząc na zdumione spojrzenia gości, wybiegłem za nim, jakby się paliło. Jednak na ulicy nie było go. Prawdopodobnie miał samochód lub odjechał taksówką. Zajrzałem w okienka kilku przejeżdżających obok mnie wozów, ale jego w ich wnętrzu nie zobaczyłem.

Wróciłem na salę. Przy moim stoliku zaskoczony kelner dyskutował o czymś żywo z kierownikiem. Na mój widok uspokoił się i kelner zaczął zdejmować z tacy zamówione przeze mnie dania. Pomyślałem, że należą się im jakieś wyjaśnienia.

— Przepraszam za zamieszanie, ale spostrzegłem na ulicy znajomego. Niestety, nie dogoniłem go — powiedziałem zajmując miejsce.

— Oczywiście, martwiliśmy się tylko, że obiad może panu wystygnać — powiedział szef i odptynał jak duch.

Byłem zły na siebie za wykazaną opieszałość i sklerotyczne zapomnienie. Zdawałem sobie sprawę z tego, że spotkanie z owym człowiekiem to jest najważniejsza rzecz, jaka mnie czeka na Psimie — ukoronowanie całego pobytu, rozwiązanie wszystkich zagadek. I ja tak lekkomyślnie pozwoliłem sobie zmarnować tę okazję. Głupiec, głupiec i jeszcze raz głupiec — powtarzałem sobie w myśli pod własnym adresem, ale wcale mi się łżej od tego nie robiło. Pozostało wrażenie niedosytu, zmarnowanej wielkiej szansy. Może mógłbym go odszukać? — pomyślałem. — Może znają go w tej restauracji? Trzeba zapytać. Ale jeśli nawet wiedzą, to czy zechcą mi udzielić informacji? W takim lokalu obsługa jest dyskretna.

Nadszedł kelner z rachunkiem. Postanowiłem spróbować.

— Pan się nie orientuje — powiedziałem od niechcenia zaglądając jednocześnie do rachunku — czy ten pan, który siedział przy stoliku obok, to dyrektor Banku Kredytowego, pan Lavue? — podałem nazwisko doktora, bo oprócz własnego, inne mi na myśl nie przyszło.

— Nie — odparł inkasując należność. — To jest profesor Mager.

— Ach, tak. Pomyliłem się zatem. Dziękuję.

Wstałem i czym prędzej wyszedłem, nie chcąc pokazać kelnerowi, jak bardzo mnie to nazwisko poruszyło. Profesor Mager. To przecież u niego So studiowała tę swoją futurologię. Czyżby krąg się zamykał? Obawiałem się jednak, że nie, że pozostał mi do przebycia jeszcze spory kawałek łuku.

Na ulicy zastanowiłem się, co robić. Szukać Magera czy iść do „Marabuta”. Zdecydowałem się na to drugie, profesor mi już nie ucieknie, a postanowiłem trzymać się raz wytyczonej drogi. Poza tym byłem już porządnie zmęczony i miałem nadzieję, że Jack znajdzie mi jakieś locum. Może dowiem się również czegoś o So? Zrezygnowałem z taksówki, pochłaniały zbyt wiele moich oszczędności, a ja na dodatek wspaniałomyślnie zrezygnowałem z pieniędzy oferowanych mi przez Korę.

Poszedłem w stronę metra. Już na szczycie ruchomych schodów poczułem pęd powietrza, które wślacza do podziemi wjeżdżający na peron skład i nie czekając, aż zjadę na dół, pobiegłem po schodach przeskakując po kilka stopni. Nagle zaczęło mi się śpieszyć. Zdążyłem. Drzwi z sykiem zamknęły się za mną i z narastającym zgrzytem wagonów popędziłem ciemnym tunelem. Jednak w czasie tej podróży pasażerowie nie ulotnili się i bez niespodzianek wysiadłem przy placu Jagga. „Marabut” był o kilka uliczek dalej. Kiedy tam wszedłem, pekińczyk poderwał się na mój widok, a i Jack mało nie wypuścił z ręki wycieranego akurat kieliszka.

— Jim, to ty?

— Jak widzisz — podałem mu rękę.

Uścisnął ją mocno.

— A remontu nadal nie zrobisz — powiedziałem rozpinając płaszcz i sadowiąc się na wysokim stołku za bufetem.

— Nie, nie wierzyłem, że jeszcze cię zobaczę.
Postawił przede mną kieliszek i nalał. Sobie również.

— Wypijmy.

Trąciliśmy się, szkło zabręczało i palący płyn sparzył mi gardło.

Jack nalał powtórnie.

— Dlaczego nie wierzyłeś?

— Jesteś jakiś inny, Jim. Tacy nie wracają.

— Jak widzisz, stanowią wyjątek.

Wypiliśmy powtórnie. Żaden z nas nie chciał pierwszy mówić o So. Głaskałem Marabuta, a Jack przestawiał butelki na półce; nasze milczenie przedłużało się.

— A wiesz — zdecydował się nagle Jack — So już tutaj nie przychodzi.

— Tak? A ja myślałem, że coś mi o niej opowiesz.

— Niewiele tego jest — powiedział w zamyśleniu, trąc szklaneczkę. — O ile wiem. przerwała studia i miała wyjechać z Nameda. Sam jej to doradziłem, bo pytały tu o nią jakieś typy. Nie wiesz, kto to mógł być? — spytał patrząc na mnie badawczo.

— Nie.

Zrobiło mi się zimno na samą myśl, że So mogła jednak go posłuchać i wsiąść do pociągu...

— I co, wyjechała?

— Nie wiem, więcej jej nie widziałem, więc chyba tak.

Wiedziałem, że muszę to sprawdzić. Za nic nie chciało mi się iść do jej mieszkania, ale to chyba było nieuniknione.

— Jack, mam wielką prośbę do ciebie. Mógłbyś mnie gdzieś dzisiaj przenocować?

— To już tak źle z tobą, stary? — zapytał ze współczuciem i zaraz dodał: — Oczywiście, że mogę, moje mieszkanie stoi dla przyjaciół otworem.

— Tak, ale Mag...

— Mag już się przyzwyczaiła, jest ze mną przecież trzy lata.

Wypiliśmy jeszcze po jednym. Chciałem zapłacić, ale Jack się obraził. Siedziałem w barze aż do zamknięcia, czekając, aby razem z nim iść do domu. Nie myślałem o niczym, wypity alkohol wprowadził mnie w wyśmienity nastrój. Dla mnie, nie przyzwyczajonego do niego, wystarczyły trzy kieliszki. Nawet o So nie potrafiłem teraz myśleć. Ludzie wchodzili i wychodzili, niektórych z nich znałem i ci mnie pozdrawiali, ale na szczęście nikt nie podchodził. Moja inność odstraszała ich widocznie. I dobrze, bo byłem w takim humorze, że zacząłbym wygadywać głupstwa.

— No, koniec — powiedział Jack, zamykając o jedenastej drzwi za ostatnim gościem.
— Możemy zwijać żagle.

Podniosłem się ze stołka i wyszliśmy. Jack pogasił światła i zamknął lokal. Rozbudzony Marabut buszował po kopnym śniegu, którego sporo napadało w tym czasie.

— Ale zima! — powiedział Jack z zachwytem w głosie. — Wyjechać by tak gdzieś w góry...

— Wyjeżdżałeś już kiedyś w życiu z Nameda?

— Nie, jakoś się nie złożyło. Wiesz, jak jest, barman to nie pilot.

— No to jak nie wyjeżdżałeś, to siedź na miejscu — poradziłem mu ze złością.

— Co cię ugryzło?

— Przepraszam, nic takiego, tylko wszyscy chcą wyjeżdżać, a ja zostaję.

— Kiedy ci oddadzą licencję? — Jack zrozumiał mnie opacznie.

— To nie o to chodzi — machnąłem ręką. — Nie tęsknię do pracy aż tak bardzo.

— Więc?

— Nie chcę zostać sam.

— Ty wolisz nas zostawiać, a potem uszczęśliwiać swym powrotem? — szukał zacze-

pki.

— Tęskniłeś? — zakpiłem.

— Daj spokój, żal mi So. To była wspaniała dziewczyna.

— Dlaczego „była”?

Machnął ręką. Szliśmy dalej w milczeniu po bezludnych prawie ulicach. Tylko zmarznięty śnieg skrzypiał pod naszymi butami i od czasu do czasu poszczekiwał Marabut, kiedy zakopał się w śniegu aż po kosmate uszy.

Doszliśmy do domu Jacka. Marabut pobiegł na górę przeskakując śmiesznie za wysokie dla niego stopnie. Poszliśmy powoli za nim. Mag przywitała nas w progu, bo pekińczyk zdążył zaanonsować swego pana.

— Poznajesz go, Mag? — zapytał. — Właż! — skinął mi uprzejmie.

Weszliśmy do nagrzanego wnętrza.

— Będzie dzisiaj spał u nas — oznajmił żonie, gdy się z nią witałem.

— Chodźcie, kolacja już dawno czeka. Szliście bardzo powoli.

Po kolacji, w czasie której niewiele rozmawialiśmy, zaprowadził mnie do pokoju. Był to tak zwany pokój dziecinny, gdyż od początku swego małżeństwa czekali na dzieci, które jakoś nie chciały przyjść na świat.

Czułem, że Jack ma do mnie żal, iż nie opowiedziałem im, co się ze mną przez te miesiące działo, ale cóż mogłem powiedzieć? Dla mnie to przecież były tylko dwa dni. Miałem zmyślać? Z pewnością zrobiłbym tak, gdybym był w lepszym nastroju, ale po prostu mi się nie chciało.

— Jack, nie gniewaj się!

— O co miałbym się gniewać?

— Choćby o brak zaufania, przecież ci nic nie wyjaśniłem.

— To są twoje sprawy, pilocie. Będiesz chciał, sam powiesz.

— Nie mogę. Nie mam co, a to trochę, które nadaje się do przekazania, jest zbyt fantastyczne, byś w to uwierzył.

— W porządku. Dobranoc.

— Dobranoc.

Zostałem sam. Rozebrałem się powoli, ułożyłem starannie ubranie i zgasilem światło. Potem zapaliłem nocną lampkę i położyłem się. W blasku tego przyćmionego światła oglądałem zabawki, które Jack i Mag zgromadzili dla swych przyszłych pociech. Poczułem, jak jakiś ogromny żal ściska mnie za serce, jak rodzi się we mnie poczucie winy za to wszystko, co obserwuję w Nemedu. Czułem się odpowiedzialny za ten akt kreacji, w wyniku którego powstało miasto. Bolało mnie, jakbym je stworzył własnymi rękoma. Niczym Bóg, bezsilny wobec swojego ostatecznego dzieła, lałem łzy nad niedolą powołanych do życia istot. Nic nie mogłem im pomóc, byłem tylko biernym obserwatorem i przeżywałem na nowo tę samą rozpacz, bo nie żyłem z nimi, lecz obok nich. Gdy ktoś cierpiał, cierpiałem razem z nim i bardziej jeszcze, bo ja wiedziałem, że ten człowiek cierpi dla mnie, że dla mnie ta złuda, ten miraż, który miał mnie utwierdzić w przekonaniu, że znalazłem się wśród istot sobie podobnych. Przewróciłem się na drugi bok, by tym fizycznym działaniem przerwać ponury tok myśli. Stanowczo nie powinienem pić tyle piwa przy kolacji. Głowę miałem przez to ciężką, a myśli ponure. Na szczęście bardzo chciało mi się spać. Nawet nie wiem, kiedy usnąłem.

BUNT

Gdy w sali nawigacyjnej zgasły ekrany, wszyscy siedzieli jeszcze przez pewien czas nieruchomo, wciąż pod wrażeniem obserwowanych w monitorze wydarzeń. Dopiero Lavue,

narobiwszy hałasu wydobywaniem się z wnętrza telepatora, przywrócił ich do rzeczywistości.

— Podobało się? — zapytał doktor z szelmowskim uśmiechem. Kierując od kilku godzin chronoteleskopem bardziej od innych oswoił się z niezwykłą sytuacją i nie zauważył nastroju obserwatorów, pełnego powagi i skupienia. Poza tym cieszyło go odkrycie, że gdziekolwiek się Rank znajduje, to jednak żyje i jest nadzieja, że jeszcze wróci na statek.

Pierwszy odezwał się Crax.

— Fantastyczne! — wybuchnął z entuzjazmem, nie wiadomo, czy chwając doktora za mistrzowskie kierowanie aparaturą, czy fizyków za jej stworzenie. Może wreszcie miał na myśli samo widowisko? — Zupełnie fantastyczne!

Zdawało się, że po takim wstępie jeszcze coś powie, coś rzeczowego, co mogłoby zapoczątkować dyskusję, ale on umilkł równie niespodziewanie, jak się odezwał. Nie zdziwiło to nawet specjalnie nikogo, bo psycholog znany był ze swej małomówności: wszystko, co miał do zakomunikowania, przekazywał zawsze w zapisie. Z tego powodu niechętnie bywał na zebraniach, a jeśli już jakieś zaszczycił swoją obecnością, to wyłącznie po to, by wysłuchać, co inni mają do powiedzenia. Gdy spory naukowe przybierały na sile, przemieniając się w zwykłe kłótnie, po prostu wychodził.

Lavue wziął jednak okrzyk Craxa do siebie.

— Czuję się zmęczony tak, jakbym przeprowadził kilka poważnych operacji — wyznał skromnie dla podkreślenia własnego wkładu w transmisję.

— Widzieliśmy zaledwie parę kilkudziesięciminutowych odcinków — zabrał głos Petersen. — Trudno na tej podstawie zorientować się w całokształcie wypadków, w których uczestniczy Rank. Mamy zbyt mało danych, by bawić się w jakieś przypuszczenia. Jedno nie ulega wątpliwości: miasto nie jest tworem statycznym i nawet Jimowi sprawia niespodzianki. Gdyśmy je obserwowali wczoraj dla wypróbowania chronoteleskopu, panowała w nim jesień, dziś oglądaliśmy środek zimy, a co będzie jutro?

— Wiosna — zażartował doktor, którego nie opuszczał dobry humor.

Petersen zignorował go.

— Chodzi mi, rzecz prosta, o to, czy możemy miastu zaufać, tak bym to nazwał, i wylądować?

Dorner skrzywił się.

— Kolego Petersen, może tę kwestię zostawimy na sam koniec naszego spotkania. Chciałbym najpierw poznać opinię fachowców na temat tego niecodziennego spektaklu, którego byliśmy świadkami. Interesuje mnie szczególnie opinia psychologów na temat zachowania Ranka. Czy możliwe jest, by tak dalece zidentyfikował się z miastem, że żyje w nim bez trudu i, co gorsza, nie ma zamiaru wrócić na „Strzelca”? Przecież, jeśli on nie jest w stanie tego zrobić, my mu nie możemy pomóc. Może więc kolega Crax wypowie się na ten temat.

Psycholog z wyraźną niechęcią oderwał się od swoich myśli.

— Przedstawię swoje sugestie zwykłą drogą — powiedział i najwidoczniej zamierzał uciec z sali, gdzie jego sprawy brały tak niepomyślny dla niego obrót. Ale Dorner nie dopuścił do tego.

— Sytuacja jest wyjątkowa, więc może i pan uczyni choć raz odstępstwo od swych zasad i zechce przedstawić ustnie swe przemyślenia.

Crax westchnął i z miną wyrażającą, iż cierpi niewinnie, zaczął mówić cicho i niezbyt składnie. Nie był przyzwyczajony do publicznych wystąpień.

— Materiał, który obejrzelśmy, jest zbyt ubogi, bym mógł podać jakieś kategoryczne stwierdzenia. To, co powiem, będzie tylko przypuszczeniem, które może ulec w trakcie dalszych badań weryfikacji. Zacznę od tego, co wiem na pewno. Rank jest pilotem, ma najwyższy spośród nas stopień opanowania w sytuacjach trudnych i niezwykłych, wymagających samozaparciu, wytrwałości i silnej woli. Na tej podstawie pozwolę sobie powiedzieć, iż jest on w stanie zaakceptować istnienie tego miasta i swój w nim pobyt, nie przypłacając tego

szaleństwem. Nawet jeśli jest przekonany o tym, iż dla nas zarówno on sam, jak i miasto są niedostępni, a tak było do tej pory. Zresztą widzieliśmy, że radzi sobie nie najgorzej. Chyba tylko jakiś historyk z ukończoną specjalizacją z dziejów XX wieku mógłby mu dorównać, pod warunkiem posiadania podobnej co i on odporności psychicznej.

Czy Rank nie chce wrócić na „Strzelca”? Tu już wszystko, co powiem, będzie domysłem. Jeśli tylko jego pamięć została zachowana, to twierdzę, że nie. Sądzę, iż tymczasem nie może tego uczynić lub może nawet chwilowo nie chce, mając pewną misję do wypełnienia. Przez słowo „misja” rozumiem tu, że dąży do poznania prawdy o Psimie (bo w jakim innym celu zostałyby tam zwabiony, dla igraszki tylko?) i że nie opłaca mu się, a i nam także, powrót przed zdobyciem tej wiedzy. Ale powtarzam: są to moje bardzo subiektywne wnioski. Materiał jest tak skąpy, iż postępuję jak człowiek, który widząc biegnącego krzyczy: „złodziej”!, choć to może być właśnie ścigający!

Psycholog skończył i wyczerpany tą, jakże długą dla niego przemową opadł na zwolniony przez kogoś fotel.

— No tak — mruknął Dorner. — A co mają do powiedzenia historycy? Czy miasto jest kopią któregoś z dwudziestowiecznych miast ziemskich i czy tam jest wszystko, że tak powiem, w stylu epoki?

Qterbrock i Renaldi poszeptali między sobą, aż ten ostatni zabrał głos:

— Trudno nam w tej chwili powiedzieć coś pewnego. To pytanie raczej dla historyka architektury, ale sądzimy, że miasto w tej postaci, jakie oglądaliśmy, nigdy nie istniało na Ziemi. Co do epoki, to datowałbym je na dwudziesty rok ery kosmicznej i jeśli chodzi o styl, to nie zauważyłem żadnej rażącej niezgodności z tą datą, oprócz posługiwania się jego mieszkańców językiem uniwersum. W okresie, o którym mowa, istniały jeszcze języki narodowe, a nawet regionalne i plemienne.

— A więc znowu nic pewnego — podsumował Dorner. — A co inni mają do powiedzenia?

— Rank posługuje się tam pieniędzmi — zauważył Lavue zwracając się do Qterbrocka. — Czy zidentyfikowałeś je?

— Tak, to były dolary, tak zwane dolary amerykańskie. Jeśli przyjąć, że Psimianie najwięcej wiadomości zaczerpnęli o samym Ranku, to nic w tym dziwnego, pochodzi on bowiem ze Stanów Zjednoczonych. Językiem tego kraju był w tym okresie język angielski i nim powinni posługiwać się mieszkańcy tajemniczego miasta. Być może dla wygody Jima zrezygnowano z tego lub kwestię porozumienia rozwiązano w inny jeszcze sposób.

— Jaki?

— Telepatyczny.

— A my? Jak my to odebraliśmy?

Historyk wzruszył ramionami.

— To nie moja specjalność, podzieliłem się z wami tylko swoimi przypuszczeniami.

— A co na to psionicy?

Savor rozejrzał się po sali i stwierdziwszy, że tylko on reprezentuje swoją sekcję, powiedział:

— Na temat tego, jak my odbieraliśmy treści rozmów, nie mam wyrobionego zdania. Skłaniałbym się do twierdzenia, iż Psimianie znając nasze poczynania, a może je popierając, ułatwili to nam w jakiś sposób. Zdaję sobie sprawę z tego, że za dużo tu jest tych cudowności, tego zwalania każdego niezrozumiałego zjawiska na Psimian bez próby jego zrozumienia i rozwiązania, ale co nam w tej sytuacji pozostaje? Jeśli założyliśmy ich doskonałą wręcz penetrację naszych pamięci i pamięci naszych maszyn, musimy pójść dalej i zgodzić się na to, że, przewyższając nas znacznie stopniem rozwoju, wymykają się niejako naszemu poznaniu. Jest to sytuacja dla nas, ludzi, nad wyraz przykra; poczucie bezsilności jest przytłaczające, gdyż musimy zdać sobie sprawę z tego, że bez dobrej woli ze strony Psimy nie jesteśmy w

stanie jej zbadać, w interesującym nas wymiarze, oczywiście. W tym aspekcie zakończoną sukcesem budowę chronoteleskopu uważam za kapitalne osiągnięcie naszego zespołu. Co do kontaktów, jak przypuszczamy telepatycznych, Ranka z mieszkańcami miasta, to musimy zdać sobie wszyscy sprawę z tego, że telepatia nie jest obarczona słownym szyfrowaniem pojęć, nie służy więc jedynie do szybszego porozumiewania się w obrębie jednego języka, ale jest uniwersalna, jak sędzę, dla całego kosmosu.

Zapadło milczenie. Każdy w duszy rozważał gorzkie słowa Savora przyznając mu rację. Nie było łatwo przyznać się do porażki. Ludzie są dumni.

— Nie załamujmy rąk, kochani — usiłował rozładować sytuację doktor. — Jeszcze przed nami wiele pracy, poza tym mieliśmy się zastanowić nad kwestii lądowania.

Doktor dobrze mierzył i trafił w sedno. Wszyscy się ożywili na dźwięk słowa „lądowanie”. Zdawać się mogło, że nie tyle przeszkadza im głoszona przed chwilą poznawcza impotencja, co raczej zwykła, ludzka beczyność, zzerająca tych nie przyzwyczajonych do niej ludzi.

— To już jest zbyt wiele — odezwał się za Dornerem jakiś głos.

Wszyscy zwrócili się żywo w tamtą stronę. Na ekranie łączności wewnętrznej widniała twarz geologa Switta.

— To już zbyt wiele — powtórzył. — Komandorze — powiedział zwracając się bezpośrednio do Dornera — na czas nieokreślony został pan pozbawiony władzy, którą przejęła grupa naukowców ze mną na czele. Opanowaliśmy sterownię, Garth i Blash są w naszej mocy i w tej chwili czynią przygotowania do zejścia z orbity. Będziemy lądować.

Podczas tej przemowy Dorner poderwał się raptownie i stał tak, poblady, nachylając się nad komunikatorem, jakby lepiej chciał się przyjrzeć geologowi. Spodziewano się, że jak zwykle zareaguje gwałtownym wybuchem, ale tu dopiero się okazało, że Dorner został dowódcą statku nie przez przypadek ani protekcję.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego — zwrócił się do Switta, gdy ten skończył mówić — czym grozi podobna niesubordynacja w czasie, gdy obowiązuje 32 paragraf? Czy wiesz, że resztę naszej wyprawy możesz spędzić ty i twoja banda w hibernacji aż do chwili, gdy na Ziemi staniecie przed sądem?

Geolog nie dał się przestraszyć. Podejmując się rozmowy z dowódcą, musiał być na coś takiego przygotowany.

— Ziemia daleko, a czas może przyznać rację nam, a nie tobie!

— Zapominasz o tym, że ten sam paragraf pozwala użyć mi wszelkich, słyszysz?, wszelkich środków, w celu zaprowadzenia ładunku na pokładzie, a więc także użycia broni! I użyję jej, jeśli natychmiast się nie poddadacie.

Tym razem Switt wyglądał już nieco mniej pewnie, ale nie dawał tego poznać po sobie.

— My nie będziemy się bronić. Zamknęliśmy się w sterowni blokując wszystkie przejścia. Jeśli chcecie, możecie atakować!

— O tym ja zadecyduję — powiedział Dorner z nieoczekiwaną godnością. — Chcę rozmawiać z Blashem albo Garthem — dodał.

— Niestety, to niemożliwe. Zajęci są przygotowaniem statku do lądowania.

Ekran zgasł raptownie i łączność została zerwana pomimo kilkakrotnych wezwań komandora.

— To szalenie! — powiedział, tocząc po zebranych zdumionym wzrokiem. — Na co on liczy?

Nikt się nie odezwał, dopiero Crax poruszył się i wbrew swoim zwyczajom powiedział:

— To nie szalenie. Nie brał pan pod uwagę, komandorze, opozycji, a ta od chwili wprowadzenia stanu wyjątkowego znacznie wzrosła. My, naukowcy, nie lubimy, jak się nami w ten sposób kieruje. Z tym, że jedni poddają się temu uznając słuszność, jeśli nie środków, to przede wszystkim celów, inni uważają, że ogranicza się ich wolność i sam pan widział, co z

tego wyniku. Obejrzeni na ekranach komunikatorów to, co i my, i są przekonani, że na Psimie nikomu nic nie grozi. Więc będą lądować.

— A Blash i Garth? Są z nimi w zмовie?

— Nie sędzę. Raczej zostali odurzeni jakimś narkotykiem lub zahipnotyzowani i robią, co się im każe. Bardziej od tego interesuje mnie, jak w ogóle Swittowi udało się dostać do sterowni strzeżonej przez automaty?

Dorner zrozumiał. Zerwał się i skoczył do pulpitu.

— Komputer! Kto programował automaty? — ryknął do mikrofonu.

— Inżynier McSteve.

— Łączyć!

— Nie ma łączności. McSteve znajduje się w sterowni.

Dorner usiadł zniechęcony.

— Mają i jego!

— Może Sam na to przystał? — zapytał doktor.

Komandor wzruszył ramionami — to nie było najważniejsze.

— To im się nie może udać — powiedział uderzając się w czoło. — Reszta automatów działa, mamy łączność z komputerem i dostęp do siłowni. Jak oni sobie to wyobrażają?

— Na to, by sprowadzić „Strzelca” na planetę, potrzeba trzy kwadransy. Do tego czasu możemy nie zdążyć im przeszkodzić. A potem, gdy już usiądziemy i nic się nie stanie, będą mieli za sobą większość i nic pan nie będzie mógł zrobić; najwyżej czekać na powrót na Ziemię!

— Wyślę ich wszystkich do hibernatora!

Psycholog skinął głową.

— Owszem, może pan to zrobić, ale ilu ich jest? Pięciu, dziesięciu? A reszta będzie chciała zostać i rozpocząć badania, wszak nie każe pan startować, gdy nic groźnego nie zajdzie. W tej sytuacji zamknięcie ich będzie zwykłą głupotą lub zemstą.

— Mówi pan tak, jakby pan był ich adwokatem! — zdenerwował się Dorner. — Czy tylko dlatego, że może im się udać, mają być bezkarni?

— Od karania jest NIK, a nie dowódca!

— Ale dowódca może podjąć środki prewencyjne. I ja to zrobię!

Podszedł do pulpitu i zastanawiał się przez chwilę.

— Naczelny Automat — powiedział, a gdy błysnęło światelko zgłoszenia, kontynuował: — Mówi dowódca. Rozkazuję zaprzestać wykonywania wszystkich dotychczasowych poleceń nie pochodzących ode mnie. — Odczekał chwilę, a otrzymawszy potwierdzenie, zdecydował: — Wszystkie automaty wykonawcze od tej chwili podlegają tylko mnie. Rozkazuję szturm na sterownię! Do torowania sobie drogi używać wyłącznie urządzeń mechanicznych. W razie oporu znajdujących się w sterowni ludzi wolno użyć tylko miotaczy neuronowych. Rozkaz drugi. Polecam demontaż środków łączności pomiędzy siłownią i sterownią na trzecim poziomie. Jednocześnie nakazuję zablokowanie wszystkich ciągów komunikacyjnych wiodących do śluz i siłowni. Automaty mają strzelać z miotaczy bez uprzedzenia do każdego, kto się zbliży. Ogłaszam CZERWONY ALARM dla załogi. Wzywam dziesięć automatów do nawigatorni i ogłaszam ciszę radiową na pokładzie. Skończyłem.

Na statku zawyły syreny. Przez ich ryk słychać było tupot biegnących korytarzami automatów. Czerwone światła błyskały złowrogo na ich tarczach piersiowych. Dziesięciu czarnych kirasjerów wpadło do sali z odbezpieczonymi miotaczami i zajęło miejsca wokół Dornera. To już nie były żarty, komandor szedł na całego wykorzystując pełnię swej władzy. Zapadło milczenie, przerywane tylko cykaniem i szumami aparatury. Po piętnastu minutach odezwał się Główny Automat.

— Łączność między sterownią i siłownią przerwana — zameldował swym beznamiętnym tonem. — Czy są dalsze rozkazy?

Przerwanie łączności świadczyło o tym, że na rozkaz ze sterowni zespoły wykonawcze nie były w stanie uruchomić silników „Strzelca”. Jego zejście z orbity stało się niemożliwością.

Dorner odetchnął z ulgą.

— Nie, automaty niech pozostaną na swoich miejscach!

Komandor prawie już wygrał. Zyskał czas potrzebny na to, żeby posługując się mechanicznymi urządzeniami, a więc działając o wiele wolniej niż przy użyciu promienników czy środków wybuchowych, automaty mogły dotrzeć do sterowni. Po półgodzinie nadszedł kolejny meldunek od GA, że automaty dotarły już do wind i z powodu ich unieruchomienia posuwają się ścianami szybów do góry. Niemal w tej samej chwili, gdy umilkł Główny, na ekranie komunikatora ukazała się twarz Switta. Nie był już tak buńczuczny jak przed godziną.

— Komandorze! Nie możemy wystartować. Żądam przywrócenia łączności — powiedział siląc się na groźny ton.

— Nic z tego — odparł Dorner niemal wesoło. — Za chwilę będziemy was mieli. Wszystkich zapuszczuję, co do jednego! Chyba że natychmiast opuścicie sterownię.

— Nie — odrzekł twardo geolog. — Możemy postawić pole siłowe i automaty nie przejdą się!

— A macie co jeść i pić? — zatroskał się Dorner. — Bo oblężenie może potrwać długo.

Switt przez chwilę szukał stosownej odpowiedzi, ale nie znalazłszy jej, wyłączył aparaturę. Po chwili znów się zgłosił.

— Porozumiałem się z kolegami — powiedział już zupełnie normalnie. — Wychodzimy, tylko niech automaty nie strzelają.

— Zrobione.

Po kilkunastu minutach pod eskortą robotów znaleźli się w sterowni. Wyglądali na lekko zawstydzonych powstała sytuacją. Komandor zlustrował ich dokładnie. Było ich sześciu: Switt, jeszcze jeden geolog, dwóch archeologów, chemik i McSteve. Blashem i Garthem zajęli się Crax pospołu z Lavue'em przywracając ich do przytomności.

— McSteve — powiedział Dorner — dla pana lot się już zakończył. Dalszą podróż odbędzie pan w komorze przetrwalnikowej, by w dobrej formie mógł pan stanąć przed sądem. Reszta może wrócić do swych zajęć, choć odpowiedni raport na wasz temat dołączę do danych inżyniera. A w ogóle — uśmiechnął się szelmowsko — to podjąłem decyzję lądowania. Za tydzień siadamy obok Morza Cudów!

PROFESOR MAGER

Obudziłem się w podłym nastroju, bezzasadne poczucie winy za wszystko, co dzieje się w mieście, nadal mnie dręczyło, nie dając zepchnąć się w niepamięć. Choć rozum mówił mi, że to bzdura obarczać się odpowiedzialnością za kaprys Psimian, któremu Nemedi i jego mieszkańcy zawdzięczali powstanie i życie, cokolwiek by owo życie znaczyło. Irracjonalnie jednak czułem, iż, podobnie jak cała załoga „Strzelca”, zawiniłem tym, że w ogóle tu przybyliśmy. Nadchodzący dzień miał mnie wystawić na niejedną jeszcze próbę dotyczącą tego dylematu. Zaczęło się zaraz przy śniadaniu. Zdaje się, że to nawet ja sam spowodowałem jakimś nieostrożnym, a nawet i niedelikatnym odezwaniem się całą tę nieprzyjemną dla nas wszystkich rozmowę. Powiedziałem coś na temat ich przyszłych dzieci. Mag, która podnosiła właśnie do ust filiżankę z kakao, odstawiła ją gwałtownie i wpatrzyła się we mnie uważnie. Jack też znieruchomiał. Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie, jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie i przedwcześnie. Mag patrząc na mnie, jakby mnie pierwszy raz w życiu widziała, powiedziała nagle:

— A może ty byś nam pomógł, Jim?

— Chętnie, ale jak? — powiedziałem prawie równocześnie z Jackiem, który zaprotestował: — Daj spokój, Mag, on sam jest w opałach.

— Ach, tak — Mag oklapła wewnątrz.

— Ale o co chodzi? — zapytałem. — To, że nie mam gdzie mieszkać, nie świadczy o tym, że już nic nie potrafię zrobić dla przyjaciół!

Oczy Mag zajaśniały nadzieją.

— Powiedzieć mu?

Jack wzruszył ramionami.

— Rób, jak chcesz.

— Powiem — zdecydowała Mag. — Widzisz, Jim, byłam u nowego lekarza... Bardzo drogiego — podjęła po chwili wahania. — I ten lekarz daje pewne nadzieje na to, że będę mogła mieć dzieci. Ale leczenie, jak się zapewne już domyślasz, jest bardzo, bardzo kosztowne. On stosuje jakąś nową, dopiero niedawno wynalezioną metodę. I za nią trzeba płacić. A my nie mamy tyle pieniędzy.

— Ile? — zapytałem. — Ile potrzebujecie?

— Dwanaście tysięcy — powiedział Jack wymieniając z Mag zakłopotane spojrzenia.

— Mamy już trzy. Wszystko razem kosztuje piętnaście.

— A więc tak naprawdę to potrzebujecie właśnie piętnastu, co? Bo przecież musicie z czegoś żyć i prowadzić interes.

— Tak — westchnął Jack — najlepiej byłoby piętnaście.

Przypomniałem sobie pieniądze, które wczoraj tak wspaniałomyślnie podarowałem Korze. Mnie nie były potrzebne, a o przyjaciółkach nawet nie pomyślałem. Głupiec ze mnie. Jak teraz wy dostać tę forszę? Postanowiłem, że choćbym miał ukraść, to dam ją Mag.

— Dobrze — uśmiechnąłem się — zobaczę, co się da zrobić. Ale po południu, bo teraz mam ważne spotkanie.

Mag wstała od stołu i zaczęła zbierać nakrycia. Oczy miała wilgotne.

— Dziękuję ci, Jim.

— Nie trzeba, Mag, nie trzeba, przecież nic jeszcze nie załatwiłem.

Oparła swoją dłoń na mojej.

— Wierzę ci, Jim, po prostu ci wierzę.

Wyszła do kuchni, a my zostaliśmy przy pustym stole.

— Pójdę już — powiedziałem. — Im wcześniej wyjdę, tym szybciej wrócę.

Zacząłem się ubierać i pakować swoją torbę. Jack obserwował mnie spod oka, ale nie mówił. Dopiero, gdy już miałem wychodzić i chciałem się pożegnać z Mag, powiedział:

— Nie wchodź do kuchni, lepiej niech będzie teraz sama.

Kiwnąłem głową i ruszyłem do drzwi. Zatrzymał mnie w przedpokoju.

— Słuchaj, Jim — powiedział w zakłopotaniu nie patrząc mi w oczy. — Jak chcesz, bym oddał ci te pieniądze?

— Wcale nie chcę, po prostu je wam dam i koniec. Jeśli powiesz, że nie przyjmiesz — powiedziałem szybko, widząc, że usiłuje zaprotestować — to w ogóle nic nie załatwię. Zgoda? — wyciągnąłem do niego rękę.

— Jesteś naprawdę dziwnym facetem, Jim — powiedział. — Czy jednak możesz tak od razu zdobyć tyle forsy? Widzę, że nie najlepiej stoją twoje akcje i nie chciałbym, by Mag się zawiodła.

— Miałem je wczoraj w rękę i gdybym wiedział, że są wam potrzebne, już bym ich nie wypuścił. Ale jeszcze nie wszystko stracone. Trzymajcie się!

Zamknąłem za sobą drzwi i zbiegając po schodach czułem, jak topnieje mi w dłoni jego silny uścisk. Na dole mróz chwycił mnie w swoje szpony, zdawało się, że od wczoraj jeszcze przybrał na sile i choć wiatru już nie było, dawał się mocno we znaki. Ruch był niewielki,

ludzie nie mieli ochoty wychodzić z ciepłych domów, po ulicach jeździły pługi wirnikowe obsypując odrzucanym z jezdni śniegiem nielicznych przechodniów. Pojazdy, które z jakiejś tam przyczyny znalazły się w ruchu, poruszały się nad wyraz ostrożnie i powoli. W mroźnym powietrzu dźwięki niosły się daleko i słychać było doskonale wszystkie odgłosy budzącego się miasta, wśród których niepodzielnie królowało dzwonienie baniek na mleko.

Dzień dopiero wstawał, było ciemno i pochmurno, jakby noc jeszcze nie zdecydowała się ustąpić pola światłu. Ale powoli kończyło się jej panowanie; gasły uliczne latarnie i tylko okna mieszkań i niżej pod nimi znajdujących się wystaw sklepowych były jasno oświetlone. Pomimo aż wyszedłem od Jacka z postanowieniem, żeby zobaczyć się z profesorem, nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać. Mogłem znaleźć jego adres w książce telefonicznej i próbować się z nim umówić w domu lub też, co wydawało mi się więcej prawdopodobne, postarać się odnaleźć go na uniwersytecie. Gdy już zdecydowałem się prawie na to drugie rozwiązanie, przyszło mi nagle do głowy, że potrzebne informacje mógłbym otrzymać od So, gdybym się tylko odważył ją odwiedzić. Załatwiłbym w ten sposób dwie sprawy za jednym zamachem.

Chciałem widzieć się z So, a jednocześnie bałem się tego. Dla mnie od chwili rozstania minęły ledwo dwa dni, dla niej bez mała trzy miesiące. To, co mnie wydawało się tylko krótkim niewidzeniem, dla niej było długą, i bolesną, dodałem w myśli — rozłąką.

Jakoś nie mogłem podjąć decyzji, biłem się z myślami, a jednocześnie zmierzałem wyraźnie w stronę domu, w którym mieszkały panie Kriegg. Wreszcie stałem już na chodniku pod bramą, nadal nie wiedząc, czy odejść, czy zostać. Tym razem okno było zamknięte i nie mogłem liczyć na to, że w środku zimy jakiś kwiatek spadnie z parapetu, choćby i na moją głowę. Popatrzyłem w górę. W obu oknach świeciło się. Przecież przyrzekłem, że wrócę — przypomniałem sobie i szybko wszedłem do bramy. Gnałem na górę po dwa stopnie, jakbym się bał, że mogę się jeszcze rozmyślić. Zdyszany zatrzymałem się przed drzwiami i nie pozwalając sobie na dalsze rozważania nacisnąłem dzwonek.

Cisza. Po chwili usłyszałem szuranie w przedpokoju i drzwi uchyliły się, ukazując matkę So w różowym szlafroku narzuconym na nocną bieliznę.

— Pan do kogo? — spytała, nie poznając mnie.

Zawahałem się. Może należałoby skłamać, korzystając z tego, że mnie już nie pamięta, i uciec?

Odetchnąłem głębiej.

— To ja, Jim — powiedziałem zdejmując z głowy futrzaną czapę, która zasłaniała mi pół twarzy. — Chciałem widzieć się z So.

— Jim? — wyszeptała ze zdumieniem. Oczy jej na chwilę rozblęły i otworzyła usta, jakby chciała dalej coś mówić, ale zrezygnowała. Wpuściła mnie do przedpokoju. — Rozbierz się, u mnie jest gorąco.

Posłusznie zrobiłem wszystko, czego ode mnie żądała.

— Siadaj — powiedziała wskazując miejsce przy stole. — Zaczekaj chwilę, aż się ubiorę.

Siadłem. Nadal się nie odzywałem. Czekałem tak jak pierwszego dnia, na tym samym miejscu, które znaczyło się ciemną plamą na fornirze stołu. Wtedy czekałem, aż So przygotuje herbatę i zastanawiałem się, co to takiego jest. Dzisiaj wiedziałem już, co to jest herbata, poznałem wiele innych rzeczy, ale nie byłem przez to szczęśliwszy. Gdyby to było możliwe, zamieniłbym dzień dzisiejszy na tamten sprzed pół roku, nawet gdybym nie wiedział, co mnie czeka. A może właśnie dlatego, iż czułem, że dzisiejszy dzień jest dla mnie ostatnim w tym mieście. Nie wiedziałem, skąd bierze się we mnie ta pewność, ale była tak niezbita, że aż mnie samego to zdumiewało. Tamten dzień wszystko zaczynał, był obietnicą wielu możliwości. Dzisiaj po wybraniu przeze mnie jednej z możliwych dróg dobijałem do portu, mając wszystko za sobą. Przedemną była już tylko Ziemia.

Pani Kriegg przerwała swym wejściem dalsze rozważania. Była już ubrana i umalowana, ale smutna. Widocznie mój widok poruszył jakąś bolesną strunę w jej duszy. Bo tego, że So nie zobaczę, byłem już pewny.

— Zjesz coś, Jim?

— Dziękuję, jadłem. Chciałbym przede wszystkim dowiedzieć się, co jest z So?

Popatrzyła na mnie z rozpaczą.

— Dlaczego odszedłeś, Jim, dlaczego? — wybuchnęła nagle głośno i tak samo nagle zamilkła, jakby w tym okrzyku wyczerpała całą swoją, zbieraną miesiącami, rozpacz albo jakby ta rozpacz była tak wielka, że nie sposób jej było wyrazić słowami.

Nie odzywałem się, bo i cóż mogłem powiedzieć?

Jednak ona nie czekała na moje słowa. Zaczęła mówić cicho i szybko, co chwilę ocierając płynące z oczu łzy. Rozmazała sobie tusz, ale nie zwracała na to uwagi.

— Odkąd odszedłeś, So zmieniła się nie do poznania. To nie była już ta sama dziewczyna, co dawniej. Smutna, zgaszona, płacząca i ponura. Żal mi było na nią patrzeć. Z początku myślałam, że jej to przejdzie i nic zwracałam na to specjalnej uwagi. Już przedtem, gdy zerwała z jakimś chłopcem, to rozpaczała najwyżej dwa — trzy dni, a potem była wesola jak dawniej. Ale teraz zachowywała się jak bohaterka tragedii. Po tygodniu zaczęłam się niepokoić, bo stany smutku i przygnębienia nie tylko jej nie opuszczały, ale, wprost przeciwnie, nasilały się. Całymi godzinami siedziała zamknięta w swoim pokoju. Nic nie robiła, patrzyła tylko martwo w jeden punkt przestrzeni, nie reagując nawet na moje słowa. Nie płakała już wcale, ale to było jeszcze gorsze niż ten płacz; wiadomo, w płaczu można się wyładować, czasami przynosi to ulgę. Wreszcie zaczęłam nalegać na to, by ze mną porozmawiała. Prosiłam ją tak długo, że chyba dla świętego spokoju zgodziła się. W tym czasie już nigdzie nie wychodziła i bardzo źle wyglądała. Mimo moich wysiłków powiedziała mi niewiele ponad to, co sama widziałam, czyli, że jest nieszczęśliwa. Ponieważ byłam bezsilna wobec jej smutku, zaproponowałam jej to, co zwykły robić matki w takiej sytuacji, a mianowicie wyjazd. Mamy rodzinę w Endzie, nie korespondujemy ze sobą co prawda, ale wiedziałam, że przyjmą So z otwartymi ramionami. So najpierw nie chciała o tym słyszeć, aż nagle zmieniła zamiar i z chorobliwym wręcz pośpiechem zaczęła się przygotowywać do podróży. Zupełnie jakby miała zamiar opuścić Nemedę zaraz po wstaniu od stołu. Tak gwałtowna zmiana jej postanowienia zdumiała mnie i zaniepokoiła do tego stopnia, że wbrew uprzednim moim sugestiom zaczęłam hamować jej zapał, a nawet niemal odradzać jej ten wyjazd. Role się odwróciły. Jednak So, której nie opuścił już chorobliwy nastrój, postawiła na swoim. Pełna najgorszych obaw odprowadziłam ją na dworzec i wsadziłam do pociągu. Przyrzekła mi oczywiście, że napisze od razu po przybyciu na miejsce, ale chociaż to było już dwa tygodnie temu, nie otrzymałam żadnej odpowiedzi i jestem bardzo niespokojna. Wybieram się sama, tylko muszę załatwić urlop. I to wszystko.

Chciałem powiedzieć, żeby tego nie robiła, ale ugryzłem się w język. I tak niczego tu nie zmienię.

— A może ty, Jim, mógłbyś do niej jechać — matka popatrzyła na mnie prosząco. — Skoro wrócisz, to może...

Nie było sensu jej tłumaczyć, że żaden End nie istnieje.

— Pojadę jutro — skłamałem szybko, łapiąc się na tym, że wobec mieszkańców miasta zachowuję się jak krewny wobec chorego na raka. Wszystkich usiłowałem utrzymać w ich błędnych przekonaniach, dla ich rzekomego dobra. Bez względu na to, czy byli takimi samymi ludźmi jak ja, czy też robotami naładowanymi informacją, nie mogłem się zdobyć na zadanie im bólu.

— Pojedziesz? — pani Kriegg złapała mnie gwałtownie za rękaw.

Zapłakała, tym razem z radości.

Skinąłem głową, bo nie mogłem się zdobyć na jeszcze jedno kłamstwo popełnione z

premedytacją. Kłamać nawet w dobrej intencji było bardzo ciężko. Postanowiłem się pożegnać, choć matka So usiłowała mnie zatrzymać na wszelkie możliwe sposoby.

Gdy już stałem w drzwiach, zapytałem, czy nie zna adresu profesora Magera. Nie знаła go. Na ulicy znów ogarnęło mnie nagłe zniechęcenie. Wszystko, co sobie na dzisiaj zaplanowałem, a więc spotkanie z Magerem i zdobyciem pieniędzy dla Mag, wydało mi się naraz czymś zupełnie niewartym zachodu. Nie rozumiałem, jak mogłem jeszcze przed chwilą dążyć do zrealizowania tych spraw. Ale nie uszedłem nawet stu kroków, gdy już znowu byłem zdecydowany doprowadzić do końca wszystko, co sobie postanowiłem.

Zaniepokoiły mnie huśtawki mojego nastroju; nigdy dotąd podobne odczucia mnie nie nawiedzały. Niczym igła kompasu w burzy magnetycznej zwracałem się to w jedną, to w drugą stronę, nierzadko o sto osiemdziesiąt stopni, będąc przekonany za każdym razem, że teraz to już na pewno wskazuję właściwy kierunek. Lecz kręciłem się tylko w koło i zdawałem sobie sprawę z tego, że należy jak najprędzej przerwać ten diabelny krąg.

Przyśpieszyłem kroku, a potem nawet zacząłem biec, sam nie wiedząc dokąd. Przechodnie oglądali się za mną, ale bieg miał tę dobrą stronę, że pozwalał mi się skoncentrować na tak przyziemnej sprawie, jak to, żeby nie upaść na śliskim chodniku. Ani się spostrzegłem, jak nogi same zaniósły mnie do wejścia metra. W poczekalni odszukałem kabinę telefoniczną. Szczęściem była w niej książka telefoniczna Nameda w stanie mniej więcej kompletnym. Zamknąłem się w kabinie i zacząłem nerwowo szukać numeru telefonu i adresu profesora. Mieszkał przy placu Arystotelesa. Poszukałem w portmonetce żetonu i zadzwoniłem. Nie czekałem długo. Zaledwie dwa razy odezwał się sygnał, gdy podniesiono słuchawkę.

— To pan, Rank? — rozległ się głos po drugiej stronie.

Już miałem odpowiedzieć, gdy niespodziewanie dla samego siebie, i zapewne dla Magera, odłożyłem słuchawkę. Postąłem chwilę w budce i nagle, gdy już miałem wyjść, zadzwonił w niej telefon. Machinalnie podniosłem słuchawkę.

— Niech się pan nie wygłupia, Rank. Wiem, że to pan i wiem, czego pan chce. Słyszysz pan? Niech pan przyjeżdża! Czekam u siebie.

Brzęknęła odłożona słuchawka i w telefonie zaległa cisza.

— Przyjadę — powiedziałem ni to do siebie, ni to do martwego już telefonu, i oderwałem słuchawkę od ucha. Powiesiłem ją na widelkach i wyszedłem z kabiny. Poszedłem na peron, akurat nadjechały jaskrawo pomalowane wagony Czerwonej Obwodnicy. Wsiadłem. Drzwi zamknęły się z sykiem i metro ruszyło. Oparłem się o drzwi, przyciskając czoło do chłodnej szyby. Nie myślałem o niczym. Odczuwałem tylko żal, że oto zbliża się koniec. Koniec wszystkiego: miasta, mojego w nim pobytu, tajemnicy... Za szybą przelatywały kolejne stacje, metro wpadało z ich złotego blasku w nieprzenikloną, czarną czeluść tuneli z monotonnym kołtysaniem się całego składu.

— Plac Arystotelesa — oznajmił głośnik.

Wysiadłem. Nigdzie się nie śpieszyłem, nieuchronność tego, co mnie czekało, odbierała mi chęć działania. Ruchome schody wyniosły mnie na powierzchnię. Ruszyłem spacerkiem dookoła placu. Poszukałem w swojej nieodłącznej torbie papierosów i wyjąwszy je, zapaliłem, choć przez cały czas pobytu w Nameda starałem się tego nie robić. Obszedłem plac chyba ze trzy razy. Przyglądałem się zniszczonym fasadom domów. To była stara dzielnica, ze swymi wąskimi, krótkimi uliczkami zupełnie różna od nowoczesnego centrum. Odnalazłem dom Magera; stara secesyjna kamienica wznosiła się na pięć pięter. Usiłowałem sobie wyobrazić, które z okien może być oknem jego gabinetu. W pewnym momencie zauważyłem, że zza firanki na drugim piętrze ktoś mnie obserwuje. Pewnie sam Mager. Nie dałem poznać po sobie, że cokolwiek zauważyłem i rozpocząłem obchód po raz czwarty, postanowiwszy sobie w duchu, że zarazem ostatni. Gdy znów znalazłem się pod numerem trzydziestym, zdecydowanym krokiem wszedłem do wyłożonej starym, spękany marmurem sieni. Kręte schody o wytartej, aż świecącej drewnianej poręczy, zamocowanej na metalowej, przeżartej

rdzą balustradzie, zaprowadziły mnie na drugie piętro. Przed staroświeckimi, pełnymi rzeźbionymi drzwiami zawahałem się powtórnie. Czułem, że profesor wie o mojej obecności i czeka. Rzeczywiście, drzwi otworzyły się z podejrzaną szybkością, ledwie tylko dotknąłem dzwonnika. Zupełnie jakby Mager stał za nimi w wielkim, ciemnym i przeładowanym szafami przedpokoju. Całe jego mieszkanie było wypełnione tym trudnym do zdefiniowania zapachem, który nieodparcie przywodzi na myśl biblioteczne księgozbiory. Konglomerat zapachów starego papieru, kurzu, tuszu i czasu. I jeszcze wosk. Podłogi w mieszkaniu były starannie wywoskowane, profesor wskazał mi dłonią sukna, na których miałem się poruszać. Usłuchałem bez sprzeciwu. Od chwili mojego wejścia nie zamieniliśmy jeszcze ani słowa. Cisza panowała wprost niezwykła, dopiero po pewnej chwili uchwyciłem brzęczenie szkła w odległym pomieszczeniu, prawdopodobnie kuchni. Weszliśmy, a raczej wślizgaliśmy się do gabinetu profesora; jak mogłem się spodziewać, całe ściany, z wyjątkiem okna, zastawione były półkami pełnymi książek, manuskryptów i kserograficznych odbitek. Okno wyglądało tu jak głęboka czeluść, gdyż półki otaczały je ze wszystkich stron, nawet od góry. Z tego to właśnie pomieszczenia rozchodził się na całe mieszkanie ów biblioteczny zaduch, walcząc o lepsze z wonią płynącą z kuchni. Tej ostatniej profesor zdawał się nie zauważać.

Siadł za ogromnym, ciężkim biurkiem i wspierając brodę na dłoni, wpatrywał się we mnie uparcie. Zająłem miejsce po drugiej stronie szacownego mebla, na równie starym, co niewygodnym krześle z wysokim, rzeźbionym oparciem. Profesor nadal nic nie mówił. Ja też. Bogiem a prawdą, nie wiedziałem, co mógłbym powiedzieć, żeby nie zabrzmiało banalnie. Trud wymyślenia czegoś stosownego pozostawiłem Magerowi, którego rozumne, ciemne, głęboko osadzone oczy zdawały się emanować jakąś wewnętrzną mądrością.

Przyjrzałem mu się uważnie, tak jak on mnie. Był ubrany po domowemu w szare, wypchane na kolanach spodnie i znoszoną brązową bonzurkę, w której gdzieś błyskały złote nitki, pamiętające jeszcze czasy świetności tego stroju. Spod bonzurki wyglądała również popielata jak spodnie bawełniana koszula. Twarz, czego nie dostrzegłem w restauracji, miał pooraną zmarszczkami. W pewnym stopniu przypominał mi doktora Lavue'a, co nie znaczy, że był choć trochę do niego podobny. Raczej ja chciałem go takim widzieć, bo przez to budził moją, niczym jeszcze nie uzasadnioną, sympatię. Zdawał się o tym wiedzieć, ponieważ nagle uśmiechnął się samymi oczami, które wyraźnie poweselały. W jego twarzy żywe były tylko oczy, usta nawet, gdy potem zaczął mówić, służyły tylko do artykułowania dźwięków. Poza tym były martwe.

Mierzyliśmy się nadal wzrokiem, ale nie jak przeciwnicy, raczej jak rozumiejący się przyjaciele. W obu nas wzrastało jakieś wewnętrzne zadowolenie, że będziemy ze sobą rozmawiać.

— Co pan wie? — zapytał Mager.

Było to powiedziane tak cicho i tak niespodziewanie, bo nadal nie przestał się uśmiechać i nawet nie otworzył ust, iż w pierwszym momencie myślałem, że się przesłyszałem. Ale potem zrozumiałem, że już się zaczęło... i rozpocząłem chaotyczną opowieść. Spieszyłem się, jakbym się bał, że wszystkiego nie zdążę przekazać. Ponieważ nie mogłem wyselekcjonować tego, co najważniejsze, zacząłem od snu na „Strzelcu”, co chwilę plątałem się, wracałem, robiłem dygresje, aż doznałem, cały spocony, do rozmowy z matką So dzisiejszego rana i umilkłem nagle w pół słowa. Spojrzałem na profesora i zrozumiałem, że plotę bzdury, że każdy mój krok jest mu znany do najdrobniejszych szczegółów, że zamiast powiedzieć, czego dowiedziałem się lub raczej domyśliłem o Psimie, zanudzam go swym życiorysem.

— Co pan wie! — powtórzył, ale nie jak pytanie. Zabrzmiało to jak rezygnacja.

Więc znowu opowiadałem o przesunięciu w czasie, o zlepku dzielnic, o psychopolimerze, o So, o podróży pociągiem, o tym, że miasto to jedynie dekoracja i o innych podobnych przypuszczeniach, ale zdania, nim je wypowiedziałem, wydawały mi się płaskie i głupie, rozlażyły się w ustach, gubiły gdzieś sens i treść i gdy dochodziły do jego ucha, były już tylko

luźno powiązanych szeregiem słów. I niczym więcej.

Mager popatrzył na mnie spokojnie, z cierpliwością starego belfra, którym w istocie był w mieście i który wie, że musi wysłuchać wielu bzdur swego ucznia, nim ten powie wreszcie coś na temat. Pokiwał głową, gdy skończyłem, i stwierdził:

— To wcale nie jest tak.

Milczałem. Nagle zaczęło mi być wszystko jedno. Daleko bardziej dokuczało mi niewygodne krzesło niż cała Psima i jeszcze trochę próżni wokół niej na dodatek. Wyładowałem się. Patrzyłem na profesora bezmyślnie, zadowolony, że teraz jego kolej, że zrobiłem, co do mnie należało, a teraz on się będzie męczyć, wyprowadzać naszą rozmowę na czyste wody. Myliłem się jednak, ja też miałem brać w tym udział.

— Czy jest pan pewien, że się pan ruszył chociaż o krok z Ziemi?

Wybałuszyłem na niego oczy, a serce powoli zaczęło mi podjeżdżać do gardła.

— Czy potrafi pan udowodnić, że jest pan na Psimie, o dwanaście lat świetlnych od Słońca? — ciągnął dalej, nie zważając na moje wzburzenie.

Zastanowiłem się. Nie mogłem tego udowodnić. Wystarczyło bowiem, by zaraz po uśpieniu załogi podłączono nasze mózgi w obwody symulatorów, byśmy śnili już nieprzerwanie nasz sen Alicji w krainie czarów, a wszelkie duchowe rozterki, umysłowe erupcje, myśli i rozkosze zależały tylko od jednego drgnienia ręki obsługującego tę aparaturę technika. Dylematu, czy to „jawa”, czy „sen”, nie udałoby się rozwikłać „od wewnątrz”. Dopiero świadome działanie czy też awaria symulatora mogłaby nas przywrócić rzeczywistemu życiu. Zaczęło mi się to wydawać coraz bardziej prawdopodobne, wszak i Mager obecnie mógłby być jakąś częścią takiego programu, zestawem dziurek na taśmie perforowanej, który przed planowanym przebudzeniem miał mnie przygotować do tego faktu. Może profesor miał mnie uchronić przed nieuniknionym w takim wypadku szokiem. A jeśli mnie przygotowuje Mager, postać ze „snu”, to kto z podobnym przesłaniem wystąpi wobec każdego z osobna z załogi „Strzelca”? Czy będę to ja, powracający z „Psimy”, by im objawić tę prawdę? Czy „Psimianie”? Wizja, iż jestem marionetką posłuszną prądom impulsom przesyłanym przez platynowe elektrody, zastępujące sznurki, jakkolwiek przerażająca, wydawała mi się możliwa. Możliwa i bezsensowna jednocześnie. Bo po co?

— Trening? — rzuciłem sucho. Nie chciałem pokazać po sobie emocji.

Jakie to głupie — pomyślałem — jedna zjawka senna gra przed drugą!

Profesor nie śpieszył się z odpowiedzią. Myślał, marszczył czoło zbierając odpowiednie słowa, a ja się zastanawiałem, jakież to zestaw dziurek na taśmie modeluje owe zmarszczki? Czy ich powierzchnię określają krzywe stożkowe?

— Nie, to nie jest trening, przynajmniej w tym znaczeniu, w jakim użył pan tego słowa.

Zdrętwiałem. A więc to miała być prawda?

— Więc pan twierdzi — spytałem ściszym głosem — że wszystko: ja, pan, Neme-da, Psima, cała podróż wreszcie, to fikcja? I pan pojawia się w odpowiednim momencie w moim śnie, by mi to zakomunikować?

Mager kiwał głową.

— Więcej — odezwał się również ściszym głosem, niemal szeptem — nawet odkrycie Psimy przez automatyczną sondę w ubiegłym wieku to bujda!

Opadłem na krzesło. Dopiero teraz zauważyłem, że pod wpływem jego ostatnich słów uniosłem się nieco, jakbym mu chciał skoczyć do gardła. Myśl, by to zrobić, opanowywała mnie coraz bardziej, ręce same nerwowo zaciskały się w pięści. A jednocześnie wiedziałem, że tego nie zrobię, ponieważ nie dopuszczą do tego ci czuwający przy ekranach i śledzący przebieg mojej adaptacji. Zresztą jak udusić postać z własnego snu? Odetchnąłem głęboko raz, drugi. Napięcie powoli zelżało, byłem znów spokojny. Milczałem.

— Nie chce pan wiedzieć ani po co, ani dlaczego tak z wami postąpiono?

Wzruszyłem ramionami, było mi już wszystko jedno. Według tych na zewnątrz snu

właściwie dojrzałem już do obudzenia, ale widocznie program przewidywał, że muszę dowiedzieć się wszystkiego teraz, a nie po przebudzeniu. Obudzony muszę już tylko pogodzić się z losem.

— Pan zna oficjalną wersję wydarzeń. A prawda jest taka, że Ziemia chorowała na nostalgię, na samotność. Mimo olbrzymich wysiłków z naszej strony nie udawało się nam znaleźć życia rozumnego w naszej Galaktyce, a poza nią nie potrafimy na razie wyjść.

Patrzyłem na Magera, gdy to mówił, i śmieszyło mnie słowo „nam”, którego użył mówiąc o Ziemianach! Wszak ty nie istniejesz, ty kukło! — chciało coś we mnie krzyknąć, ale nie byłem zdolny już do niczego, opanowało mnie skrajne zniechęcenie. Patrzyłem na jego ręce, bawiące się futerałem na okulary (i na ten futerał było miejsce w programie!) i myślałem, że gdybym miał tasak i jednym ciosem odrąbał mu te dłonie, to wyraz jego twarzy by się nie zmienił i bez chwili przerwy kontynuowałby swoją przemowę, może nawet, o zgrozo, usiłując ukryć przede mną wstydliwie to swoje nagłe kalectwo! To chyba szok — pomyślałem za tych z zewnątrz — ale i to mnie nie brało. Wszak dla nich byłem pacjentem, a pacjent nie ma obowiązku podawać skalpela chirurgowi, który go kroi.

— ... stały się tak znaczne, że zaczęto się nimi poważnie interesować. Całe sztaby socjologów, psychologów i naukowców różnych dziedzin rozpracowywały to zagadnienie. Trwał wyścig pomiędzy ekspertami i zwykłymi ludźmi, bo w tym samym czasie zaczęły powstawać jakieś tajne stowarzyszenia, wręcz sekty mistyczne, na których wyświetlano dawne filmy fantastyczno-naukowe wykradzione z muzeów, histotek i zbiorów wytwórni filmowych, odczytywano powieści z tego gatunku, wystawiano inscenizacje sztuk, a wszystkie dotyczyły jednego tematu: kontaktu z obcą cywilizacją! Doszło do tego, że ludziom zaczęło się wydawać, iż lepsza jest nawet zagłada z rąk kosmitów, byleby tylko raczyli przyjść i nas pozabijać! Takich filmów i książek w XX i XXI wieku było sporo, chociaż może ci się to wydawać dziwne. Katastrofizm był wtedy w modzie, a zapoczątkował go niejaki H. G. Wells jeszcze w XIX wieku powieścią pod tytułem „Wojna światów”. Takie to pozycje zaczęły teraz osiągać zawrotne ceny, krążyły w odbitkach, jedyny ocalały do naszych czasów egzemplarz owej „Wojny światów” stał się nowożytną biblią, a Wells — Odkupicielem! Kryzys narastał lawinowo, wyprzedzał wysiłki całych trustów mózgow ludzi powołanych do opanowania tego zjawiska. Nie obywało się to bez ofiar, przynajmniej pozornie, ponieważ ludzie zajmujący się zawodowo tym zagadnieniem sami padali jego ofiarą, dawali początek nowym wierzeniom, zakładali własne sekty, no, słowem — Apokalipsa! W końcu sam diabeł by się nie rozeznał w tym mnóstwie religii, które wyrastały jak grzyby po deszczu. Była to nowa wieża Babel. To słownictwo zaczerpnięte z raportów tamtych czasów — zastrzegł się Mager — musisz wiedzieć, że eksperci gorliwie studiowali Pismo Święte, by zrozumieć najpierw, co ludzi popychało do chrystianizmu, a potem, dlaczego religie, a chrześcijańska w szczególności, wymarły. Jak widzisz usiłowali znaleźć receptę na swe terażniejsze kłopoty, szukali złotego środka, panaceum, które zaaplikowane ludzkości obrzydziłoby jej nowe wierzenia. I to się właśnie nie udawało. Im więcej nowych zabaw, rozrywek, programów wymyślano, aby odciągnąć ludzi od szaleństwa, tym bardziej upierali się oni przy swych poglądach. Nie włączano holowizorów, pustkami świeciły stadiony sportowe, nie odbyła się nawet olimpiada — a wszystko to wciąż jeszcze nieoficjalnie. Komisja pracowała przecież tajnie, nikt nie odważył się nazwać rzeczy po imieniu, olimpiada nie odbyła się z braku funduszy, holowizja traciła na znaczeniu, bo była nudna, teatryony świeciły pustkami, bo brak było ambitnego repertuaru! Sam rozumiesz, że rząd, jakkolwiek dostrzegał niebezpieczeństwo i usiłował mu przeciwdziałać, nie mógł się do tego przyznać. Tym bardziej, iż raz za razem ponosił w swych działaniach porażki. Wreszcie po wielu niepowodzeniach wypracowano dwie podobne, choć z gruntu różne koncepcje zaradzenia złu. Zaraz panu pokrótce je przedstawię. Pierwsza została opracowana przez młodego psychologa, który niedługo potem sam nawrócił się na nową wiarę i odszedł od ekspertów. Toteż w jego projekcie większość upatrywała konia trojańskiego. Za chwilę

zrozumie pan, o co mi chodzi. Otóż postulował on ni mniej, ni więcej, by nie przeciwdziałać zjawisku, lecz je stopniowo podsycać, aż do zadławienia, jak ogień, który się coraz lepiej pali, gdy dorzucasz drewno po trochu, a gaśnie, gdy rzucisz cały sąg. Ten projekt groził dwoma niebezpieczeństwami: pierwsze, że ludzie się nie nasycają, tylko zneurotyczniają, karmiąc swoje chore wyobraźnię wciąż nowymi pożywkami, dostarczonymi przez środki masowego przekazu, drugie, że zgaśnięcie tego ognia, o którym mówiliśmy, może być zupełne i ludzkość popadnie w skrajne zniechęcenie. Było to więc wypędzenie czorta diabłu — projekt zyskał oficjalny kryptonim „Koń Trojański”. By uzupełnić tę informację, muszę dodać, że zgodnie z planem młodego szaleńca miano w ogromnych ilościach powielać stare książki i powieści z zajmującego ludzi zakresu, wystawiać tylko widowiska traktujące o kosmitach, produkować odpowiednie sprzęty, pojazdy, maskotki — słowem: zamienić świat w kosmiczny Disneyland! Ten projekt, ponieważ były „aż” dwa, był projektem rezerwowym, choć był jeszcze trzeci, nie opracowany oficjalnie, a tylko omawiany w kularach, a mianowicie, by wszystko przeczekać, aż się ludziom to znudzi, tak jak znudziły się wojny. Problem polegał tylko na tym, że zanim się znudziły, pochłonęły miliony ofiar i trwało to tysiąclecia.

Drugi projekt natomiast...

— Drugim projektem jesteśmy my, załoga „Strzelca” — przerwałem Magerowi. — Tylko nie wiem, kogo mieliśmy ustrzelić?

— Mieliście trafić w dziesiątkę — sprostował — i to by się udało, ale zaszyły pewne wypadki, które przerwały projekt...

— Jednak się znudziło? — spytałem z nadzieją.

— Dowiesz się na końcu. Drugi projekt, który był dziełem kilku specjalistów z różnych dziedzin, przewidywał oszukanie ludzkości, zamiast narkotyzowanie jej według projektu pierwszego.

— Można jeszcze było zastosować eutanazję — nie mogłem powstrzymać się od złośliwości.

Mager skłonił w moją stronę głową z drwiącym szacunkiem.

— Szkoda, że nie żył pan w tamtych czasach. Ale do rzeczy! Postanowiono ogłosić społeczeństwu szeroki, dotąd nie spotykany program badań kosmosu przy pomocy tysięcy automatycznych sond, które powinny odkryć wreszcie ślady rozumnego życia w Galaktyce. Gdy to się stanie, podjęta zostanie wyprawa. I tak zrobiono, to znaczy, sondy wysłano naprawdę, licząc się z tym, iż może rzeczywiście szczęśliwy przypadek zrządzi, że coś odkryjemy (niekoniecznie braci w rozumie), co zajęłoby ludzi dając chociaż namiastkę Kontakt! Sondy te po dziś dzień drażą przestrzeń... Jednocześnie podjęto budowę statku, z jednej strony iżby wszystko było gotowe, z drugiej zaś te pozory miały wpłynąć hamująco na postępujące ciągle szaleństwo, które ogarnawszy najpierw najwyższe warstwy społeczne, znajdowało coraz więcej zwolenników wśród niższych klas, do tej pory neutralnych. I tak się stało. Częste sprawozdania telewizyjne z budowy statku galaktycznego powstrzymywały mniejszych zapaleńców i łagodziły zapędy większych. Chwilowo sytuacja była opanowana, ale wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że wystarczy jeden fałszywy ruch, jeden zawód, by już żadne środki, nawet rzeczywisty Kontakt, nie pomogły opanować żywiołu, jaki by się w tym momencie rozpełtał. Dodajmy, szalonego żywiołu. Ludzie pracujący nad tym projektem byli najstaranniej dobrani, na własną prośbę poddawano ich kontroli telepatycznej przez automaty — można wtedy było śledzić ich myśli i interweniować na wypadek, gdyby zaraza szaleństwa dotarła i do nich. Razem ze swymi rodzinami byli niewolnikami Projektu pracując, żyjąc i bawiąc się tylko w obrębie specjalnie strzeżonego obozu, który oficjalnie nazywał się Ośrodkiem Badań Kosmicznych. Te środki ostrożności były, jak sam rozumiesz, nieodzowne — przy tym, jak się okazuje, skuteczne. Działo się to już w czasie, gdy urodził się twój ojciec, jakieś sześćdziesiąt lat przed twoim urodzeniem. Sytuację, jak już powiedziałem, opanowano tylko chwilowo. Mijały lata, już nie tak burzliwe jak poprzednie, a nic się nie zmieniało. Trwała równowaga sił: z

jednej strony społeczeństwo czekające na Kontakt lub niepowodzenie, które pchnęłoby je znów w otchłań neurotycznych rojeń, z drugiej zaś twórcy Projektu i rząd. Taka równowaga nie mogła trwać wiecznie, była klasycznym przykładem równowagi chwiejnej przeniesionym z fizyki na grunt nauk socjologicznych. Szala musiała przechylić się na którąś stronę, i to zdecydowanie — inne rozwiązanie nie wchodziło w rachubę... Wreszcie sondy przekroczyły granicę obszaru, który mógłby pokonać zbudowany statek kosmiczny z ludzką załogą na pokładzie. Sondy przekroczyły ten obszar, ale milczały. Nie można było dłużej czekać. Ogłoszono więc, że jedna z sond odkryła życie rozumne o bardzo skomplikowanej strukturze w odległości dwunastu lat świetlnych od Ziemi, w gwiazdozbiornie Strzelca. Musiano tak postąpić, a im dalej znajdowała się ta planeta, tym dla twórców Projektu było to korzystniejsze. Wszak wyprawa taka potrwałaby pół wieku, co dawało kolejną szansę, że ludzie o niej zapomną, albo że w tym czasie odkryta zostanie autentyczna cywilizacja. Wtedy ogłosiłoby się, iż poprzednia wyprawa była pomyłką wynikłą ze złego stanu technicznego sondy i dużej odległości Układu. Gdyby natomiast i te pięćdziesiąt lat nie wystarczyło, to można było ogłosić, że pierwsza wyprawa zaginęła i wysłać kolejne w nieskończoność, a raczej w kartoteki, bo nikt się na krok poza Układ nie ruszał. Inną ewentualnością, która w rezultacie zwyciężyła, (bo wysyłanie ciągle nowych ekspedycji mogłoby się ludziom znudzić!), jest wasza „wyprawa”, to znaczy kontakt z tak odmienną, dziwną i skomplikowaną kulturą, że na badanie jej i tysiąca lat mało, a jednocześnie z drugiej strony wizyta przedstawicieli tej cywilizacji nie byłaby możliwa. Przyznasz, że to, co zobaczyliście tutaj, wiernie spełniało takie postulaty i warunki! A więc zdecydowano się na ten drugi wariant i podłączono was do symulatorów, żebyście „wróciwszy”, z całym przekonaniem opowiadali o swych przeżyciach. Wiem, że wydaje się to panu potworne, ale była to cena, jaką my, twórcy Projektu, i wy, wykonawcy, zapłaciliście za ratowanie Ziemi przed zamienieniem jej w jeden ogromny, na kosmiczną skalę, dom wariatów. Nie było nam lekko podjąć taką decyzję, nie mogliśmy was pytać o zdanie, licząc się z tym, że popełniamy zbrodnię. Sam nie wiem, jak byśmy wam mogli patrzeć w oczy i słuchać waszych sprawozdań i opowiadań opartych na naszym scenariuszu! Myśmy się tak daleko posunęli, iż nawet próbki obcego gruntu i obcych substancji mamy przygotowane, żebyście je mogli nam z dumą prezentować! Przyzna pan, że trudno o większą perfidię! A przecież my działamy powodowani nie uczuciem zemsty, a miłością do ludzi! Włos się na głowie jeży, jak sobie pomyślę, do jakich potwornych czynów zdolny byłby każdy z nas działając pod wpływem nienawiści. A może nie? Wszak dwa te uczucia są tak samo mocne, a jednocześnie tak podobne! Jesteś zapewne ciekaw, co się stało takiego, że się o tym wszystkim dowiadujesz? Wszak nasz scenariusz nie przewidywał takiej sytuacji, by ktokolwiek przeniknął przez zasłonę tajemnicy!... Otóż odkryliśmy naprawdę obcą cywilizację, niestety w takiej odległości, że jeszcze przez kilka ładnych lat nie będziemy mogli do niej wyruszyć. Ale to już jest postanowione. Ci spośród was, którzy nam jeszcze raz zaufają, po tym, gdy się dowiedzą, jaką potworną zbrodnię wobec nich zaplanowaliśmy i częściowo zrealizowaliśmy, polecą tam. Inni, jeśli będą chcieli zapomnieć, zapomną i pozostaną na Ziemi, tak jakby się nigdy nic nie stało. Zapytasz, dlaczego nie sprawimy, że zapomnicie teraz, kiedy nikt jeszcze niczego nie wie. Otóż dlatego, że nie możemy popełnić nowej zbrodni, a poza tym, chcemy pokazać, że po raz pierwszy postąpiliśmy z wami tak nie z tchórzostwa, tylko dla sprawy, i że potrafimy wam, wiedzącym o wszystkim, spojrzeć w oczy. To jest kara, jaką wymierzaliśmy sobie samym! — ostatnie słowa Mager wykrzyczał, stojąc za swoim biurkiem.

Nawet nie zauważyłem, kiedy wstał. Przyszło mi do głowy, że nie jest on, być może, postacią wydumaną w tym scenariuszu, tylko nagrany jednym z autentycznych twórców Projektu.

— A więc ile, ile lat? — zapytałem zduszonym głosem.

Zrozumiał momentalnie.

— Tylko pół roku, tyle, ile spędziliście w okolicy Psimy od chwili przebudzenia z

hibernacji. Nie było sensu modelować całej wieloletniej podróży, poza tym chcieliśmy sobie pozostawić furtkę na taki wypadek, jak właśnie ten.

A więc tylko pół roku — pomyślałem — dobre i to.

— A co poczniecie z naszym przedwczesnym powrotem? Wszak ludzie muszą się o tym dowiedzieć.

Mager westchnął.

— Gdybyśmy poczekali jeszcze pół roku — powiedział — nie byłoby tego całego zamieszania, a tak... Zaraz, jak ogłosiliśmy wiadomość o odkryciu „drugiej” cywilizacji, nadaliśmy też komunikat, że z powodu pewnych awarii i zakłóceń jesteście zmuszeni zawrócić. Za pół roku wylądujecie oficjalnie, a do tego czasu będziecie przebywać w naszym ośrodku.

— A start — przypomniałem sobie nagle — jak było ze startem? Przecież transmitowaliście go?

— Tak, transmitowaliśmy wystrzelenie złomu, który był kopią „Strzelca” pustą w środku. Poza zasięgiem teleskopu uległa ona samozniszczeniu na rozkaz z naszego centrum. Wy przeżywaliście swój start już w symulatorach.

— Czy moje pytania również teraz następują według scenariusza?

— Niezupełnie, masz sporo wolnej woli. Tyle że możesz wybierać spośród wielu przygotowanych dla ciebie wersji. Jak w życiu. Ale jesteś też trochę ograniczony, bo zależy nam, abyś się dowiedział tego, co my uważamy za najistotniejsze, a co przekażesz potem załodze.

— A więc to jest moja misja? Jak ją sobie wyobrażacie?

— Tak jak przewiduje procedura. Nie będziesz przecież tego opowiadał każdemu z osobna, tylko po powrocie na statek podłączycie się do teleoperatorów i ty przekażesz wszystko, czego się dowiedziałeś i na „Psimie”, i ode mnie. Oni zaś opowiedzą o wypadkach „zaistniałych” na statku.

— Tak — mruknąłem — to jest uczciwa gra!

Siedzieliśmy w milczeniu. Było jasne, że to już koniec. Dowiedziałem się wszystkiego i mogłem iść dalej. Ale gdzie? I co teraz mam robić?

— A co byś zrobił, gdybyś mnie nie spotkał? — zapytał Mager. — Zrób więc to samo.

Przypomniałem sobie, że miałem zdobyć pieniądze dla Mag i takie wydało mi się to w tej chwili śmieszne, że omal nie roześmiałem się w głos.

— Więc zrób to.

Zastanowiłem się. To, iż jestem teraz postacią z własnego „snu”, z trudem docierało do mnie. Ale w końcu zrozumiałem, co mam robić. Wstałem i nie oglądając się na Magera, wyszedłem. W przedpokoju ubrałem się, wziąłem swoją nieodłączną torbę i zamykając już za sobą drzwi wejściowe dostrzegłem kątem oka gospodynię profesora, która niosła do stołowego parującą wazę zupy. Pociągnąłem nosem. Pełna iluzja. Zapach przypominał mi niemiłe, że jestem głodny. Ale nie zwracałem sobie tym głowy. Przyjdzie czas na wszystko. Zbiegłem po schodach i poszedłem ulicą przed siebie, rozglądając się za taksówką. Było nad podziw ciepło, podczas mojej rozmowy z profesorem wyszło zza chmur słońce ożlącąc domy swoim blaskiem. Pomimo rannego mrozu czuło się w powietrzu jakąś przedwiosenną odwilż, a co niecierpliwie sople wiszące w górze, uczepione czarnych dachów, spływały pierwszymi, nieśmiałyymi na razie kroplami wody. Szedłem przed siebie w rozpiętym płaszczu, wiedząc, że muszę dograć przeznaczoną mi rolę do końca. Oto zaczynał się mój powrót.

POWRÓT

Dotarłem do postoju taksówek i zająłem miejsce w kolejce. Nie była długa, z mojego doświadczenia wiedziałem, że poczekam kwadrans, najwyżej dwadzieścia minut. Mogłem

jechać metrem, ale obawiałem się, że zastanę u Kory niechętnych mi gości i taksówka zwiększała moje bezpieczeństwo na wypadek, gdybym się musiał ratować ucieczką.

Wreszcie nadeszła moja kolej, wsiadłem do samochodu i podałem kierowcy adres. Rozparłem się wygodnie na tylnym siedzeniu i odprężyłem się. Myśli snuły mi się leniwie pod czaszką, a ich sens był mniej więcej taki, że starałem się wymyślić sposób na sprawdzenie, czy słowa Magera były prawdą. Nie wiedziałem już, w co mam wierzyć, a zwątpienie powoli sączyło się w moją duszę niczym kwas w starożytnych bombach, który przeżerał cienką metalową ściankę, by zapoczątkować eksplozję. Podobnie ja mogłem wybuchnąć, nie miałem tylko jeszcze konkretnego planu. Ale czułem, że nie mogę tak trwać w zawieszaniu, nie wiedząc, czy żyję, czy tylko śnię wiecznie. Powoli nadszedł za zwątpieniem strach i niczym czarny robak wwiercać się zaczął we mnie, ściskając trzewia w chłodnym, metalowym uścisku. Opanowało mnie przerażenie na samą myśl o tym, że mogę umrzeć, nie dowiedziawszy się, które życie przeżyłem naprawdę, symulowane czy prawdziwe. Już nie byłem rozluźniony, przeciwnie — skręcałem się wewnętrznie z przerażenia. Gorączkowo zacząłem poszukiwać jakiegoś sposobu, choćby i najbardziej niebezpiecznego, który by rozstrzygnął to moje „być albo nie być”, ale nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy. Już nawet zacząłem z wolna poddawać się panice, gdy wraz z piskiem opon hamującego wozu znalazłem rozwiązanie. Było tyle proste, co genialne. Pewny, że mimo wszystko ja zwyciężę, wysiadłem i kazałem kierowcy czekać na siebie choćby i godzinę.

Ulica, jak i wszystkie domy, była nie oświetlona, w niektórych oknach, u Kory również, migotały jakieś chybotałe światełka, jakby świece. Postawiłem kołnierz i zdecydowanie wszedłem na schody. Drzwi do jej mieszkania znalazłem po omacku, gdyż na klatce schodowej panowała zupełna ciemność, małe okienka prawie nie przepuszczały i tak przecież skąpego światła. Otworzyła mi Kora, ubrana znów w szlafrok, ten, co wczoraj. Widocznie był to jej podstawowy strój, w jakim przyjmowała gości. Zwłaszcza mężczyzn. Stała w drzwiach opierając się ramieniem o framugę. Najwyraźniej nie zamierzała mnie zaprosić do środka. Ale ja musiałem wejść. Staliśmy w milczeniu.

Pierwsza odezwała się Kora.

— Królewicz raczył się zjawić?

— Mam interes — powiedziałem.

— Domyślam się. Pożałowałeś forsy, co?

Odsunęła się z progu i poprzez otwarte następne drzwi dostrzegłem najpierw stojącą na stole lampę naftową, a wokół niej rozrzucone banknoty. Wyglądało to jak przynęta.

— Chodź.

Odsunęła się z przejścia i poszła przodem. Dało mi to sposobność do wyjęcia z torby rewolweru. Chciałem go początkowo przełożyć do kieszeni płaszcza, ale teraz, wobec tak jawnej pułapki, nie mogłem dać się zaskoczyć. Ścisnąłem broń silniej w dłoni i ruszyłem za Korą. Korytarz miał może pięć metrów. Cztery przeszedłem spokojnym krokiem człowieka, który niczego nie podejrzewa, a potem stojąc już prawie na progu wykonałem nagły skok na środek pokoju, tak że znalazłem się tuż za plecami przerzucającej pieniądze Kory. Jeszcze w locie dostrzegłem uzbrojoną w rewolwer dłoń, która z rozmachem cięła powietrze na wysokości mojej głowy. Zamachowiec stracił równowagę od potężnego, niczym nie sparowanego ciosu, i nim zdążył strzelić, zrobiłem to ja. Nie mogłem postąpić inaczej, bo za drzwiami stał następny uzbrojony opryszek. I nagle huknęło, jakby kto strzelił z armaty, w zamkniętym pomieszczeniu zabrzmiały jednocześnie trzy strzały rewolwerowe. Moja kula ugodziła tego zza drzwi, jego zaś — rozbiła lampę naftową, a rannego, który w skurczu agonii pociągnął za spust — Korę. Stałem oniemiały pomiędzy trzema trupami i słyszałem, jak za mną zachłannie syczy ogień.

Zupełnie jak w kiczowatym filmie — pomyślałem. Mieliśmy takich kilka na pokładzie „Strzelca”. Widocznie scenarzyści Magera nie wysilają się zbytnio!

Zgarnąłem ze stołu pieniądze. Część z nich zdążyła się już zająć od ognia i spaliła się. Resztą wypchałem kieszenie, do jednej z nich wsunąłem broń i wyszedłem. Powodowany jakimś idiotycznym impulsem zamknąłem za sobą drzwi. Cicho i starannie. Dopiero potem, już zbiegając po schodach, waliłem pięściami we wszystkie drzwi krzycząc, że się pali! Wybiegłem na chodnik. Taksówki nie było. Nagle zza rogu wyjechał jakiś samochód. Wyskoczyłem na środek jezdni. Kierowca hamując gwałtownie wpadł w poślizg i zatrzymał się dopiero w przyźmie śniegu. Nim zdążył oprzytomnieć i wygrzebać się z zasy, wskoczyłem na siedzenie obok niego i sterroryzowałem go rewolwerem.

Do Jacka! — ta jedna myśl opanowała mnie tak niespodziewanie, iż omal nie podałem takiego właśnie adresu zastraszonemu kierowcy. Za chwilę opanowałem się, schowałem pistolet i powiedziałem, dokąd ma jechać.

— Niech się pan nie boi — dodałem widząc, że wciąż zerka na mnie podejrzliwie, a jego trzęsące się na kierownicy ręce mogą nas wpakować na latarnię. — Nic panu nie zrobię. Po prostu wściekle potrzebowałem samochodu.

— Dziwny sposób wynajmowania taksówki! — powiedział, lekko się odprężywszy.

Gdy zajechaliśmy na miejsce, podałem mu pierwszy lepszy banknot spośród tych od Kory i wysiadłem nie oglądając się więcej na niego. Biegłem po schodach, jakby mnie kto gonił. Otworzyła mi Mag. Jacka jeszcze nie było. Wpadłem do środka jak burza, niemal odtrącając ją z przejścia. Wysypałem na stół pieniądze. Mag stała obok drzwi więcej przestraszona, niż ucieszona.

— Co to wszystko znaczy, Jim?

— Mag, nie mam czasu ci tłumaczyć. To są pieniądze, które wam obiecałem. Nie liczyłem ich. Sądzę, że jest ich więcej, niż potrzebujesz; jeśli nie, to i tak więcej nie będę mógł ci dać. Widzimy się już po raz ostatni. Naprawdę! Pozdrów Jacka... I Marabuta!

Wyrzuciłem to wszystko z siebie jednym tchem i już mnie nie było. Po schodach zbiegałem po cztery stopnie naraz. Chciałem w ten sposób zagłuszyć wzruszenie, jakie mnie ogarnęło podczas wypowiedzania tych chropawych zdań. Jeśli to symulacja, to Mager jest świnią! — pomyślałem i jeszcze obiecałem sobie w duchu: — Zatłukę! Na dole rozejrzałem się za jakimś środkiem lokomocji. Szczęście nadzwyczajnie mi sprzyjało tego dnia. Tuż przy krawężniku ktoś zostawił otwarty samochód z włączonym silnikiem. Widocznie miał kłopoty z jego uruchomieniem i zostawiał go na chodzie. Nie zastanawiałem się nad tym długo, tylko wskoczyłem do środka i ruszyłem, jak mogłem najszybciej. Pędziłem na lotnisko. Widocznie przekroczyłem jakieś nie znane mi przepisy, bo po chwili rozjęczały się za mną syreny i dostrzegłem ścigający mnie wóz policyjny. Wypadliśmy na autostradę. Moja przewaga zmniejszyła się, maska ścigającego mnie wozu była coraz bliżej, syreny świdrowały w uszach. Jechałem zygzakiem od krawędzi do krawędzi jezdni, bo policjanci starali się mnie wyprzedzić. Wreszcie widząc, że nie dam sobie z nimi rady w ten sposób, pozwoliłem im zrównać się z sobą i ściągając kierownicę, zepchnąłem ich na pobocze. Omal sam przy tym nie wpadłem w poślizg, ale udało mi się. Miejsce wypadku przestłoniła ogromna chmura śniegu, w lusterku dostrzegłem, że coś się w niej rusza, ale nie zaprzętałem sobie tym głowy. Już widziałem gmach poczekalni dworca lotniczego. Gwałtownie przed nim zahamowałem i wbiegłem do wnętrza. Zwolniłem, by nie wyróżniać się niczym z tłumu oczekujących pasażerów i gdy upewniłem się, że nie jestem obserwowany, przeskoczyłem niską barierkę oddzielającą poczekalnię od pomieszczeń służbowych. Choć byłem po cywilnemu, nikt mnie nie zatrzymał. Już miałem to przypisać mylącej wszystkim swobodzie zachowania się, gdy dostrzegłem, że korytarz opustoszał nagle, a u jego dwóch wylotów pojawili się uzbrojeni strażnicy. Jak w westernie — pomyślałem i skoczyłem do najbliższego pomieszczenia. Wybrałem dobrze. Pokój miał okno, wielką szklaną tafelę, wychodzącą na płytę lotniska. Nie zwracając uwagi na krzyk przerażonych urzędniczek, przerzuciłem rewolwer do lewej ręki, prawą podniosłem najbliższy fotelik i trzasnąłem nim w okno. Poprzez spadające odłamki szkła, z których jeden

skaleczył mnie w dłoń, wyskoczyłem na zewnątrz. Strażnicy zorientowali się równie szybko, co chcę zrobić. Gdy się prostowałem po skoku, dostrzegłem ich wybiegających z wejścia dla pilotów. Strzeliłem. Jeden z nich zwałił się na ziemię, drugi skoczył za stojący obok wózek transportowy, na którym stały metalowe beczki. Padłem na ziemię i modląc się w duchu, by beczki nie były puste, strzeliłem po raz drugi. Wybuch niemal mnie oślepił. Jeden, drugi, trzeci. Dość! Zerwałem się na równe nogi, bo języki płynnego ognia zaczęły się do mnie zbliżać i pogałem po odsłoniętej płycie do mojego grawistatu, który rysował się czarną plamą na tle granatowego nieba. Tam, gdzie stał mój statek, reflektory lotniska nie docierały. Było mi to na rękę.

Zdyszany dobiegłem do niego, zrzuciłem z siebie przeszkadzający mi płaszcz i stwierdziwszy, że kłapa jest uchylona tak, jak ją zostawiłem, skoczyłem do góry. Chwyciłem się obrzeża progu, podciągnąłem na rękach i wskoczyłem do środka. Rozbłyły światła. Zamknąłem właz i padłem na fotel. Teraz już działałem mechanicznie.

Rozruch stosu, pole siłowe, zapłon. Byłem bezpieczny. Jakkolwiek chciałem zaryzykować jeszcze raz swoje życie, wolałem to, niż niepewność. Chciałem to zrobić w pobliżu „Strzelca”, a nie na Psimie, na wypadek, gdybym to ja miał rację, a nie Mager.

Wystartowałem i gdy pięć mil od miasta zabłysła kontrolka łączności, włączyłem aparaturę.

— Pilot James Rank na „Falconie” zgłasza swój powrót!

Wypowiedziałem to na pozór beznamiętnie, ale sam tylko wiedziałem, ile mnie ten spokój kosztował.

W głośniku zawrzało. Wreszcie nad ogólnym hałasem zapanował władczy głos Dorne-ra.

— Rank, co się z tobą działo?

— Wszystko opowiem, komandorze, całą prawdę!

Czy tylko to będzie prawda?

Bok „Strzelca” przybliżał się z każdą chwilą, już widziałem otwarty luk, gotowy na przyjęcie swego „sokoła”. Skreśliłem trochę w bok. Wybuch, który nastąpi, nie powinien zbyt uszkodzić statku ani zagrozić przebywającym na nim ludziom, w wypadku, gdybym znajdował się w świecie rzeczywistym. A jeśli w symulowanym, to i tak wszystko jedno.

— Rank, dryfujesz na burtę! — usłyszałem przerażony głos Blasha.

Wiedziałem o tym. Ja po prostu musiałem być pewny, w jakim świecie się znajduję!

Kraków, lipiec 1978 — październik 1979.